

**NORA ROBERTS**

**OD PIERWSZEGO WEJRZENIA**

Tłumaczyła  
Julita Mirska

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pierwsze promienie słońca wynurzyły się zza gór, oświetlając swym blaskiem soczystą zielen drzew. Nieopodal coś zaszeleściło: to zając kicał po leśnym poszyciu. Na gałęzi przysiadł ptak, który śpiewał tak głośno i radośnie, jakby obce mu były jakiegokolwiek zmartwienia czy troski. Wzdłuż drogi ciągnęły się płoty, gdzieniegdzie porośnięte wiciokrzewem. W powietrzu unosił się wonny, słodki zapach. Na odsuniętym od szosy polu farmer z synem pracowali przy zwózce siana.

Dwukilometrową trasę do miasteczka Shane postanowiła odbyć pieszo. Gdy tak wędrowała trawiastym poboczem, minął ją tylko jeden samochód. Kierowca uniósł rękę w geście pozdrowienia. Shane pomachała mu w odpowiedzi. Miło być z powrotem w domu, pomyślała. Odruchowo zerwała z wiciokrzewu rurkowaty kwiat i - jak wtedy, gdy była dzieckiem - wciągnęła w nozdrza jego aromat. Potem rozgniotła kwiat w palcach; zapach przybrał na sile - kojarzył się jej z latem, tak jak zapach koszonej trawy i mięsa pieczonego na ruszcie. Tyle że lato miało się już ku końcowi.

Niecierpliwie oczekiwała jesieni; wtedy góry wyglądały najpiękniej. Barwy drzew dosłownie zapierały dech w piersiach, powietrze było rześkie, świeże. Nawet jesienny wiatr brzmiał inaczej, bardziej tajemniczo. Jesień to pora palenia suchych liści i zbierania żołądki.

Czasem jej się wydawało, jakby nigdy stąd nie wyjeżdżała. Jakby znów miała dwadzieścia jeden lat i szła z domu babci do sklepiku w Sharpsburgu po galon mleka albo bochen chleba. Jakby ruchliwe ulice Baltimore, pełne przechodniów chodniki i barwne tłumy, które widywała przez ostatnie cztery lata, były tylko snem, przywidzeniem. Jakby nie spędziła czterech lat, ucząc w tamtejszej szkole, sprawdzając klasówki i uczęszczając na zebrania rady pedagogicznej.

A jednak od jej wyjazdu minęły cztery lata. Należący do babci wąski piętrowy dom teraz należał do niej. Podobnie jak hektar zalesionej ziemi. Góry, lasy, łąki nie zmieniły się, czego nie można powiedzieć o niej samej.

Pod względem fizycznym wyglądała prawie tak samo jak w dniu, gdy

wyjeżdżała do Baltimore: niedużego wzrostu, szczupłej budowy, pozbawiona krągłości, o jakich zawsze marzyła. Twarz trójkątna, o świeżej, delikatnej cerze zaróżowionej na policzkach. Dołeczki pojawiające się przy każdym uśmiechu. Nos mały, przysypany piegami, lekko zadarty. Oczy duże, ciemne, wyraziste; można było z nich wyczytać wszystkie emocje, jakich doznawała. Włosy naturalnie kręcone, w kolorze złocistym; zwykle nosiła je krótko przycięte. Opisu ją, ludzie najczęściej używali słów: śliczna, słodka, pełna wdzięku. Nienawidziła tych określeń. Choć się do nich przyzwyczaiła, znacznie bardziej wolałaby być postrzegana jako piękna, zjawiskowa i oszałamiająca.

Zbliżała się do ostatniego zakrętu - wiedziała, że za moment wyłoni się miasteczko. Tyle razy tędy wędrowała: jako dziecko, jako nastolatka, jako młoda kobieta. Wszystko tu było znajome, tu budziło się w niej poczucie bezpieczeństwa i przynależności. W Baltimore była odrębnym bytem, nigdy zaś częścią całości.

Śmiejąc się głośno, ostatnie metry pokonała biegiem, po czym lekko zziębnięta wpadła do sklepu. Dzwonki przy drzwiach zadźwięczały melodyjnie, ogłaszając wejście klienta.

- Cześć!

- No, cześć - odrzekła dziewczyna za ladą. - Ranny z ciebie ptaszek.

- Zaraz po wstaniu stwierdziłam, że nie mam kawy... - Nagle spostrzegła leżące na ladzie kartonowe pudełko z pączkami. Oczy się jej zaświeciły. - Ojej, czy to są te z nadzieniem kremowym?

- Tak. - Donna westchnęła z zazdrością, patrząc, jak Shane podnosi ciastko do ust. Sama ciągle musiała liczyć kalorie, Shane zaś bezkarnie jadła za trzech.

Przyjaźniły się od najwcześniejszych lat, choć różniły się jak dzień i noc. Jedna blondynka, druga brunetka; jedna niska i drobna, druga wysoka, o zaokrąglonych kształtach. Shane była ryzykantką, zawsze przewodziła, uwielbiała przygody; Donna lubiła stać w drugim szeregu, nie wysuwać się na czoło; zwykle wskazywała na niedociągnięcia lub słabe punkty planu, który przyjaciółka obmyśliła, po czym entuzjastycznie przyłączała się do zabawy.

- No i jak ci się podoba na starych śmieciach?

- Ogromnie - wymamrotała z pełnymi ustami Shane.

- Prawie nie pokazujesz się w miasteczku.

- Bo mam kupę roboty. Dom się sypie. Babcia nie zawracała sobie głowy naprawami. - W jej głosie nuta żalu mieszała się z nutą czułości. - Bardziej interesowała ją praca w ogródku niż ciekący dach. Może gdybym nie wyje...

- Przestań się obwiniać - przerwała jej Donna, ściągając gniewnie brwi. - Przecież wiesz, że chciała, abyś przyjęła tę pracę w szkole. Faye Abbott zmarła w wieku dziewięćdziesięciu czterech lat; mało komu dane jest tyle cieszyć się życiem. W dodatku do samego końca była dzielną, dziarską staruszką.

Shane parsknęła śmiechem.

- To prawda. Czasem wydaje mi się, że wciąż siedzi w kuchni na bujaku i pilnuje, czy na pewno pozmywałam wszystkie naczynia. - Odepchnęła od siebie wspomnienia, by przypadkiem się nie roztkliwić. - Widziałam w polu Amosa Messnera z synem... - Skończywszy pączka, wytarła dłonie o spodnie. - Myślałam, że Boba capnęło wojsko?

- Tak, ale swoje już odsłużył. Wyszedł tydzień temu. Wkrótce żeni się z dziewczyną, którą poznał w Karolinie Północnej.

- Serio?

Donna pokiwała z zadowoleniem głową. Jako właścicielka sklepu na ogół wiedziała o wszystkim, co się dzieje w miasteczku.

- Dziewczyna jest sekretarką w kancelarii prawnej. W przyszłym miesiącu przyjedzie tu z wizytą.

- Ile ma lat? - spytała Shane, sprawdzając wiadomości przyjaciółki.

- Dwadzieścia dwa.

Shane wybuchnęła śmiechem.

- Och, Donna, jesteś niesamowita!

Donna popatrzyła z sympatią na swoją najstarszą kumpelkę.

- Cieszę się, że wróciłaś. Stęskniliśmy się za tobą.

- Gdzie Benji? - Shane oparła się biodrem o ladę.

- Z Dave'em na górze. - Na myśl o mężu i synku twarz Donny rozpromieniła się. - Ten mały diabełek, puszczonego samopas, rozniósłby sklep na kawałki. Po południu zamieniamy się; Dave obsługuje klientów, a ja pilnuję Benjiego.

- Takie są korzyści, kiedy mieszka się w tym samym miejscu, co pracuje.

Donna, która nie chciała niczego narzucać przyjaciółce, skwapliwie skorzystała z okazji, że Shane sama poruszyła temat miejsca pracy.

- Powiedz, wciąż myślisz o remoncie domu?

- Nie myślę. Decyzja już zapadła. - Na moment Shane zamilkła, po czym, przeczuwając reakcję Donny, szybko dodała: - Przyda się w miasteczku jeszcze jeden sklepik z antykami, a do takiego, który sąsiaduje przez ścianę z muzeum, turyści na pewno będą chętnie zaglądać.

- Ale to takie ryzykowne - jęknęła Donna, którą przeraził błysk podniecenia w oczach przyjaciółki. Zawsze pojawiał się wtedy, gdy zamierzała podjąć kolejne szalone wyzwanie. - Koszty całego przedsięwzięcia...

- Starczy mi pieniędzy, przynajmniej na początek. - Shane wzruszyła ramionami. - Na razie mogę sprzedawać antyki po babci i stopniowo wzbogacać asortyment. Chcę tego, Donna - rzekła stanowczym tonem, widząc grymas na twarzy przyjaciółki. - Zawsze chciałam otworzyć własny interes. - Rozejrzała się po małym, doskonale zaopatrzonym sklepie. - Kto jak kto, ale ty powinnaś mnie zrozumieć.

- Rozumiem, ale... ja mam Dave'a, który mi pomaga. Sama, w pojedynkę, nigdy bym się na coś takiego nie odważyła.

- Uda mi się. - Shane zamyśliła się. - Wiesz, oczami wyobraźni widzę, jak to wszystko będzie kiedyś wyglądało...

- Czeką cię ogromny remont.

- Konstrukcja domu pozostanie bez zmian. Po prostu muszę go odnowić, dokonać paru przeróbek, naprawić usterki. - Machnęła lekceważąco ręką. - Ale to wszystko i tak musiałabym zrobić, gdybym chciała w nim zamieszkać.

- A dokumenty, pozwolenia?

- Już wystąpiłam do właściwych instancji.

- Opłaty, podatki...

- Rozmawiałam z księgowym. - Uśmiechnęła się, słysząc przeciągły jęk. - Posłuchaj, mam świetną lokalizację, znam się na antykach i mogę szczegółowo opowiedzieć przebieg wszystkich bitew toczonych podczas wojny secesyjnej.

- Co czynisz przy każdej okazji.

- Oj, uważaj - ostrzegła Shane. - Bo zaraz...

Ponownie zabrzączał dzwonek nad drzwiami.

- Cześć, Stu! - zawołała Donna z teatralnym westchnieniem ulgi.

Kolejne dziesięć minut przyjaciółki spędziły na plotkach z dawnym kolegą szkolnym. W końcu Donna podliczyła zakupy Stuarta, zapakowała je do torby i wydała resztę. A Shane pomyślała, że jak tak dalej pójdzie, to wkrótce znów wszystko o wszystkich będzie wiedziała.

Na nią samą patrzono w miasteczku trochę jak na dziwoląga: oto miejscowa dziewczyna wyjeżdża do dużego miasta, a potem wraca z głową pełną szalonych pomysłów. W sumie jednak ludzie ją lubili, zwłaszcza starsi. Społeczność Sharpsburga cechowało silne poczucie własności. Ona, Shane, była częścią tego miasteczka. Wprawdzie nie poślubiła syna Trainerów, jak tak oczekiwano, ale przynajmniej wróciła.

- Stu nigdy się nie zmieni - zauważyła Donna, gdy zostały same. - Pamiętasz, kiedy chodziłyśmy do drugiej klasy, a on do trzeciej? Był kapitanem drużyny futbolowej i najprzystojniejszym chłopakiem w szkole.

- Najprzystojniejszym i jednym z najgłupszych - dodała kwaśno Shane.

- No tak, ty zawsze wolałaś inteligentne typy... Hej, wiesz co? Mam takiego dla ciebie.

- Takiego kogo?

- Intelktualistę. A przynajmniej takie robi wrażenie. W dodatku jest twoim sąsiadem.

- Moim sąsiadem?

- Kupił dom starego Farleya. Wprowadził się w zeszłym tygodniu.

- Serio? Dom Farleya?

Shane uniosła brwi, co Donna przyjęła z satysfakcją. Zdziwienie bowiem oznaczało, że przyjaciółka nie zna najnowszych wieści.

- Przecież pożar strawił niemal całą chałupę - ciągnęła Shane. - Kto by chciał taką ruinę?

- Facet nazywa się Vance Banning - oznajmiła Donna. - Jest z Waszyngtonu. Ze stolicy, a nie ze stanu Waszyngton.

Przetrawiwszy tę informację, Shane wzruszyła ramionami.

- No cóż, nawet jeśli dom nie nadaje się do zamieszkania, to ziemia, na

której stoi, jest jednak coś warta. - Podeszła do regału z kawą, wybrała półkilogramową puszkę i nie sprawdzając ceny, postawiła ją przy kasie. - Pewnie ten Banning nabył posiadłość, licząc na jakieś ulgi podatkowe.

- Chyba jednak nie. - Donna wybiła cenę kawy i patrzyła, jak Shane wyciąga z tylnej kieszeni spodni dwa banknoty. - Gdyby tak było, nie przeprowadzałby remontu.

- Idealista. - Shane schowała resztę.

- A remont robi własnoręcznie - dodała przyjaciółka, porządkując batony w gablotce przy kasie. - Podejrzewam, że nie ma zbyt dużo pieniędzy. I chyba jest bezrobotny.

Shane natychmiast zrobiło się żal mężczyzny. Z doświadczenia wiedziała, że utrata pracy może spotkać każdego. W zeszłym roku dyrektorka szkoły, w której uczyła, musiała zwolnić trzy procent personelu.

- Podobno nieźle sobie radzi - ciągnęła Donna. - Archie Moler był tam kilka dni temu; podrzucił zamówione drewno. Mówi, że ganek jest już odnowiony. I że facet prawie nie ma mebli, tylko pudła z książkami.

Shane zaczęła się zastanawiać, co mogłaby mu oddać. Miała kilka zbędnych krzeseł i...

- W dodatku jest piekielnie przystojny.

- A ty jesteś szczęśliwą matką i żoną - przypomniała przyjaciółce Shane, żartobliwie grożąc jej palcem.

- Ale patrzeć chyba mogę, nie? - Donna rozmarzyła się. - Wysoki, czarne włosy, poorane bruzdami policzki. I te ramiona...

- Zawsze lubiłaś barczystych.

- Jest trochę za chudy jak na mój gust, ale ma tak cudownie pomarszczoną twarz i takie wyniosłe spojrzenie... Nie należy do osób zbyt towarzyskich. Trzyma się na uboczu, mało mówi...

- Trudno się tak od razu zaadaptować w nowym otoczeniu. - O tym Shane wiedziała z autopsji. - No i jak się nie ma pracy... Słuchaj, czy...

Ponownie rozległo się brzęczenie dzwonka. Obejrzawszy się przez ramię, zapomniała, o co chciała Donnę spytać.

W ciągu kilku sekund, kiedy przyglądali się sobie bez słowa, Shane

powierzyła pamięci każdy szczegół jego wyglądu. Owszem, był szczupły, ale ramiona miał szerokie, a ręce wystające z podwiniętych rękawów wyglądały na silne i umięśnione. Twarz pociągła, opalona; włosy gęste, czarne, opadające niedbale na czoło.

I usta. Pełne, pięknie wykrojone. Oczy niebieskie, spojrzenie przenikliwe, lecz zimne. Podejrzewała, że niekiedy bywa lodowate. Twarz faktycznie przykuwała uwagę i zdawała się mówić: proszę trzymać się ode mnie z daleka. Z jednej strony od Vance'a Banninga bił chłód, z drugiej kipiała w nim niespożyta energia.

Shane nie spodziewała się, że ktoś może jej się tak bardzo spodobać. W przeszłości pociągali ją beztroscy, pogodni mężczyźni o nieskomplikowanej naturze. Ten na pewno do takich się nie zaliczał, lecz nie mogła oderwać od niego wzroku. To było coś więcej niż chemia; to było niczym niepoparte przekonanie, że Vance Banning może urzeczywistnić jej najskrytsze marzenia.

Uśmiechnęła się. Mężczyzna odpowiedział jej nieznacznym skinieniem głowy, po czym skierował się na tyły sklepu.

- Kiedy planujesz wielkie otwarcie? - spytała Donna, jednym okiem śledząc obcego.

- Otwarcie? Czego? - Shane myślnymi wciąż była gdzie indziej. W krainie marzeń.

- Muzeum i sklepu.

- Za jakieś trzy miesiące. - Rozejrzała się po sklepie, jakby dopiero do niego weszła. - Czekam jeszcze sporo pracy.

Vance wyłonił się zza regałów z kartonem mleka. Postawił je na ladzie, po czym sięgnął po portfel. Donna wybiła cenę. Wydając resztę, przyjrzała się obcemu spod rzes. Po chwili wyszedł. Przez cały czas nie odezwał się słowem.

- To właśnie był Vance Banning - oznajmiła, gdy drzwi się za nim zamknęły.

- Domyśliłam się.

- No i widzisz? Wszystko, co mówiłam, to prawda. Z wyglądu porażający, z charakteru raczej mało towarzyski.

- Faktycznie... - Shane ruszyła w stronę drzwi. - Niedługo znów wpadnę.



- Shane! - roześmiała się Donna. - A kawa?

- Co? Nie, dziękuję - mruknęła nieprzytomna. - Może innym razem.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Donna przeniosła wzrok na puszkę kawy, którą trzymała w dłoni.

- Co jej odbiło? - zapytała samą siebie.

Wędrując z powrotem do domu, Shane czuła potworny mętlik w głowie. Była osobą szalenie emocjonalną, ale gdy zachodziła konieczność, potrafiła się skupić i myśleć w sposób trzeźwy, racjonalny. I właśnie teraz usiłowała na trzeźwo przeanalizować to, co się wydarzyło.

To było tak, jakby całe życie czekała na tę jedną krótką chwilę. Na to spotkanie, podczas którego nie padło ani jedno słowo. Miała wrażenie, że kiedy jej oczy spoczęły na Vansie Banningu, doznała olśnienia. Rozpoznała go. Nie, nie z wcześniejszego opisu Donny, lecz z własnych głęboko ukrytych pragnień. Po prostu zrozumiała, że jest to człowiek, z którym chce spędzić resztę życia.

To śmieszne, pomyślała. Idiotyczne. Nie знаła go, nawet nie słyszała jego głosu. Żadna rozsądna osoba nie miewa tak silnych odczuć w stosunku do obcych ludzi. Prawdopodobnie jej reakcja wynikała stąd, że chwilę przed pojawieniem się Vance'a rozmawiała o nim z Donną.

Skręciwszy z głównej drogi, ruszyła stromą ścieżką prowadzącą do jej domu. Vance Banning nie zrobił nic, czym mógłby ją ująć. Nie odwzajemnił uśmiechu, nie przywitał się, ledwo skinął głową. Spojrzenie niebieskich oczu zawierało ostrzeżenie, aby nie próbować się spoufalać. Tak, zdecydowanie nie jest to typ mężczyzny wzbudzający jej sympatię. Lecz emocje, jakie w niej wywołał, na pewno nie miały nic wspólnego z sympatią.

Stojąc na drewnianym mostku przerzuconym przez strumyk, poczuła przypływ radości. I dom, i gęsty las o liściach powoli przybierających jesienne barwy, i kręty strumyk, i sterczące z ziemi głazy - to wszystko było jej własnością, jej światem. Dom zbudowano ponad sto lat temu z miejscowych surowców, głównie kamieni. W czasie deszczu kamienne ściany ożywały - lśniły jak nowe. Teraz, w jaskrawym blasku słońca, były szare, stonowane.

Architektonicznie dom niczym szczególnym się nie wyróżniał; powstał z myślą o wygodzie mieszkańców, a nie po to, by czarować formą. Ścieżka

prowadziła pod sam ganek, którego pierwszy stopień się zapadał. Kamień okazał się doskonałym budulcem, wytrzymałym, niezniszczalnym. Kłopotów przysparzały elementy drewniane.

Ostatnie letnie kwiaty obumierały, a pierwsze jesienne rośliny budziły się do życia. Shane wyteńczyła słuch: woda szemrała, płynąc po kamieniach, wiatr szumiał, kołysząc liśćmi, pszczoły bzyczały leniwie.

Faye Abbott strzegła swej prywatności. Stojąc przed jej domem, można było obrócić się wkoło i nie dojrzeć żadnych innych zabudowań. Nie przeszkadzało to Shane. Po czterech latach spędzonych w ciasnych salach lekcyjnych i na zatłoczonych ulicach marzyła o ciszy, pustce i spokoju.

Uśmiechnęła się do swoich myśli. Przy odrobinie szczęścia może zdoła otworzyć sklep przed Bożym Narodzeniem. Kiedy zakończy się remont zewnętrzny budynku, wówczas będzie mogła rozpocząć prace wewnątrz. Wszystko miała dokładnie zaplanowane.

Parter podzieli na dwie części: pierwszą przeznaczy na małe muzeum, drugą na sklepik. Muzeum będzie bezpłatne; liczyła, że po obejrzeniu eksponatów zwiedzający wstąpią do sklepu. Miała wystarczająco dużą kolekcję rodzinnych skarbów, aby zaopatrzyć oba pomieszczenia; należało tylko podjąć decyzję, co zostawić dla siebie, co przeznaczyć na sprzedaż, a co wstawić do muzeum. Oczywiście wiedziała, że nie może spocząć na laurach, musi powiększyć swoje zbiory, wybrać się na kilka aukcji, ale czuła, że sobie poradzi.

Na domu i ziemi nie ciążyły żadne długi; musiała jedynie płacić nieduży roczny podatek. Samochód, stary, lecz na chodzie, też był splecony. Wszystkie pieniądze mogła przeznaczyć na rozkręcenie interesu. Zamierzała odnieść sukces, być całkowicie samowystarczalna i niezależna. Niezależność cenila nade wszystko.

Zbliżając się do domu, przystanęła i popatrzyła w bok na dawną drogę używaną przez drwali wiodącą do posiadłości starego Farleya. Ciekawe, jak Banningowi idzie remont. No i jego też chciała ponownie zobaczyć.

W końcu jesteśmy sąsiadami, powiedziała do siebie, usiłując rozwiać swe wahania. Wypada się przedstawić. Szybko, zanim znów ogarną ją wątpliwości, skreśliła w las.

Znała tu każde drzewo. Jako dziecko ganiała między nimi, zbierała liście,

szyszki. Kilka sosen połamanych przez wichurę leżało na ziemi i gniło. Inne rosły prosto, jakby chciały dosięgnąć nieba. Ich gałęzie tworzyły coś w rodzaju dachu, przez który z trudem przedzierały się promienie słońca. Shane wędrowała do celu pewnym siebie krokiem. Od domu Farleya dzieliło ją jeszcze kilkanaście metrów, kiedy usłyszała niosący się echem stukot młotka.

Była ukryta za drzewami, kiedy zobaczyła Vance'a. Stał na nowo zbudowanym ganku, bez koszuli, przybijając poręcze do pionowych słupków. Jego opalony tors lśnił od potu. Mięśnie na ramionach i plecach poruszały się rytmicznie. Skupiony na pracy nie zdawał sobie sprawy, że ktoś go obserwuje. Twarz miał całkowicie odprężoną. Znikło chłodne spojrzenie, znikła zacięta mina.

Kiedy Shane wyszła na polanę, Vance poderwał głowę. W jego oczach natychmiast odmalowało się zniecierpliwienie i podejrzliwość. Nie zwracając na to uwagi, Shane podeszła bliżej.

- Cześć. - Uśmiechnęła się, ukazując dwa dołeczki. - Jestem Shane Abbott. Mieszkam w domu na końcu tej drogi.

Uniósł brwi. Nie odezwał się słowem. Odkładając na bok młotek, zaczął się zastanawiać, czego, do diabła, to dziewczę tu szuka. Shane ponownie uśmiechnęła się, po czym popatrzyła na zrujnowaną chałupę.

- Czeka cię mnóstwo roboty - zauważyła przyjaznym tonem, wsuwając ręce do kieszeni dzinsów. - Strasznie wielki ten dom. Podobno kiedyś był bardzo piękny. Zdaje się, że na piętrze wzdłuż trzech ścian ciągnęła się weranda... - Zadarła głowę. - Ta chałupa od lat popadała w ruinę. Szkoda... A potem ten pożar... - Przeniosła wzrok na nowego właściciela. - Jesteś stolarzem?

Vance zawahał się, po czym wzruszył ramionami.

- Tak - odparł. W pewnym sensie był stolarzem.

- Przydadzą się tu twoje umiejętności - zauważyła. - Po reprezentacyjnych budowlach Waszyngtonu te góry to spora odmiana, prawda? - Na widok zdziwienia w oczach mężczyzny uśmiechnęła się szeroko. - Przepraszam. To cecha... niektórzy powiadają, że przekleństwo... prowincji. Wiadomości szybko się roznoszą, zwłaszcza gdy dotyczą alochtona.

- Alochtona?

- Obcego. Przybysza. Nawet gdybyś mieszkał tu dwadzieścia lat, nadal

będziesz alochtonem, a ten dom ludzie wciąż będą nazywać domem starego Farleya.

- Mogą go nazywać, jak chcą. Nie robi mi różnicy - oznajmił chłodno mężczyzna.

Shane przyjrzała mu się uważnie. Po chwili uznała, że taki człowiek jak Vance Banning nigdy nie przyjmie jałmużny, choćby oferowano mu ją w najlepszej wierze. Ale postanowiła spróbować.

- Wiesz - zaczęła - ja też przeprowadzam u siebie remont. Odziedziczyłam dom po babci, która nigdy niczego nie wyrzucała. Uwielbiała wszystko gromadzić i... Słuchaj, może przydałoby ci się kilka krzeseł? Jeśli nie uda mi się ich komuś wcisnąć, będę musiała je zanieść na strych. Tylko będą miejsce zajmować...

- Dziękuję. Mam wszystko, czego mi potrzeba.

Spodziewała się takiej odpowiedzi.

- W porządku. Ale gdybyś zmienił zdanie, to pamiętaj: będą czekały na strychu... Masz ładny kawałek ziemi - dodała, spoglądając hen na pastwisko. Nieopodal stało kilka zaniedbanych budynków gospodarczych. Ciekawa była, czy Vance zdąży je wyremontować przed zimą. - Nastawiasz się na hodowlę?

Mężczyzna zmarszczył czoło.

- Na hodowlę? - zdziwił się.

- No tak - powiedziała, starając się zignorować jego zimny, nieprzyjazny ton. - Pamiętam, że kiedy jako mała dziewczynka kładłam się spać, a latem okna w domu były otwarte, to z pastwiska dobiegało mnie ryczenie krów Farleya. Słyszałam je tak wyraźnie, jakby stały na dole w babcinym ogródku. Lubiłam ten dźwięk.

- Nie, nie zamierzam prowadzić żadnej hodowli - odparł krótko, po czym sięgnął po młotek, dając do zrozumienia, że chce wrócić do pracy.

Shane zmrużyła z namysłem oczy. Nie, tak się nie objawia nieśmiałość, uznała. Tak się objawia brak wychowania. Facet jest po prostu źle wychowany.

- Przepraszam, że ci przeszkodziłam w pracy - rzekła chłodno. - Skoro jesteś alochtonem, dam ci dobrą radę. Jeśli nie życzysz sobie nieproszonych gości, powinieneś ogrodzić swój teren.

Odwróciwszy się na pięcie, energicznym krokiem ruszyła w stronę ścieżki i

po chwili znikła z pola widzenia.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Smarkula, psiakrew! Uderzając młotkiem w dłoń, Vance patrzył na drzewa, wśród których znikła dziewczyna. Wiedział, że zachował się nieładnie, ale nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Kupił położony na pustkowiu kawałek ziemi właśnie dlatego, że chciał być sam, a nie dlatego, że marzył o życiu towarzyskim. Nie zależało mu na sąsiedzkich wizytach, zwłaszcza na wizytach składanych przez blondynki o wielkich piwnych oczach i dołeczkach w policzkach.

Czego tu, do licha, szukała? Na co liczyła? - zastanawiał się, wyciągając gwóźdź z torby przy pasie. Na miłą pogawędkę? Na to, że oprowadzi ją po domu?

Roześmiawszy się pod nosem, pokręcił głową. To się pomyliła! Trzema wprawnymi uderzeniami wbił gwóźdź w drewnianą poręcz. Nie chciał utrzymywać dobrosąsiedzkich stosunków. Chciał tylko jednego: mieć czas dla siebie. Żeby robić to, co mu się podoba. Zbyt wiele lat minęło, odkąd mógł sobie pozwolić na ten luksus.

Wydobył z torby kolejny gwóźdź, ustawił na poręczy, po czym szybko wbił. Wcześniej w sklepie na widok Shane poczuł dziwne ukłucie. Wzbudziło to jego lęk i czujność. Kobiety, psiakrew, lubią wykorzystywać męskie słabości. Zamierzał się pilnować. Drugi raz nie popełni tego samego błędu. Miał liczne blizny, które przypominały mu o tym, co naprawdę kryje się w wielkich, niewinnie wyglądających oczach.

No dobrze, czyli jestem stolarzem, pomyślał, uśmiechając się ironicznie. Obrócił ręce dłońmi do góry. Były spracowane, pokryte odciskami. Przez wiele lat miał gładkie, delikatne dłonie przyzwyczajone do podpisywania umów lub wypisywania czeków. Teraz, tak jak na samym początku, znów pracował fizycznie. Kochał drewno. Tak, dopóki nie najdzie go przemożna ochota, aby ponownie zasiąść za biurkiem, może być stolarzem.

Remontując spalony dom, po raz pierwszy od dawna miał poczucie, że robi coś sensownego. Praca fizyczna dawała mu autentyczną satysfakcję. Wiedział, co to jest stres, napięcie, sukces, obowiązek, ale od kilku lat nie potrafił sobie przypomnieć, czym jest przyjemność.

Niech firmą Riverton Construction pokieruje dla odmiany wiceprezes, on

zaś zamierza zrobić sobie paromiesięczny urlop. I niech ta mała blondynka o wielkich, przyjaznych oczach nie przychodzi więcej z wizytami, dodał w myślach, wbijając kolejny gwóźdź. Nie miał ochoty na żadne pogawędki.

Słyszając szelest suchych liści, odwrócił głowę. Na widok podążającej ścieżką Shane zaklął pod nosem i teatralnym gestem człowieka zniecierpliwionego tym, że ktoś mu nieustannie przeszkadza, odłożył młotek i się wyprostował.

- O co chodzi? - Mierząc dziewczynę lodowatym spojrzeniem, czekał na odpowiedź.

Zatrzymała się dopiero przy pierwszym stopniu prowadzącym na ganek. Nie da się zastraszyć temu gburowi!

- Zdaję sobie sprawę, że jesteś człowiekiem niezwykle zajęтым - rzekła chłodnym tonem - ale może cię zainteresuje, że tuż przy ścieżce, na terenie twojej posiadłości, wypatrzyłam gniazdo jadowitych węży.

Vance zmrużył oczy, jakby się zastanawiał, czy dziewczyna nie wymyśliła tych węży tylko po to, żeby mu znów przeszkodzić w pracy. Nie drgnęła pod jego natarczywym spojrzeniem; odczekawszy chwilę, odwróciła się i ruszyła tam, skąd nadeszła. Zdażyła ująć trzy metry, kiedy westchnąwszy ciężko, zawołał za nią:

- Poczekaj. Musisz mi pokazać gdzie.

- Nic nie muszę... - odparła gniewnie, po czym umilkła, zobaczyła bowiem, że przemawia do powietrza.

Przez moment żałowała, że dostrzegła te węże. Może powinna była je zignorować i udać się do siebie? Ale gdyby Vance niechcący je nadepnął i został ukąszony, to oczywiście do końca życia miałyby wyrzuty sumienia.

W porządku, po prostu spełnisz swój obywatelski obowiązek. Dobry uczynek nikomu jeszcze nie zaszkodził. Kopnęła nogą sterczący z ziemi głaz. Po jakie лихо wychodziła rano z domu?

Siatkowe drzwi zamknęły się z głośnym trzaskiem. Podniósłszy wzrok, Shane zobaczyła, jak Vance schodzi po schodach, trzymając w ręku strzelbę.

- Idziemy - warknął.

Ruszył przodem. Zgrzytając zębami, Shane podążyła za nim. Kiedy znaleźli się na ścieżce prowadzącej przez las, Shane wysunęła się na prowadzenie. Kilkanaście metrów dalej zwolniła i wskazała palcem na stos kamieni oraz starych

wyschniętych liści.

- Tu.

Podszedłszy bliżej, Vance dojrzał charakterystyczne miedziane zygaki. Gdyby go Shane tu nie przyprowadziła, sam nigdy by nie znalazł tego gniazda. No, chyba że niechcący by w nie wdepnął. Koszmar, pomyślał; tym bardziej że znajduje się niemal przy samej ścieżce. Chwycił z ziemi długi, gruby kij i przesunął kamień. Natychmiast rozległo się syczenie.

Shane obserwowała go w milczeniu. Stojąc ze wzrokiem wbitym w gniewne kłębowisko, nie zauważyła, jak Vance podnosi strzelbę. Podskoczyła na odgłos pierwszego strzału. Podczas następnych czterech serce waliło jej jak młotem. Nie potrafiła oderwać oczu od gniazda węży.

- Powinno wystarczyć - mruknął mężczyzna, zabezpieczając broń. Popatrzył na Shane, której twarz przybrała zielonkawy odcień. - Co ci jest?

- Mogłeś mnie uprzedzić - powiedziała drżącym głosem. - Odwróciłabym głowę.

Przeniósł spojrzenie na porozrywaną na strzępy masę. Zachował się jak kretyn, skarcił się w myślach. Przeklinając w duchu, chwycił Shane za łokieć.

- Wróćmy do mnie. Usiądziesz, odpoczniesz...

- Nic mi nie jest. - Zła i zawstydzona, usiłowała się oswobodzić. - Poza tym nie chcę nadużywać twojej gościnności.

- A ja nie chcę, żebyś mi zemdlała na środku ścieżki - burknął, ciągnąc ją w stronę polany. - Nie musiałaś stać i czekać, żebym strzelił. Mogłaś odejść.

- Ależ nie ma potrzeby dziękować - oznajmiła ironicznie, trzymając się za brzuch. - Psiakrew! W życiu nie spotkałam tak nieprzyjemnego, źle wychowanego człowieka!

- A ja tak się staram - mruknął.

Pchnąwszy siatkowe drzwi, wprowadził Shane do środka. Minęli wielki pusty salon o brudnych, osmolonych ścianach i gołej, porysowanej podłodze, po czym weszli do kuchni.

- Musisz mi koniecznie podać nazwisko swojego dekoratora - powiedziała. Miała wrażenie, że Vance z trudem hamuje śmiech, ale może tylko tak jej się wydawało.



W przeciwieństwie do reszty domu, kuchnia prezentowała się znakomicie. Nowa tapeta, nowe szafki, nowe blaty...

- Ładnie tu. - Shane posłusznie usiadła na krześle. - To wszystko twoja robota?

- Zagotuję wodę na kawę - rzekł, stawiając czajnik na ogniu, pomijając jej pytanie milczeniem.

Shane rozglądała się po kuchni, usiłując wymazać z pamięci makabryczny obraz rozstrzelanych węży. Zauważyła, że Vance wymienił okna; nowe framugi dobrał tak, by pasowały do drewnianych elementów na ścianach. Belki pod sufitem pozostawił w nienaruszonym stanie, jedynie porządnie je oczyścił. Szpary w starej dębowej podłodze zostały uzupełnione, podłoga wycyklinowana i zabezpieczona woskiem. Nie ulega wątpliwości, że Vance świetnie radzi sobie z drewnem. Przy odnawianiu ganku nie miał zbyt dużego pola do popisu, natomiast w kuchnię włożył wiele serca.

Jakie to niesprawiedliwe, pomyślała, żeby ktoś tak uzdolniony był bezrobotny. Przypuszczalnie zużył wszystkie swoje oszczędności na kupno posiadłości Farleya. Nawet jeśli spalony dom był niewiele wart, to jednak ziemia kosztowała niemało. Przypomniawszy sobie resztę zniszczonych pomieszczeń na parterze, Shane zrobiło się żal mężczyzny.

- Kuchnia jest wspaniała... - oznajmiła.

Z haczyka na ścianie Vance zdjął kubek.

- Mam tylko rozpuszczalną.

Shane westchnęła.

- Posłuchaj... - Zamilkła, czekając, aż gospodarz odwróci się do niej twarzą. - Trochę niefortunnie zaczęła się nasza znajomość. Naprawdę nie należę do tych wścibskich typów, które wtrącają się do życia sąsiadów. Ale... po prostu byłam ciekawa, kim jesteś i jak postępuje remont. Nie chciałam ci przeszkadzać ani się naprzykrzać.

Odsunąwszy krzesło, wstała od stołu i skierowała się do wyjścia. Zanim wykonała trzy kroki, Vance położył rękę na jej ramieniu.

- Usiądź, Shane. Proszę.

Przez moment uważnie mu się przypatrywała. Nie dostrzegła w jego twarzy

wrogości czy niechęci, przeciwnie, dojrzała wrażliwość i dobroć, które starał się przed nią ukryć.

- Dobrze. Ale uprzedzam cię, że kawę pijam z mlekiem i cukrem. Z trzema pełnymi łyżeczkami cukru.

Kąciki ust mu zadrgały.

- To obrzydliwe.

- Wiem. Masz cukier?

- Mnóstwo.

Zalał rozpuszczalną kawę wodą; po chwili wahania zdjął z haczyka drugi kubek. Postawiwszy oba na stole, wysunął krzesło i usiadł koło Shane.

- Jaki piękny - powiedziała, delikatnie gładząc ręką drewniany blat. Wlała do kubka odrobinę mleka i nie zważając na skrzywioną minę gospodarza, wsypała trzy kopiaste łyżeczki cukru. - Kiedy go odświeżysz, będziesz miał prawdziwe dzieło sztuki... Znasz się na zabytkowych meblach?

- Nie bardzo.

- Ja je uwielbiam. Prawdę mówiąc, zamierzam otworzyć sklep ze starociami. - Niedbałym gestem odgarnęła włosy z czoła. - Tak się składa, że oboje w tym samym czasie wprowadziliśmy się do naszych domów. Ja ostatnie cztery lata spędziłam w Baltimore, ucząc w szkole historii Stanów Zjednoczonych.

- I co? Zrezygnowałaś z nauczania?

- Tak. Niestety, praca w szkole wiąże się z koniecznością przestrzegania pewnych reguł i przepisów.

- A ty nie lubisz reguł i przepisów?

- Lubię tylko te, które sama ustalam - przyznała ze śmiechem. - Byłam niezłą nauczycielką. Mój problem polegał na egzekwowaniu dyscypliny. - Sięgnęła po kawę. - Po prostu nie umiem tego robić.

- A uczniowie to wykorzystywali?

- Jeszcze jak!

- Mimo to wytrwałaś cztery lata...

- Tak, chciałam spróbować. Sprawdzić się. - Podparła brodę dłonią. - Podobnie jak wielu ludzi, którzy dorastają na prowincji, kusilo mnie życie w dużym mieście. Kawiarnie, teatry, ruch, zgiewk, tłumy... marzyłam o tym. Po

czterech latach poczułam przesyta. - Podniosła kubek do ust. - Z kolei wielu mieszczuchów marzy o przeprowadzce na wieś. Chcą uprawiać warzywa, hodować kozy. - Roześmiała się. - Cudze zwykle lepiej smakuje...

- Tak powiadają - przyznał Vance. W oczach Shane zauważył maleńkie złote punkciki. Dlaczego wcześniej ich nie dostrzegł?

- A ty? Dlaczego akurat wybrałeś Sharpsburg?

Wzruszył ramionami. Wolał jak najmniej mówić na swój temat.

- Kiedyś pracowałem w Hagerstown. Spodobała mi się okolica.

- Dom położony tak daleko od głównej szosy ma swoje minusy, zwłaszcza zimą. Kiedyś nie było prądu przez trzydzieści dwie godziny. Paliłyśmy z babcią w piecu, na zmianę pilnowałyśmy, żeby ogień nie zgasł, gotowałyśmy sobie zupę... W dodatku telefon nie działał. Miałam wtedy wrażenie, jakbyśmy były jedynymi osobami na świecie.

- Nie bałaś się?

- Pewnie zaczęłabym, gdyby to trwało dłużej. - Błysnęła zębami w uśmiechu. - Nie mam natury pustelnika.

Poczuła, jak przeskakuje między nimi iskra. Speszyla się. Potrzebowała czasu, żeby się zastanowić, co ma zrobić, jak się zachować.

Wstawszy od stołu, podeszła do zlewu i umyła kubek.

- Jesteś bardzo atrakcyjną dziewczyną - powiedział Vance. Ciekaw był jej reakcji.

- Nie żartuj! Z taką twarzą mogłabym co najwyżej reklamować batoniki. - Posłała mu promienny uśmiech. - Wolałabym porażać seksapilem, ale co to za femme fatale z zadartym nosem i dołeczkami w policzkach?

Wróciła do stołu. Zachowywała się swobodnie, nie miała w sobie krztyny sztuczności. Obserwował ją kątem oka; nie umiał jej rozgryźć. Zajęta podziwianiem kuchni, nie widziała marsa na jego czole.

- Jestem pod wrażeniem twojej pracy - rzekła po chwili. - Słuchaj... Zanim otworzę sklep, muszę trochę przebudować dom, no i na pewno go odnowić. Drobne rzeczy, takie jak malowanie, mogę zrobić sama, ale ze stolarką sobie nie poradzę.

A więc o to jej chodzi! O frajera, któremu nie musiałyby płacić. Zaraz

odegra rolę biednej, bezradnej niewiasty, która liczy na to, że facet uniesie się honorem i zaproponuje pomoc.

- Mam mnóstwo pracy u siebie - oznajmił chłodno, kierując się do zlewu.

- Wiem, ale może udałoby nam się wypracować jakiś kompromis. - Przejęta nowym pomysłem, również wstała od stołu i podeszła do zlewu. - Oczywiście nie mogłabym ci płacić tyle, ile zarabiałeś w mieście - ciągnęła. - Mogłabym... hm, pięć dolarów za godzinę. Gdybyś zdołał poświęcić mi dziesięć lub piętnaście godzin tygodniowo...

Przygryzła wargi. Zdawała sobie sprawę, że suma, jaką zaproponowała, jest śmiesznie niska, ale w tym momencie na więcej naprawdę nie było jej stać.

Vance zakręcił wodę i nie kryjąc zdumienia, wbił oczy w Shane.

- Oferujesz mi pracę?

Niepewna, czy go przypadkiem nie uraziła, zaczerwieniła się po uszy.

- No, taką na ćwierć etatu. Jeśli jesteś zainteresowany. Wiem, że gdzie indziej mógłbyś zarobić więcej, więc jeżeli znajdziesz lepszą ofertę, to oczywiście nie będę zatrzymywała cię na siłę, ale na razie, dopóki nie masz innych propozycji...

- Mówisz serio? - spytał po chwili milczenia.

- Tak.

- Dlaczego?

- Potrzebuję stolarza, a ty nim jesteś... Może byś chociaż wpadł jutro i zobaczył, co jest do zrobienia? - Ruszyła do wyjścia. - Dzięki za kawę - dodała, przystając z ręką na kłamce.

Przez kilka minut wpatrywał się w drzwi, które za sobą zamknęła, po czym wybuchnął śmiechem. No proszę, czegoś takiego to się nie spodziewał!

Nazajutrz Shane wstała skoro świt. Miała pełno pomysłów w głowie i zamierzała je systematycznie realizować. Nie należała do osób dobrze zorganizowanych, między innymi dlatego praca w szkole przestała jej odpowiadać. Jeżeli jednak chce rozkręcić interes, to musi zacząć od początku, czyli od przeprowadzenia dokładnej inwentaryzacji. A zatem powinna sprawdzić, czym dysponuje, co chce zostawić sobie, co wstawić do muzeum, a co przeznaczyć

na sprzedaż.

Postanowiła zacząć od parteru, następnie przejść na piętro. Stojąc na środku salonu, rozejrzała się dookoła. Fotel w stylu chippendale i stół z opuszczanym blatem były w idealnym stanie, podobnie jak dwie lampy naftowe. Drewniane krzesło z wysokim zapiekiem potrzebowało nowego obicia na siedzisku; nowa tapicerka przydałaby się również kanapie. Na dziewiętnastowiecznym stoliku do kawy stał porcelanowy dzban z 1830 roku z bukietem zasuszonych kwiatów. Shane pogładziła je ręką, po czym chwyciła notes.

W tym domu spędziła całe dzieciństwo; wiedziała, że nie może sobie pozwolić na sentymenty. Gdyby babcia żyła, powiedziałaaby jej: jeżeli masz pewność, to nie wahaj się. Shane miała stuprocentową pewność.

Zapisywała przedmioty w dwóch kolumnach; w pierwszej umieszczała rzeczy wymagające odświeżenia lub naprawy, w drugiej rzeczy będące w doskonałym stanie, nadające się do sprzedaży. Wszystko należało wycenić; wiedziała, że to nie będzie proste. Od dłuższego czasu spędzała wieczory na studiowaniu katalogów i robieniu notatek. Odwiedziła też wszystkie sklepy z antykami w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od domu.

Całą jedną ścianę w salonie zajmował regał, zbudowany, zanim jeszcze Shane przyszła na świat. Podchodząc do niego, dziewczyna przedzieliła kartkę w notesie; w trzeciej kolumnie miały figurować rzeczy przeznaczone do muzeum.

Czapka z okresu wojny secesyjnej oraz klamra u paska, szklany słoik pełen pustych naboju, szabla oficera kawalerii, draśnięta przez kulę trąbka, menażka z wrytymi literami JDA - to tylko niektóre pamiątki odziedziczone po babce. Na strychu znajdowała się skrzynia z mundurami i starymi sukniami. Był tam też pamiętnik, w którym jeden z pra - prawujów Shane opisywał swoje wrażenia z trzech lat walki po stronie Południa, oraz listy ojca, który walczył po stronie Północy, do swojej córki - jednej z ciotek Shane. Wszystkie te skarby zostaną posegregowane, opisane i umieszczone w szklanych gablotach.

Podobnie jak babkę, fascynowały ją stare rzeczy, pamiątki minionych czasów, ale w przeciwieństwie do babki, nie traktowała ich po macoszemu. Ilekroć je oglądała, odpływała myślami daleko, usiłując sobie wyobrazić tamten

świat.

Na przykład: kto pierwszy zagrał na trąbce, wówczas lśniącej i nieuszkodzonej? Pewnie był to jakiś niedoświadczony młokos. Czy bardzo się bał? A może podniecony rwał się do walki? Zapewne wcześniej mieszkał na wsi i był przekonany o własnych racjach. Bez względu na to, po której walczył stronie, on pierwszy dał sygnał do ataku.

Z głębokim westchnieniem Shane zdjęła trąbkę z półki i zapakowała do kartonu. Kolejno brała do rąk wszystkie przedmioty, owijała je i pakowała, aż doszła do najwyższej półki. Nie miała ochoty ciągnąć z drugiego końca pokoju ciężkiej drabiny; przysunęła krzesło. Kiedy na nim stanęła, rozległo się pukanie do drzwi kuchennych.

- Proszę! - zawołała, jedną ręką usiłując dosięgnąć najwyższej półki, a drugą przytrzymując się niższej, by nie stracić równowagi.

Psiakość! Zakłęła pod nosem, bo wciąż brakowało jej paru centymetrów. Wspięła się na palce i lekko zachwiała. W tym momencie Vance Banning chwycił ją w pasie.

- Boże! Ale mnie wystraszyłeś!

- Czyś ty oszalała? Możesz sobie nogi połamać.

Zdjął ją z krzesła i postawił na podłodze. Policzek miała ubrudzony, włosy potargane. Stała z rękami opartymi o jego ramiona. Kiedy uniosła twarz i uśmiechnęła się, odruchowo przywarł wargami do jej ust.

Nie szamotała się, nie próbowała wrywać. Była zaskoczona, ale już po chwili odprężyła się. Wiedziała, że prędzej czy później Vance ją pocałuje, tylko nie spodziewała się, że zrobi to już dziś. Gdy uniosła dłoń do jego policzka, Vance natychmiast ją puścił. Dotykem dłoni najwyraźniej przekroczyła barierę intymności.

Pragnęła, aby znów wziął ją w ramiona, ale nie dała tego po sobie poznać. Wiedziała, że powinna potraktować całe zajście lekko, z humorem. Przechylając w bok głowę, uśmiechnęła się szelmowsko.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - odparł niepewnie.

- Przeprowadzam inwentaryzację - oznajmiła, wskazując ręką na kartony. -

Zanim wyniosę wszystko na górę, chcę sobie zapisać, czym dysponuję. W tym pokoju planuję urządzić muzeum, a resztę parteru przerobić na sklep... Mógłbyś mi podać rzeczy z najwyższej półki?

Vance przysunął drabinę i bez słowa spełnił prośbę dziewczyny. Zdziwiło go, że ani słowem nie skomentowała ich pocałunku.

Shane zerknęła do notatek.

- Trzeba będzie spruć całą kuchnię na parterze i urządzić nową na piętrze. - Wiedziała, że Vance uważnie na nią patrzy, czekając na jej reakcję. Nie zamierzała jednak dać mu tej satysfakcji. - Poza tym chcę zburzyć niektóre ściany i poszerzyć otwory drzwiowe. Ale zależy mi, aby ogólny charakter i klimat domu pozostał taki sam.

- Wszystko masz starannie obmyślane - stwierdził. Ciekaw był, czy Shane udaje, że pocałunek nie wywarł na niej wrażenia, czy naprawdę tak było.

Przycisnąwszy notes do piersi, rozejrzała się po pokoju.

- Wystąpiłam o różne pozwolenia. Straszna biurokracja! - Westchnęła. - Wiesz, nigdy nie miałam głowy do interesów, ale postanowiłam zaryzykować. I jestem pewna... - Jej głos zmienił się, stał się bardziej zdecydowany. - Jestem pewna, że odniosę sukces.

- Na kiedy planujesz otwarcie?

- Chciałabym na początku grudnia, ale... - Wzruszyła ramionami. - Wszystko zależy, w jakim tempie będzie się posuwał remont i czy zdołam powiększyć zapas towarów. Chodź, pokażę ci resztę domu, żebyś mógł podjąć decyzję. - Skierowała się w stronę kuchni. - Kuchnia jest całkiem duża; można jeszcze zlikwidować spizarnię. - Otworzyła drzwi, demonstrując ogromną szafę w ścianie. - Jak się to rozbierze i wyrzuci szafki, zyskam sporo miejsca. A jeśli się poszerzy ten otwór drzwiowy - pchnęła drzwi wahadłowe - i zostawi przejście zwieńczone łukiem, zyskam dodatkową przestrzeń w głównej sali.

Przeszli do jadalni, w której wzrok przykuwały podłużne okna w kształcie rombu. W sposobie bycia Shane nie było żadnego wahania; dokładnie wiedziała, jaki efekt chce osiągnąć.

- Kominka od lat nikt nie używał. Nawet nie wiem, czy można w nim rozpalić ogień. - Poglądziła ręką wykonany z drzewa wiśniowego blat stołu, który

lśnił w promieniach słońca. - To ukochany mebel mojej babci. Przewieziono go ponad sto lat temu z Anglii, razem z krzesłami. Styl hepplewhite, późny osiemnasty wiek. - Obrysowując palcem oparcie najbliższego krzesła, ciągnęła cicho: - Szkoda mi sprzedawać ten komplet, babcia go uwielbiała, ale... - W jej głosie zabrzmiała nuta tęsknoty. - Nie mam gdzie go składować. Po prostu to luksus, na który mnie nie stać. - Odwróciła się. - Ten sekretarzyk pochodzi z tego samego okresu co stół z krzesłami...

- Wszystko by ci się zmieściło, gdybyś zrezygnowała z pomysłu muzeum i podjęła pracę w miejscowej szkole - wtrącił Vance.

- Nie. - Potrząsnęła głową, po czym popatrzyła mu w oczy. - Nie nadaję się na nauczycielkę. Wkrótce zaczęłabym skracać lekcje i wagarować, jak moi uczniowie. Dzieciaki zasługują na kogoś lepszego, bardziej odpowiedzialnego. - Twarz się jej rozpromieniła. - Fascynuje mnie historia, ale nieco innego typu niż ta nauczana w szkole. - Ponownie pogładziła ręką wiśniowy stół. - Lubię wiedzieć takie rzeczy jak: kto pierwszy siedział na tym krześle? Kobieta czy mężczyzna? W co był ubrany? O czym rozmawiali biesiadnicy podczas kolacji? O polityce i nowych koloniach? Może któryś z gości znał Bena Franklina i potajemnie z nim sympatyzował? - Roześmiała się. - Nie takich rzeczy powinno się uczyć na lekcjach historii.

- Na pewno są znacznie ciekawsze niż suche daty i nazwiska.

- Może - przyznała. - Ale tak czy inaczej nie wrócę do nauczania. Zdarzyło ci się robić coś, co sprawiało ci autentyczną przyjemność, coś, w czym byłeś naprawdę dobry, a potem nagle obudzić się z poczuciem, że tkwisz zamknięty w klatce? Że nie możesz oddychać?

Skinął głową potakująco. Tak, doskonale znał to uczucie.

- Więc powinieneś zrozumieć, dlaczego musiałam dokonać wyboru między tym, co kocham, a własnym zdrowiem psychicznym. - Wolnym krokiem obesła jadalnię. - W tym pokoju nie chcę wprowadzać żadnych zmian poza powiększeniem otworów drzwiowych. Tę boazerię na ścianie wykonał mój pradziad. Był z zawodu kamieniarzem, ale z drewnem też sobie nieźle radził.

- Piękna robota - stwierdził Vance, podziwiając widoczną gołym okiem dbałość o szczegóły. - Nawet dysponując współczesnymi narzędziami, niełatwo



byłoby dorównać twojemu uzdolnionemu przodkowi. Masz rację, w tym pokoju należy wszystko zostawić tak, jak jest.

Chociaż z początku nastawiony był niechętnie do propozycji pracy u Shane, powoli coraz bardziej zapalał się do tego pomysłu. Byłoby to prawdziwe wyzwanie, inne niż odbudowa spalonego domu starego Farleya. Wyczuwając w nim zmianę, Shane postanowiła kuć żelazo póki gorące.

- Z kolei za tymi drzwiami - pociągnęła Vance'a lekko za rękaw - znajduje się mały salonik, który sąsiaduje z dużym salonem. Chciałabym, żeby służył za wejście do sklepu, a w jadalni byłaby główna sala wystawiennicza.

Mały salonik mierzył około piętnastu metrów kwadratowych, miał porysowaną drewnianą podłogę, a na ścianach spłowieła tapetę. Ale stało w nim kilka pięknych mebli wykonanych przez Duncana Phyfe'a oraz krzesło Morrisa. Nagle przyszło Vance'owi do głowy, że podczas zwiedzania parteru nie widział ani jednego mebla liczącego mniej niż sto lat; zauważył też serwis - chyba że to była doskonała podróbka - Wedgewooda. Zgromadzone tu rzeczy musiały być warte niemałą fortunę, a drzwi kuchenne ledwo trzymały się na zawiasach.

- Sporo jest do zrobienia. - Shane otworzyła okno, by pozbyć się stęchłego zapachu. - Nawet nie wiem, od czego zacząć. Właściwie cały pokój należałoby odnowić.

Patrzyła, jak Vance, marszcząc z namysłem czoło, rozgląda się uważnie. Jego doświadczone oko widziało wszystkie rysy, pęknięcia, niedoskonałości. Miała wrażenie, że denerwuje go to, że można doprowadzić tak piękny dom do takiego stanu. A przecież, pomyślała z rozbawieniem, wszystkiego jeszcze nie widział.

- Może na razie powinnam ci oszczędzić widoku piętra.

- Dlaczego? - Uniósł pytająco brwi.

- Bo góra wymaga dwa razy więcej pracy niż dół. A nie chciałabym cię zniechęcić. Potrzebuję pomocy...

- Oj, potrzebujesz - mruknął.

U siebie musiał przeprowadzić generalny remont, niemal zbudować dom od podstaw. Tu zaś remont polegałby na udoskonaleniu tego, co jest. Trzeba by wykazać się talentem, sprytem, pomysłowością. Pociągało to Vance'a; lubił

prawdziwe wyzwania.

- Vance... - Po chwili wahania Shane postanowiła wykonać skok na głęboką wodę. - W porządku, mogłabym ci zapłacić sześć dolarów za godzinę, dorzucić kolacje i każdą ilość kawy, na jaką będziesz miał ochotę. Zastanów się. Ludzie, którzy będą odwiedzać muzeum albo przyjadą do sklepu, zobaczą efekty twojej pracy. A to może pociągnąć za sobą dalsze zamówienia...

W odpowiedzi uśmiechnął się szeroko. Serce zabiło jej mocniej. Ten uśmiech, tak jak wcześniejszy pocałunek, przejął ją dreszczem.

- Dobrze, Shane. Umowa stoi.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Zadowolona z siebie i ucieszona dobrym humorem swojego gościa, postanowiła jednak pokazać mu pomieszczenia na piętrze. Ująwszy go za rękę, ruszyła stromymi schodami na górę. Chociaż nie wiedziała, co wywołało uśmiech na twarzy Vance'a, pragnęła, by trwał jak najdłużej.

Ręka Shane wydawała mu się malutka, delikatna, zupełnie jak rączka dziecka. Zastanawiał się, czy reszta też jest tak cudownie jedwabista. Uspokój się, skarcił się w myślach. Dziewczyna nawet nie jest w twoim typie.

- Na górze są trzy sypialnie - wyjaśniła. - Swoją chciałabym zachować, sypialnię babci przerobić na salon, a w sypialni dla gości urządzić kuchnię. Malowaniem ścian czy kładzeniem tapet mogę zająć się sama. - Przystanęła z ręką na klamce.

Odruchowo podniósł palec i potarł jej nos.

- Wysmarowałaś się czymś - wyjaśnił.

Roześmiawszy się, zaczęła sama pocierać nos.

- Jeszcze tu... - Przejechał palcem po jej kości policzkowej. - I tu... - dodał, dotykając brody.

Nie odrywała od niego oczu. On zaś nie wytrzymał jej spojrzenia i opuścił rękę. W powietrzu wyczuwało się napięcie. Shane odchrząknęła i nacisnęła klamkę.

- Tu... - Usiłowała się skupić, zebrać rozproszone myśli. - Tu był pokój babci. - Nerwowym ruchem przeczesła włosy. - Podłoga jest w opłakanym stanie. Nie wiem też, co za kretyn pomalował dębową boazerię... - Wzięła głęboki oddech; serce przestało jej już tak łomotać. - Chciałabym to wszystko odnowić. - Popatrzyła z niezadowoleniem na odklejające się tapety. - Babcia nie lubiła zmian. W tym pokoju nie zmieniała niczego od trzydziestu lat, czyli odkąd umarł jej mąż. Okna się z trudem domykają, dach przecieka, kominek dymi. Właściwie poza jadalnią cały dom jest w stanie ruiny. Babci nie chciało się nic reperować...

- Kiedy umarła?

- Trzy miesiące temu. - Shane pogładziła leżącą na łóżku barwną narzutę. - Po prostu któregoś ranka nie obudziła się. Ja prowadziłam letnie kursy z historii;

nie mogłam rzucić pracy. Oczywiście przyjechałam na pogrzeb, ale na stałe wróciłam dopiero tydzień temu.

Słyszał pobrzmiewające w jej głosie wyrzuty sumienia.

- Gdybyś wróciła wcześniej... czy to by cokolwiek zmieniło?

- Nie. - Podeszła do okna. - Ale umierając, nie byłaby sama.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale po chwili je zamknął. Udzielanie rad obcym ludziom mija się z celem.

Na tle okna Shane sprawiała wrażenie kruchej, bezbronnej istoty.

- A ściany? - spytał.

- Słucham? - Odwróciła się; myślami była setki kilometrów stąd.

- Ściany - powtórzył. - Czy chcesz jakieś zburzyć, poprzestawiać?

Przez moment wpatrywała się w wyblakłe róże na tapecie.

- Nie, tu na piętrze nie. Zastanawiałam się tylko, czy nie zlikwidować drzwi i nie poszerzyć wejścia...

Pokiwał głową. Widział, że dziewczyna toczy z sobą walkę; że z całej siły próbuje opanować emocje.

- Jeżeli boazeria da się ładnie doczyścić - ciągnęła - wtedy można by dobrać dębową framugę.

- Czy to ściana nośna?

Wzruszyła ramionami.

- Nie mam zielonego pojęcia. Ale... - Urwała, słysząc pukanie do drzwi. - Psiakość. Rozejrzyj się, dobrze? Sprawdzę, kto przyszedł i po co. Nie jestem ci do niczego potrzebna, prawda?

Zbiegła na dół, zostawiając go samego. Co miał robić? Wyjął z kieszeni centymetr i zaczął mierzyć.

Przyjazny uśmiech znikł z twarzy dziewczyny, kiedy zobaczyła, kto stoi na zewnątrz.

- Cyrus?

Mężczyzna za drzwiami zmrużył oczy.

- Nie zaprosisz mnie?

- Ależ oczywiście. - Odsunęła się, aby mógł wejść, po czym zamknęła drzwi, lecz nie wykonała kroku w głąb mieszkania. - Co u ciebie? Jak się miewasz?

- Dobrze, dziękuję.

No jasne, pomyślała zirytowana. Cyrus Trainer zawsze miewał się świetnie. Niezła prezencja, niezłe stroje, a teraz w dodatku chyba niezłe zarobki.

- A ty, Shane?

- Ja? Znakomicie - odparła, niepotrzebnie siląc się na sarkazm. Cyrus takich niuansów nigdy nie wychwytywał.

- Nie gniewasz się, że wcześniej nie zajrzałem? Wiesz, byłem tak strasznie zajęty.

- Interes kwitnie? - spytała uprzejmie, lecz bez zainteresowania.

Oczywiście tego Cyrus również nie zauważył.

- Ludzie mają coraz więcej pieniędzy. - Poprawił krawat. - I kupują domy. Posiadłość na wsi to dobra inwestycja. Na rynku nieruchomości panuje prosperity.

Jak zwykle, pomyślała Shane, najważniejsze są dla niego pieniądze.

- A twój ojciec? Jak się miewa?

- W porządku. Przeszedł na emeryturę... właściwie na taką półemeryturę.

- Nie wiedziałam - rzekła.

Podejrzewała, że Cyrus Trainer senior odda synowi władzę nad agencją nieruchomości Trainer Real Estate dopiero po swojej śmierci, a do tego czasu sam będzie niepodzielnie wszystkim zarządzał.

- Ojciec nie cierpi bezczynności, ciągle musi coś robić. Wpadnij kiedyś do biura. Na pewno ucieszy się z twojej wizyty.

Shane nie zareagowała na zaproszenie. Cyrus przestąpił z nogi na nogę i odchrząknął, tak jak to miał w zwyczaju, gdy szykował się do wygłoszenia ważnej przemowy.

- Czyli co? Wprowadzasz się z powrotem? - Popatrzył na stojące wszędzie kartony.

- Wprowadzam. Powolutku, ale się wprowadzam - przyznała.

Wiedziała, że zachowuje się nieuprzejmie, ale nie zamierzała mu proponować, by wszedł do pokoju, może usiadł. Rozmawiali na stojąco, w ciasnym korytarzu.

- Wiesz, Shane, ten dom to niemal ruina, tyle że znajduje się w doskonałym

miejscu.

Na widok jego protekcyjnego uśmiechu zazgrzytała zębami.

- Jestem pewien, że dostałabyś za niego przyzwoitą cenę.

- Nie interesuje mnie sprzedaż - oznajmiła szybko. - Dlatego wpadłeś, Cy? Żeby się rozejrzeć, zorientować, jaką przedstawia wartość?

- Ależ Shane! - Przybrał oburzoną minę.

- Więc co cię tu sprowadza?

- Po prostu chciałem zobaczyć, jak się miewasz. Słyszałem jakąś plotkę, że zamierzasz otworzyć sklep z antykami...

- To nie jest plotka. Zamierzam.

Westchnął głośno i popatrzył na nią z politowaniem. Shane zacisnęła mocniej zęby.

- Czyś ty oszalała? Czy zdajesz sobie sprawę, jak trudno w dzisiejszych czasach rozkręcić interes? Z jak dużym to się wiąże ryzykiem?

- Na pewno mi o tym opowiesz - mruknęła pod nosem.

- Zastanów się, Shane. - Mówił tym swoim spokojnym, opanowanym tonem, który doprowadzał ją do szału. - Jesteś wykwalifikowaną nauczycielką z czteroletnim stażem. Czy warto zrezygnować z kariery w szkolnictwie na rzecz... kaprysu, bezsensownej zachcianki?

- Zawsze miałam bezsensowne zachcianki, prawda? - Przeszyła go lodowatym wzrokiem. - Ciągle mi je wypominałeś. Nawet wtedy, kiedy byłeś tak szaleńczo we mnie zakochany.

- Och, Shane, próbowałem jedynie poskromić twoje... zapędy.

- Poskromić moje zapędy? - spytała zaskoczona. Może później zdoła się pośmiać, na razie jednak miała ochotę wydrzeć się na całe gardło. - Nie zmieniłeś się. Nic a nic się nie zmieniłeś. Założę się, że wciąż zwijasz w kulkę uprane skarpety i nie ruszasz się z domu bez zapasowej chustki do nosa.

Widziała, że ten przytyk go zabolął.

- Gdybyś była odrobinę bardziej praktyczna i nie bujała ciągle w obłokach...

- To co? Nie rzuciłbyś mnie dwa miesiące przed ślubem? - dokończyła z wściekłością.

- Ależ, Shane. Przecież wiesz, że chciałem jak najlepiej dla ciebie...

- Jak najlepiej dla mnie - powtórzyła przez zęby. - Coś ci powiem, Cy. - Brudnym palcem dźgnęła go w czysty pastelowy krawat. - Wypchaj się ze swoim pragmatyzmem, książeczką czekową i prawidłami do butów. Wtedy, kiedy mnie rzuciłeś, strasznie cierpiałam, ale niepotrzebnie. Bo ty mi wcale nie wyrządziłeś krzywdy, lecz wielką przysługę. Nienawidzę zimnego rozsądku, nienawidzę pokoi, w których unosi się sosnowy zapach, i nienawidzę wyciskania pasty do zębów od końca tubki do początku.

- Co to ma do rzeczy...

- Wszystko! - krzyknęła. - Ty nie rozumiesz niczego, w czym tkwi choć odrobina szaleństwa! Dla ciebie wszystko musi być pod linijkę, równe, proste, praktyczne. Ale wiesz, co ci powiem? - ciągnęła, nie dopuszczając go do głosu. - Otworzę sklep. I nawet jeżeli nie dorobię się na nim majątku, to przynajmniej będę miała radochę.

- Radochę? - Popatrzył na nią jak na wariatkę. - To kiepska podstawa do rozkręcania biznesu.

- Dla ciebie kiepska, dla mnie nie. Mnie do szczęścia nie są potrzebne miliony.

Uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Ty też się nie zmieniłaś.

Mierząc go gniewnym spojrzeniem, Shane otworzyła drzwi.

- Lepiej idź sprzedaj jakiś dom!

Dumnym krokiem, z godnością, jakiej mu zazdrościła i jakiej nienawidziła, Cyrus wyszedł na dwór. Shane zatrzasnęła drzwi, po czym dając upust nagromadzonej wściekłości, z całej siły walnęła pięścią w ścianę.

- Cholera jasna!

Sycząc z bólu, przyłożyła zaczerwienione kłykcie do ust. Nagle spostrzegła stojącego u góry schodów Vance'a, który przyglądał się jej z zaniepokojoną miną. Zawstydzona, poczuła, jak się czerwieni.

- Koniec przedstawienia - warknęła, po czym obróciwszy się na pięcie, skierowała się do kuchni.

Wyładowywała frustrację, otwierając i zatraskując szafki. Nie słyszała, jak Vance schodzi na dół. Kiedy dotknął jej ramienia, podskoczyła jak oparzona.

- Pokaż rękę - rzekł cicho, ignorując jej protest.

- To nic takiego.

Delikatnie rozprostował jej palce, po czym zaczął kolejno naciskać kostki. Wciągnęła z sykiem powietrze.

- Na szczęście nic nie złamałaś - oznajmił. - Ale będziesz miała potężny siniac.

Z trudem hamował złość. Tak łatwo mogła wyrządzić sobie krzywdę!

- Tylko bez kazań - mruknęła. - Nie jestem głupia.

Przez chwilę w milczeniu zginał i prostował jej palce.

- Przepraszam - rzekł w końcu. - Powinienem był cię uprzedzić o mojej obecności.

Wypuściwszy z płuc powietrze, Shane zabrała rękę. Pulsujący ból sprawiał jej perwersyjną przyjemność.

- Teraz to bez znaczenia. - Odwróciwszy się, zaczęła przygotowywać herbatę.

- Nie chciałem wprawiać cię w zakłopotanie.

- Prędzej czy później i tak byś usłyszał o mnie i o nim. Że byliśmy parą. - Jej ruchy, cała sylwetka wskazywały na silne wzburzenie. - Po prostu dowiedziałeś się wcześniej, i tyle.

Niewiele się jednak dowiedział. I ku własnemu zdumieniu uświadomił sobie, że pragnie poznać całą historię: kiedy zerwali, dlaczego, jak długo byli razem... Zanim zdążył zadać jakiegokolwiek pytanie, Shane z wściekłością nasadziła pokrywkę na czajnik.

- Zawsze, ale to zawsze czuję się przy nim jak kretyńska!

- Dlaczego?

- Bo on już taki jest. Taki rozsądny! Taki poważny! - Energicznym ruchem otworzyła drzwi szafki. - Wiesz, że wozi w bagażniku parasolkę? Tak na wszelki wypadek?

Vance mruknął coś pod nosem.

- I nigdy, przenigdy nie popełnia żadnego błędu. Zawsze wszystko wie najlepiej - dodała, stawiając na blacie dwa kubki. - Słyszałeś naszą rozmowę. Czy podniósł na mnie głos? - Popatrzyła Vance'owi w oczy. - Czy zaklął? Czy stracił



nad sobą panowanie? To robot, nie człowiek! Słowo honoru, ten facet nawet się nie poci!

- Kochałaś go?

Przez moment nie odzywała się, po czym westchnęła cicho.

- Tak. Absolutnie. Miałam szesnaście lat, kiedy zaczęliśmy ze sobą chodzić.

Przeszła do lodówki, zapominając nastawić wodę na herbatę. Vance przekreślił kurek.

- Wydawał mi się ideałem. Był taki mądry, taki... elokwentny. - Wyjąwszy mleko, uśmiechnęła się smutno. - To urodzony akwizytor; wszystko potrafi sprzedać.

Vance poczuł do faceta instynktowną niechęć. Od Shane zaś nie mógł oderwać oczu; patrzył, jak dziewczyna stawia na stole cukiernicę, jak jej włosy lśnią w blasku porannych promieni słońca...

- Byłam do szaleństwa zakochana - podjęła po chwili, wrywając swego gościa z zadumy. - Kiedy miałam osiemnaście lat, poprosił mnie o rękę. W tym czasie oboje studiowaliśmy. Cy uznał, że zaręczyny powinny trwać przynajmniej rok. Zawsze kierował się rozsądkiem.

Albo wyrachowaniem, pomyślał Vance, spoglądając na zarys piersi widoczny pod cienkim materiałem bluzki. Zły na siebie, przeniósł spojrzenie na twarz dziewczyny. Ale tętno wciąż miał przyspieszone.

- Chciałam, żebyśmy się od razu pobrali. Ale on stwierdził, że jestem zbyt impulsywna. Małżeństwo to poważny krok, trzeba wszystko porządnie zaplanować. Kiedy zaproponowałam, żebyśmy razem zamieszkali, nie posiadał się z oburzenia. - Postawiła z hukiem mleko na stole. - Byłam młoda, zakochana; pragnęłam go. On zaś poczuwał się w obowiązku kontrolować moje... prymitywne popędy.

- Dureń - mruknął Vance.

Gwizd czajnika zagłuszył jego głos.

- W ciągu tego roku starał się mnie uformować. A ja bardzo starałam się sprostać jego wymaganiom: być rozsądną, zachowywać się dostojnie. Niestety, co rusz się potykałam. - Na samo wspomnienie tych kilkunastu frustrujących miesięcy pokręciła smutno głową. - Jeżeli chciałam wybrać się na pizzę z grupą

studentów, przywoływał mnie do porządku; mówił, że przecież musimy oszczędzać. Wypatrzył dla nas jakiś dom tuż za Boonsboro. Jego ojciec twierdził, że to będzie świetna inwestycja.

- A tobie się ten dom nie podobał - odgadł Vance.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

- Nienawidziłam go. Był taki idealny; mały, parterowy, pomalowany na biało, z równo przystrzyżonym żywopłotem. Kiedy powiedziałam, że to nie w moim stylu, że będę się dusiła w czymś takim, Cyrus roześmiał się i pogładził mnie po głowie jak niesforne dziecko.

- Dlaczego to tolerowałaś?

- Nigdy nie byłeś zakochany? - spytała w odpowiedzi. - Ten ostatni rok, rok narzeczeństwa... ciągle się kłóciliśmy - ciągnęła. - Tłumaczyłam sobie, że to takie przedmażeńskie nerwy, chodziło jednak o różnice w charakterach. Cyrus ciągle powtarzał, że wszystko się zmieni, kiedy będziemy po ślubie. I na ogół mu wierzyłam.

- Boże, co za nudny bęcwał.

- Masz rację. - Zdumiała się, słysząc pogardę w głosie Vance'a. - Czasem jednak potrafił być czuły i dobry... - Uśmiechnęła się. - Wtedy zapomniałam o jego pryncypialności. A potem znów mnie za coś krytykował. Wpadałam w złość, ale nigdy nie mogłam z nim wygrać, bo on nie tracił nad sobą kontroli. Kielich goryczy przepełniła rozmowa dotycząca naszego miesiąca miodowego. Marzyłam o wyjeździe na Fidzi...

- Na Fidzi?

- Tak, na Fidzi - odparła buńczucznie. - Miejsce egzotyczne, romantyczne, daleko od domu... Miałam zaledwie dziewiętnaście lat. - Nie potrafiąc pohamować gniewu, rzuciła na stół łyżeczkę. - A on wymyślił, że pojedziemy do takiego ośrodka w Pensylwanii, gdzie różni fachowcy od rozrywki planują ci pobyt, organizują konkursy, uczą pływania, zaganiają do wspólnych gier. - Pociągnęła łyk herbaty i pokręciwszy głową, wzniosła oczy do nieba. - Wyobrażasz sobie? Wyjazd na weekend: trzy dni, dwie noce, trzy posiłki dziennie. Cyrus odziedziczył sporo pieniędzy po matce, ja miałam trochę oszczędności, ale nie, on nie chciał wyrzucać forsy w błoto. Powiedział, że zamiast wydać forsy na Fidzi,

powinniśmy zacząć odkładać na starość, na emeryturę. Tego było dla mnie już za wiele.

Nie spuszczać z niej oczu, Vance upił łyk herbaty.

- Więc odwołałaś ślub...

- Nie. - Odsunęła od siebie kubek. - Strasznie się posprzeczałyśmy. Wyszłam, trzaskając drzwiami. Resztę wieczoru spędziłam z przyjaciółmi w klubie nieopodal uczelni. Powiedziałam Cyrusowi, że w noc poślubną nie zamierzam grać w bingo ani jakieś inne gry zespołowe.

Vance'owi zadrgały kąciki warg.

- Bardzo słusznie - rzekł z aprobatą.

Shane pokręciła głową.

- Kiedy uspokoiliam się i wszystko przemyślałam, doszłam do wniosku, że nieważne, dokąd pojedziemy; ważne, że będziemy razem. Cyrus ma rację, tłumaczyłam sobie. Jesteś niedojrzała i nieodpowiedzialna; pieniądze się przydadzą. Czekają mnie jeszcze dwa lata studiów, a Cy dopiero zaczynał pracę w firmie swojego ojca. Po prostu zachowałam się lekkomyślnie. Zresztą często mi to zarzucał: niefrasobliwość i lekkomyślność. - Wbiła wzrok w kubek, ale nie przysunęła go do siebie. - W każdym razie pojechałam do niego do domu, żeby go przeprosić. I wtedy, jakby nigdy nic, rzeczowym, rozsądnym tonem oznajmił mi, że ze mną zrywa.

- A mówiłaś, że on nigdy nie popełnia błędów - stwierdził po dłuższej chwili Vance.

Roześmiała się z wdzięcznością.

- To miłe, dziękuję - powiedziała i nie zastanawiając się nad tym, co robi, przytuliła się do niego. Złość, jaką czuła do byłego narzeczonego, znikła.

Nie potrafił oprzeć się pokusie. Wyciągnął rękę i pogładził Shane po włosach. Były gęste, miękkie, potargane. Lekko oszołomiony, owinął sobie kosmyk wokół palca.

- Wciąż go kochasz?

- Nie - odparła szybko. - Ale ilekroć pojawia się na horyzoncie, zawsze czuję się jak lekkomyślna, niepoprawna idealistka.

- Może nią jesteś?

- Jestem - przyznała, wzruszając ramionami.  
- To, co parę minut temu powiedziałaś mu w holu, to święta prawda.  
Wiesz? - Zapominając o ostrożności, otoczył Shane ramieniem.

- Wiele rzeczy mu powiedziałam.  
- Że wyświadczył ci przysługę - szepnął, pieszcząc palcami jej szyję. Nie był pewien, czy ciche westchnienie, jakie usłyszał, wyrażało zadowolenie, czy potaknięcie. - Oszalałabyś, zwijając mu skarpety w kulki.

Odchyliwszy w tył głowę, wybuchnęła wesołym śmiechem. Z wdzięczności pocałowała Vance'a lekko w policzek, potem drugi raz - żeby sobie sprawić przyjemność.

Usta miała pełne, niesamowicie kuszące. Vance ujął ją za brodę, a ona rozchyliła wargi. Nie było w tym geście żadnego wahania, żadnej fałszywej skromności. Przywarł ustami do jej ust, ona zaś, mruczając cichutko, przytuliła się mocniej. A potem nagle Vance się odsunął. Zdziwiona zamrugła powiekami.

- Przepraszam, mam mnóstwo pracy - rzekł. - Muszę sporządzić listę materiałów, jakie będą mi potrzebne. Odezwę się niedługo...

Wyszedł, zanim zdołała cokolwiek powiedzieć. Przez kilka sekund stała oszołomiona, wpatrując się w siatkowe drzwi. Czym mu się naraziła? Czym go rozgniewała? Jak to możliwe, żeby w jednej chwili całować namiętnie, a w następnej odwrócić się i odejść?

Zła i nieszczęśliwa, spojrzała w dół na swoje zaciśnięte dłonie. Do wszystkiego podchodzi zbyt emocjonalnie. Czy jest idealistką? Tak. Idealistką, romantyczką i marzycielką, przynajmniej tak twierdziła babcia. Ale już tak długo czekała na to, by w jej życiu pojawił się odpowiedni mężczyzna. Chciała być kochana, szanowana, noszona na rękach.

Może, pomyślała, pragnie rzeczy nierealnej: być niezależna, a jednocześnie mieć z kim dzielić marzenia, stać na własnych nogach, a jednocześnie móc się na kimś wesprzeć. Powtarzała sobie nieustannie, że nie znajdzie tego wysnionego człowieka; że nie ma ideałów. Ale serce nie chciało słuchać rozumu.

Od pierwszej chwili czuła, że Vance różni się od wszystkich mężczyzn, jakich знаła. Kiedy wszedł do sklepu, ich spojrzenia spotkały się dosłownie na sekundę. Miała ochotę wykrzyknąć radośnie: Oto on! Z drugiej strony wiedziała,

że to bzdura. Żeby kogoś pokochać, trzeba go znać, rozumieć. A ona prawie nic nie wiedziała o swoim przystojnym sąsiedzie i na pewno nie rozumiała jego zachowania.

Nagle przyszło jej do głowy, że może go uraziła. Zaproponowała mu pracę, a potem tak gorliwie nadstawiła usta do pocałunku... Może wystraszył się, że ona liczy na coś więcej? Że w ramach zapłaty chce od niego seksu? Że wymachując mu pod nosem banknotami, których jako bezrobotny niewątpliwie potrzebuje, zamierza go uwieść?

Raptem wybuchnęła śmiechem. Odrzuciła głowę i śmiała się jak szalona, uderzając pięściami w blat stołu. Shane Abbott, uwodzicielka! A to dobre! Otarła z policzków łzy. Jakież facet oprze się kobiecie z ubrudzonym nosem, która własną ręką usiłuje wybić dziurę w ścianie?

Po chwili westchnęła ciężko. Masz, kochana, zbyt bujną wyobraźnię. Lepiej skończ tę inwentaryzację.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Vance nie mógł zasnąć. Pracował do późnego wieczoru, próbując rozładować napięcie i frustrację. Napięciem się nie przejmował. Zbyt dobrze znał to uczucie, aby tracić przez nie sen. Do szału jednak doprowadzało go to, że nie potrafi przestać myśleć o swojej ślicznej sąsiadce. Jeszcze nigdy nikogo tak bardzo nie pożądał.

Nie powinien był przyjmować u niej pracy. Co za licho go podkusiło? Zły na siebie, wyszedł przed dom.

Z nadejściem wieczoru powietrze znacznie się ochłodziło. Na niebie świecił jasny półksiężyc otoczony niezliczoną ilością migoczących gwiazd. Ciszę zakłócało głośnie cykanie świerszczy. Nieco na prawo, nad ugorem, tańczyły robaczki świętojańskie. Na wprost ciągnęły się drzewa - ciemny, tajemniczy las, za którym w zabytkowym łóżku w domu z wyblakłą tapetą śpi Shane.

Wyobraził ją sobie okrytą wielką puszystą kołdrą, którą widział na łóżku. Okna sypialni są otwarte, by do środka wpadały dźwięki i zapachy nocy. Ciekawe, czy na noc Shane wkłada flanelową koszulę nocną, taką szczelnie zasłaniającą ciało, czy może śpi nago, jak ją Pan Bóg stworzył?

Starając się odpędzić od siebie natrętne myśli, Vance zaklął pod nosem. Cholera jasna, naprawdę nie powinien był przyjmować tej roboty. Skusił się, bo sam pomysł wydał mu się zabawny. Sześć dolarów za godzinę! Roześmiał się, burząc spokój siedzącej nieopodal na gałęzi sowy.

Kiedy ostatni raz pracował za godzinną stawkę? Cofnął się myślami daleko w przeszłość. Piętnaście lat temu? Pokręcił z niedowierzaniem głową. Boże, to już tyle czasu minęło?

Był nastolatkiem, kiedy matka zatrudniła go w swej firmie budowlanej. Zaczynał od najniższego szczebla.

- Musisz się wszystkiego nauczyć - powiedziała, a on przyznał jej rację. Marzył o tym, by pracować rękami, najlepiej w drewnie. Jak każdy młody człowiek, był zarozumiały i nadmiernie pewny siebie. Siedzenie za zawalonym papierami biurkiem jest dobre dla starych facetów w garniturach, którzy nie potrafią cieszyć się życiem. Nie chciał, tak jak oni, chodzić na nudne zebrania ani

brać udziału w skomplikowanych negocjacjach. Był zbyt inteligentny, by wpaść w tę pułapkę.

A jednak wpadł. Po ilu latach ugrzązł za biurkiem? Po pięciu? Sześciu? Wzruszywszy ramionami, uznał, że rok więcej lub mniej nie robi różnicy. Może kiedyś robił, ale teraz już nie.

Wzdychając głęboko, zaczął przemierzać ganek. Czy miał jakiś inny wybór? Chyba nie. Po niespodziewanym wylewie matka długo wracała do zdrowia. Błagała go, by zastąpił ją na stanowisku prezesa Riverton Construction. Była wdową, więcej dzieci nie miała; nie chciała, aby firmą, którą odziedziczyła po swoim ojcu, rządził ktoś obcy. Może dlatego, że zbyt dużo wysiłku włożyła w to, by firma nie splajtowała. Vance wiedział, ile to matkę kosztowało i jak wiele ryzykowała. Ale opłaciło się. Riverton Construction zaczęła świetnie prosperować. I właśnie wtedy nastąpił wylew. Matka zrozumiała, że dalej sama nie podoła, i poprosiła syna o pomoc.

Gdyby nie nadawał się do tej pracy, bez najmniejszych wyrzutów sumienia scedowałby obowiązki na kogoś innego, a sam pozostał prezesem tylko na papierze. Mógłby dalej wykonywać to, co do tej pory, czyli pracować fizycznie. Ale miał zbyt wiele cech matki - upór, inteligencję, wytrwałość - toteż firma, na której czele stanął, funkcjonowała sprawnie. Pod jego okiem rozrastała się i przynosiła coraz większe zyski. Wkrótce stała się jedną z najbardziej znanych i szanowanych firm budowlanych w całych Stanach.

A potem poznał Amelię. Na jej wspomnienie uśmiechnął się cierpko. Piękną, seksowną Amelię, która miała cichy głos, ze zmysłowym południowym akcentem. Amelię, której włosy miały ten sam złocistoczerwony kolor co promienie zachodzącego słońca. Przez wiele miesięcy usiłował ją zdobyć, a ona to pozwalała mu się zbliżyć, to go odtrącała. Pragnął jej do szaleństwa. No właśnie, był szalony. Bo gdyby myślał trzeźwo, bez trudu by zobaczył, co się kryje pod maską tej kobiety. Tak, zanim wręczyłby Amelii pierścionek zaręczynowy, przekonałby się, z jaką zimną, wyrachowaną suką ma do czynienia.

Boże, iluż mężczyzn zazdrościło mu tak wspaniałej, eleganckiej żony! Ale oni widzieli tylko zewnętrzną powłokę - piękną twarz; nie widzieli Amelii bez maski - zimnej i bezwzględnej. W całym swoim życiu Vance nie spotkał drugiej

tak nieczulej, bezdusznej istoty jak Amelia Ryce Banning.

Sowa na gałęzi znów zaczęła pohukiwać; brzmiało to tak, jakby nadawała sygnał: dwa krótkie wołania, jeden długi, dwa krótkie, jeden długi. Wsłuchując się w monotonny głos ptaka, Vance rozmyślał o swym małżeństwie.

Przez kilka pierwszych miesięcy Amelia bez umiaru wydawała pieniądze - na ubrania, futra, samochody. Nie przeszkadzało mu to; oślepiony jej urodą uważał, że Amelia zasługuje na wszystko, co najlepsze. Poza tym kochał ją; cieszył się, że może sprawiać jej przyjemność. Nie zwracał uwagi na horrendalne rachunki; płacił je bez zmruczenia oka. Raz czy drugi zdarzyło mu się skomentować jakąś ekstrawagancję żony, ale jej skruszona mina i wylewne przeprosiny wywoływały w nim wyrzuty sumienia. Rachunki jednak nie malały.

Nagle odkrył, że Amelia wyczyszcza mu konto po to, by wspomóc podupadającą firmę budowlaną brata. Kiedy ją o to spytał, zaczęła płakać. Tłumaczyła, że nie potrafi spokojnie patrzeć na nieszczęście brata, któremu grozi bankructwo, gdy ona żyje w tak wielkim luksusie.

Vance zgodził się udzielić jej bratu pożyczki, natomiast nie zamierzał finansować nieumiejętnie zarządzanej firmy. To Amelii nie zadowoliło; zaczęła się dąsać, namawiać go, aby zmienił decyzję. Gdy odmówił, przeobraziła się w tygrysy: obrzucając go stekiem wyzwisk, swoimi zadbanymi paznokciami rozorała mu twarz. Doprowadzona do furii wygarnęła mu również, dlaczego wyszła za niego za mąż: bo miał pozycję i pieniądze, a to mogło pomóc jej rodzinie w interesach. Wtedy po raz pierwszy Vance dostrzegł, co się kryje pod wdziękiem i urodą żony. Ale to było dopiero pierwsze z wielu przykrych odkryć, jakie go czekały.

Namiętność Amelii znikła, zastąpiona przez lodowaty chłód. Czułe uśmiechy, jakimi go dotąd obdarzała, zamieniły się w szydercze grymasy. Powiększenie rodziny absolutnie nie wchodziło w grę. Od ciąży psuje się figura, a dzieci są kłoda u nogi. Ponad dwa lata Vance próbował ratować małżeństwo; oszukiwał się, że może uda im się pokonać trudności. W końcu zrozumiał, że obraz kobiety, którą poślubił, w żaden sposób nie przystaje do rzeczywistości.

Gdy poprosił o rozwód, Amelia roześmiała się złośliwie. Oczywiście, chętnie zwróci mu wolność w zamian za połowę jego majątku, między innymi



połowę udziałów w Rivertonie. Zamierzała odegrać rolę biednej porzuconej żony. Jeżeli on, Vance, nie zgodzi się na jej warunki, sprawa rozwodowa będzie głośna i nieprzyjemna, a prasa bulwarowa będzie miała używanie.

Znalazł się w pułapce. Przez kolejny rok udawał przed światem szczęśliwego małżonka, w domu zaś unikał Amelii. Kiedy odkrył, że żona go zdradza, zaświtał w nim promyk nadziei.

Ponieważ nie kochał Amelii, nie czuł smutku z powodu jej zdrady. Dyskretnie zaczął zbierać dowody, dzięki którym mógłby odzyskać wolność. Gotów był na najbardziej upokarzającą batalię sądową, byleby tylko uwolnić się od żony. Zostało mu to jednak oszczędzone. Jeden z porzuconych kochanków Amelii najzwyczajniej w świecie ją zastrzelił.

Dzięki pieniądзом i wpływom Vance'a sprawie nie nadano wielkiego rozgłosu, mimo to szeptom i spekulacjom nie było końca. Śmierć Amelii wywołała w nim raczej ulgę niż smutek. To zaś sprawiło, że zalała go fala wyrzutów sumienia. Żeby od nich uciec, Vance rzucił się w wir pracy. Postawił apartamenty na Florydzie, duży kompleks medyczny w Minnesocie, rozbudował uniwersytet w Teksasie. Ale nie potrafił znaleźć ukojenia.

Zniechęcony, kupił zniszczony przez pożar dom w górach i wziął długi urlop z Rivertonu. Sądził, że kilka miesięcy na odludziu i ciężka praca fizyczna pomogą mu odzyskać równowagę. Był na dobrej drodze, kiedy nagle w jego życiu pojawiła się Shane Abbott.

Shane nie porażała urodą tak jak Amelia i w niczym nie przypominała eleganckich, pewnych siebie kobiet, z jakimi sypiał w ciągu ostatnich dwóch lat. Była świeża, szczerą, pełną życia. Ale po doświadczeniu z Amelią Vance stał się cyniczny. Wiedział, że tylko głupiec daje się dwa razy nabrać na tę samą sztuczkę. Uwierzył w niewinność i szlachetność Amelii, i starczy.

Zgodził się pomóc Shane i zamierzał dotrzymać słowa. Praca u niej to będzie prawdziwe wyzwanie; miał nadzieję, że poradzi sobie ze stolarką. Innych rzeczy się nie bał. Umiał wystrzegać się atrakcyjnych kobiet, nie angażować się emocjonalnie. Shane... Tak, podobala mu się jej naturalność, brak wyrachowania. Podobalo mu się też to, w jaki sposób potraktowała dawnego narzeczonego. Że mimo bólu, jaki wciąż czuła, stanowczym gestem wskazała mu drzwi.

Hm, poświęcić urlop na remont u Shane? To może być całkiem interesujące. Ciekawe, co ona kryje pod maską? Bo to, że wszyscy noszą maski, nie ulega wątpliwości. Życie to jedna wielka maskarada.

Zdegustowany sobą, wrócił do domu. Nie zamierzał chodzić niewyspany z powodu kobiety. Mimo to przez pół nocy wiercił się w łóżku, nie mogąc zasnąć.

Nastał piękny poranek. Shane otworzyła szeroko okno. Do środka wpadło ciepłe powietrze przesiąknięte zapachem cynii. W tak piękny dzień szkoda siedzieć w domu, wdychając kurz. Ale, pomyślała, można przecież wynaleźć sobie pracę, którą dałoby się wykonywać na zewnątrz.

Ubrawszy się w starą bawełnianą koszulkę i sprane czerwone szorty, zeszła do piwnicy. Z szafki wyciągnęła puszkę białej farby i wałek do malowania. Chybotliwy ganek od frontu wymaga solidnego remontu, ale ten za domem... wystarczy go pomalować.

Chwyciwszy po drodze nieduże radio, wyszła na powietrze. Przez chwilę szukała stacji z muzyką; kiedy ją znalazła, przystąpiła do pracy.

Pół godziny później ganek był porządnie wysprzątany i umyty wodą ze szlauchu. Podczas gdy sechł na słońcu, Shane otworzyła puszkę i zaczęła mieszać farbę. Ze dwa lub trzy razy zerknęła w stronę ścieżki wiodącej przez las, zastanawiając się, kiedy pojawi się Vance. Ucieszyłaby się, gdyby wyłonił się spomiędzy drzew.

Lubiła takich ludzi jak on, emanujących siłą i pewnością siebie. Taka była jej babcia. Mimo ciężkiego życia i wielu tragedii, jakie ją spotkały, do samego końca pozostała osobą niezwykle silną i niezależną. Cyrus również należał do osób obdarzonych siłą, tyle że brakowało mu łagodności i dobroci, które sprawiają, że siła staje się zaletą, a nie wadą. U Vance'a Shane instynktownie wyczuwała dobroć, choć on oczywiście robił, co mógł, by jej nie ujawnić.

Odwróciwszy wzrok od ścieżki, przeniosła wiaderko, tackę i wałek na koniec ganku. Nalała farby z puszkę na tackę i biorąc głęboki oddech, przystąpiła do pracy.

Vance przystanął na skraju ścieżki i przez chwilę obserwował swą sąsiadkę. Zdążyła pomalować jedną trzecią ganku. Ramiona miała pocętkowane białymi

plamkami. Radio grało, a ona towarzyszyła zespołowi, śpiewając razem z nim i kołysząc rytmicznie biodrami. Cienki materiał szortów opinał jej zgrabne biodra. Bawiła się znakomicie, ale jej zdolności malarskie pozostawiały wiele do życzenia. Vance uśmiechnął się, widząc, jak Shane pochyla się nad wiaderkiem i opiera dłoń o dopiero co pomalowaną poręcz. Nie popsulo to jej humoru; po prostu zakłęła cicho, po czym wytarła dłoń o szorty.

- Mówiłaś, że potrafisz malować - rzekł, podchodząc bliżej.

Podskoczyła, niemal wywracając puszkę. Nie wstając z kolan, posłała mu szeroki uśmiech.

- Mówiłam, że potrafię. Nie mówiłam, że robię to porządnie i starannie. - Zasłoniła oczy przed rażącym blaskiem słońca. - Przyszedłeś na kontrolę?

- Nie. - Potrząsnął głową. - Kontrola nic nie da.

Uniosła zdziwiona brwi.

- Zobaczysz. Będzie idealnie, kiedy skończę.

- Nie wątpię - mruknął. - Przyniosłem listę rzeczy, jakie będą mi potrzebne. Ale muszę dokonać jeszcze kilku pomiarów.

- Listę? Szybko się z nią uporałeś.

Wzruszył ramionami. Nie zamierzał się przyznawać, że sporządził ją w środku nocy, kiedy nie mógł zasnąć.

- Jest jeszcze jedna rzecz... - Wyciągnąwszy rękę, ściszyła radio. - Ganek od frontu.

- Co? Też go pomalowałaś? - spytał, wodząc wzrokiem po efektach jej dotychczasowej pracy.

Trafnie odczytując jego krytykę, Shane pokazała mu język.

- Nie, nie pomalowałam.

- Całe szczęście. A co cię powstrzymało?

- To, że się rozpada. Może mógłbyś mi coś doradzić? Ojej, patrz! - Chwyciła go za rękę, zapominając, że przed chwilą dotykała mokrej farby, i skinęła na ścieżkę, po której kroczyła rodzina przepiórek. - To pierwsze, jakie udało mi się zobaczyć od powrotu do domu. - Zafascynowana przyglądała się ptakom, dopóki nie znikły z pola widzenia. - Żyją tu też sarny, ale jeszcze żadnej nie widziałam.

Westchnęła cicho i nagle przypomniała sobie o swojej umazanej farbą ręce.

- O Boże, Vance! Przepraszam! - Puściwszy jego dłoń, poderwała się na nogi. - Mam nadzieję, że cię nie ubrudziłam?

W odpowiedzi uniósł rękę.

- Przepraszam... - wydukała, z trudem powstrzymując się od śmiechu. - Naprawdę. Bardzo mi przykro.

Złapawszy brzeg bluzki, zaczęła czyścić jego rękę. Oczywiście niewiele to pomogło.

- Jedynie głębiej wcierasz farbę - oznajmił, spoglądając na jej szczupłą, odsłoniętą talię.

- Nie martw się, zejdzie. Zobaczysz - powiedziała, z całej siły usiłując zachować powagę. - Zresztą mam rozpuszczalnik... - Przycisnęła dłoń do ust, chcąc powstrzymać wybuch śmiechu. Bezskutecznie. - Przepraszam... - Oparła czoło o pierś Vance'a. - To twoja wina! Nie śmiałybym się, gdybyś tak na mnie nie patrzył.

- Jak?

- No... z taką anielską cierpliwością.

- Cudza cierpliwość zawsze powoduje u ciebie niekontrolowany wybuch śmiechu?

- Och, wiele rzeczy rozśmiesza mnie do łez - przyznała, usiłując zdławić chichot. - To przekleństwo. - Wzięła głęboki oddech. - Kiedyś jeden z moich uczniów narysował zabawną karykaturę nauczycielki biologii. Minął kwadrans, zanim mogłam wrócić do klasy i udawać oburzoną.

- A nie byłaś oburzona? - spytał Vance, cofając się o krok. Jej bliskość wywoływała w nim reakcję, która go nieco przerażała.

- Co? Oburzona? - Potrząsnęła przecząco głową. - Może to niepedagogiczne, ale ten rysunek był naprawdę świetny. Wzięłam go do domu i oprawiłam.

Nagle uzmysłowiła sobie, że Vance muska dłonią jej gołe ramię. Podejrzewała, że robi to nieświadomie. W pierwszym odruchu miała ochotę wspiąć się na palce, objąć go za szyję, pocałować. Chciała tego; była pewna, że on też tego pragnie. Ale coś ją powstrzymało. Stojąc bez ruchu, popatrzyła mu w oczy.

Kiedy zdał sobie sprawę, że pieści Shane i że wcale nie chce przerwać, czym prędzej opuścił ręce.

- Wracaj do malowania - powiedział. - A ja dokończę mierzenie.

- Dobrze - rzekła, odprowadzając go wzrokiem. - Przed chwilą woda się zagotowała, gdybyś miał ochotę na herbatę...

Co za dziwny człowiek, pomyślała, odruchowo dotykając ramienia, które przed chwilą gładził. Czego szukał, kiedy tak intensywnie patrzył jej w oczy? Czy nie prościej byłoby ją o to spytać?

Vance stanął u podnóża schodów i rozejrzał się po salonie. Zaskoczony, wszedł głębiej. Pokój był idealnie wysprzątnany; wszystkie przedmioty, które wczoraj zagracały wnętrze - lampy, wazony, bibeloty - zostały zapakowane do kartonów, a kartony dokładnie opisane.

Solidnie musiała się wczoraj napracować, przemknęło mu przez myśl. Kto by pomyślał, że taka mała, drobna istota może mieć w sobie tak wielkie pokłady energii. Energii, ambicji, siły oraz wytrwałości.

Ze zdziwieniem odkrył, że na piętrze Shane też zrobiła porządku. Starannie opisane pudła stały w równym rzędzie pod ścianą w dawnej sypialni jej babci. Vance dokonał paru pomiarów, zapisał je, po czym przeszedł do pokoju, który Shane zajmowała w dzieciństwie.

I tu przetarł oczy ze zdumienia. Wszędzie - na stole, biurku, szafce - wały się jakieś papiery, listy, notatki, rachunki. Niektórymi poruszał lekko wiatr, który wpadał przez otwarte okno. Podłoga zasłana była katalogami poświęconymi antykom. Na oparciu krzesła leżała krótka koszula nocna, a przy szafie stała para starych, znoszonych tenisówek.

Środek pokoju zajmowało ogromne pudło z książkami, które widział podczas wczorajszej wizyty, tyle że wtedy zagracało któryś z pozostałych dwóch pokoi na piętrze. Najwyraźniej Shane przyciągnęła je do siebie, chcąc sprawdzić, jakie zawiera skarby. Jeden stos stał na podłodze, kilka książek leżało w nieładzie na szafce nocnej. No cóż, wygląda na to, że w pracy Shane uwielbia porządek, a w życiu prywatnym woli artystyczny nieład.

Nagle przypomniał sobie Amelię i jej wymuskane pokoje utrzymane w tonacji różów i delikatnych beży. Czyste, schludne, bez bałaganu, śladu kurzu.

Nawet te dziesiątki słoiczków i flakonów na toaletce stały równo, jak pod linijkę. W pokoju Shane nie było toaletki, a na biurku - wśród papierów - stała tylko jedna buteleczka perfum, mała emaliowana szkatułka oraz oprawione w ramki kolorowe zdjęcie przedstawiające nastoletnią Shane w towarzystwie dumnie wyprostowanej kobiety.

Babcia... siwiuteńka, o twarzy poprzecinanej siatką zmarszczek, wyglądała niezwykle dostojnie. Patrząc na nią, Vance jednak miał wrażenie, że jej oczy się śmieją.

Stały na trawie, jedna młoda, druga stara, zwrócone plecami do przepływającego obok strumyka. Mimo dzielących ich lat sprawiały wrażenie przyjaciółek. Babcia miała na sobie sukienkę w kwiatki, wnuczka - żółtą bawełnianą koszulkę oraz szorty. Shane na zdjęciu niewiele się różniła od Shane pracującej na ganku. Może dzisiejsza miała krótsze włosy i ciut pełniejszą figurę, ale obie tryskały wesołością.

Lepiej jej w krótkiej fryzurze, uznał Vance, studiując uważnie zdjęcie. Podobało mu się to, jak teraz końce zawijają się pod brodą, podkreślając kształt twarzy. Ciekawe, kto zrobił to zdjęcie? Cyrus? Vance skrzywił się na samo wspomnienie o dawnym narzeczonym Shane. Czuł do faceta antypatię; znał wielu takich jak on, którzy bez przerwy kręcą i oszukują, zupełnie jakby życie było zeznaniem podatkowym.

Co ona w nim widziała? Zdegustowany, odstawił zdjęcie na biurko i ponownie zaczął mierzyć ściany. Gdyby wyszła za faceta za męża, mieszkałaby władnej willi w podmiejskiej dzielnicy, miałyby dwoje lub troje dzieci, w środy chadzałyby na spotkania Kółka Kobiet, a raz w roku spędzałyby dwa tygodnie w wynajętym domku na plaży w schludnej miejscowości wypoczynkowej. Niby wszystko w porządku, ale nie pasowało to do kobiety, która sama maluje ganek i marzy o wyjeździe na Fidzi.

Ten bubek w garniturze całe życie wytykałby jej błędy i potknięcia. Vance ruszył z powrotem na parter. Powinna się cieszyć, że nie wyszła za Cyrusa. Udało jej się uniknąć wielu nieprzyjemności. Jaka szkoda, pomyślał, że jemu szczęście nie dopisało. Przez cztery lata marzył o tym, by uwolnić się od żony, a kolejne dwa zadręczał się wyrzutami sumienia, że jego życzenie się spełniło.

Opędzając się od ponurych myśli, wyszedł na dwór, aby obejrzeć ganek od frontu. Dokonywał pomiarów, kiedy pojawiła się Shane z dwoma kubkami herbaty.

- No i co? Jest w bardzo kiepskim stanie, prawda?

- Dziwię się, że nikt sobie nóg nie połamał.

- Mało kto tędy chodzi. - Udało jej się zręcznie ominąć spróchniałe deski. - Babcia zawsze korzystała z drzwi kuchennych. Podobnie jak wszyscy goście.

- Twój narzeczony zawitał od frontu.

Posłała mu ironiczne spojrzenie.

- Cyrus uważa, że drzwi kuchenne są dobre dla służby. Poza tym wcale nie jest moim narzeczonym... Więc co twoim zdaniem powinnam zrobić?

- Już zrobiłaś - odparł, chowając miarękę. - I wybrałaś świetne rozwiązanie.

Parsknęła śmiechem.

- Nie pytam o niego. Pytam o ganek.

- Na twoim miejscu rozebrałbym go na części i wyrzucił. Ewentualnie zbudował nowy.

- Ojej. - Przysiadła ostrożnie na górnym stopniu. - Miałam nadzieję, że wystarczy wymienić kilka desek...

- Jeżeli staną tu naraz trzy osoby, to świństwo się zawali - przerwał jej Vance. - Nie pojmuję, jak można doprowadzić coś do takiej ruiny.

- W porządku, nie irytuj się. - Podała mu kubek z herbatą. - Ile to może kosztować?

Dokonał w myślach obliczeń i po chwili podał cenę. W oczach dziewczyny ujrzał wyraz zawodu.

- No dobrze - rzekła. Trudno, będzie musiała pożegnać się z kompletem mebli do jadalni. - Skoro trzeba, to trzeba. - Uśmiechnęła się smutno. - Nie chcę, żeby jakiś klient złamał sobie nogę, a potem ciągał mnie po sądach.

- Shane... - Stanął naprzeciwko niej. - Powiedz... powiedz, ile masz pieniędzy? - spytał wprost.

- Tyle, ile mi potrzeba - odparła, po czym prychnęła zniecierpliwiona. - W porządku! Niewiele. Dostałam trochę w spadku po babci, trochę mam odłożone... Liczyłam, że ileś przeznaczę na remont, ileś na kupno rzeczy do sklepu. Na

początek wystarczy, a potem zacznę zarabiać...

- Słuchaj, nie chciałbym cię pouczać jak twój narzeczony...

- Więc nie pouczaj - wtrąciła szybko. - I on nie jest moim narzeczonym.

- Jasne. - Nie wiedział, jak ma postąpić. Nie chciał brać pieniędzy od kobiety, która musi się liczyć z każdym groszem. Pociągnął łyk herbaty, starając się wymyślić sposób na to, żeby zgodziła się zatrudnić go za darmo. - Shane, chodzi o moje wynagrodzenie...

- Och, Vance, przykro mi, nie mogę ci teraz płacić więcej. - W jej głosie zabrzmiała nuta rozpacz. - Później, kiedy rozkręcę interes, to...

- Nie! - Speszony i zły na siebie, ujął ją za rękę. - Nie zamierzałem prosić o więcej. Przeciwnie, chciałem zrezygnować z zapłaty...

- Ale... - Łzy napłynęły jej do oczu. Odstawiła kubek i wstała. Potrząsając głową, zeszła na dół. - Słuchaj, to miłe z twojej strony, ale... Naprawdę to doceniam, ale nie musisz... Nie chciałam, żebyś odniósł wrażenie, że...

Wpatrywała się w otaczające dolinę góry. Przez moment panowała idealna cisza, przerywana jedynie cichym szumem strumyka.

Vance mruknął coś pod nosem, podszedł do Shane i po chwili wahania zacisnął ręce na jej ramionach.

- Shane, posłuchaj...

- Nie, proszę. - Obróciła się do niego twarzą. Oczy miała lśniące od łez. - Jesteś bardzo miły, ale...

- Psiakrew, nic nie rozumiesz! - zdenerwował się. - Pieniądze nie są najważniejsze...

- Wiem. Jestem wzruszona twoją propozycją, ale odmawiam. - Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła policzek do jego klatki piersiowej.

Zamierzał ją odepchnąć, wyplątać się z sytuacji, w jaką się wpakował. Nie chciał niczyjej wdzięczności. Nagle jednak zaczął gładzić włosy Shane i... i zapragnął, by ta chwila trwała wiecznie. Miałby odepchnąć od siebie tak cudowne stworzenie? Pochylił głowę i wtulając twarz w gęste, lśniące loki, zaczął szeptem powtarzać jej imię.

Coś w jego zachowaniu sprawiło, że pragnęła go pocieszyć. Nie wyczuwała, że pożąda jej, tylko że coś go gnębi. Przytuliła się mocniej. Serce zabiło mu



raptownie. Nie mogąc się powstrzymać, przywarł ustami do jej ust. Płonął. Myślał jedynie o tym, by ugasić pożar, który go trawi. Ona zaś z namiętnością, o jaką się nigdy nie podejrzewała, odwzajemniała jego pocałunki. Jeszcze nikt nigdy nie doprowadził jej do takiego stanu. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że mogłaby się opierać.

Pragnął ją pieścić, całować, odkrywać tajemnice jej ciała. Wczoraj z tego powodu nie mógł zasnąć, teraz wreszcie miał okazję zaspokoić zarówno pożądanie, jak i ciekawość. Wsunął rękę pod bluzkę Shane, zaciskając ją na drobnej, jędrnej piersi. Nie przerywając pocałunków, powoli pieścił jej skórę. I nagle się odsunął.

Shane musiała się przytrzymać jego ramienia, żeby nie upaść. Widział ogień w jej oczach, a także strach. Usta miała nabrzmiące, zaczerwienione. Zmarszczył czoło. Nigdy dotąd nie całował kobiety tak brutalnie.

- Przepraszam - szepnęła i cofnął się.

Nerwowym gestem podniosła palce do spuchniętych warg. Była zaskoczona swoją reakcją na pocałunki Vance'a. Nie miała pojęcia, że jest zdolna do tak intensywnych odczuć.

- Nie... - Odchrząknęła. - Nie musisz...

- Zachowałem się nie w porządku. - Sięgnąwszy do kieszeni spodni, wyciągnął kartkę. - Oto spis materiałów. Daj znać, kiedy sklep ci je dostarczy.

Wzięła od niego listę. Dopiero kiedy odwrócił się, żeby odejść, zebrała się na odwagę.

- Vance... Przystanął.

- Nie masz za co mnie przepraszać - rzekła cicho.

Nie odpowiedział. Okrążył dom i po chwili zniknął za rogiem.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Tak ciężko jak w ciągu ostatnich trzech dni Shane jeszcze nigdy nie pracowała. Pierwszego dnia uporała się ze sprzątaniami. Dom lśnił czystością: podłogi zostały wyszorowane, meble wypolerowane, kurz wytarty, kartony dokładnie opisane i pozaklejane. Kolejne dni spędziła nad katalogami poświęconymi antykom. Określenie dat i ustalenie cen okazało się zadaniem znacznie trudniejszym od pracy fizycznej. Ślęczała nad tym do późnej nocy, druk rozmazywał się jej przed oczami, a rano ponownie zasiadła do katalogów. Ale nie traciła zapału. Przeciwnie, ilekroć udało się jej coś odnaleźć, określić, opisać i wycenić, jej podniecenie rosło.

Każdego dnia nabierała coraz większej pewności, że podjęła słuszną decyzję. Że sklep i muzeum mają sens. Sukces wymaga poświęceń, istnieje też ryzyko, że interes może okazać się nieopłacalny, ale o tym starała się nie myśleć: zamierzała dopiąć swego.

Planowanie i prace przygotowawcze pochłaniały sporo czasu, ale wcale jej to nie zniechęcało. Zamówiła dekarza i hydraulika, wybrała farby oraz bejce. Czwartego dnia, podczas strasznej ulewy, dostarczono materiały z listy Vance'a. Była szczęśliwa; jej marzenie powoli zaczynało się spełniać. Deski, gwoździe, śrubki stanowiły namacalny dowód, że praca posuwa się naprzód. Sklep i muzeum wkrótce miały stać się rzeczywistością.

Podniecona zadzwoniła do Vance'a. Obiecał, że nazajutrz rano przystąpi do pracy. Mówił rzeczowo, niemal oficjalnie, lecz przywykła już do jego zmian nastroju. Na tym częściowo polegał jego urok.

Siedząc w kuchni nad kubkiem kakao, słuchała deszczu. Za oknami panował mrok. Zastanawiała się, czy nie rozpalic w kominku, ale nie chciało jej się wstawać. Potarła stopą o stopę; szkoda, przemknęło jej przez myśl, że zostawiła skarpetki w sypialni na piętrze.

Plum! Z sufitu spadła kolejna kropla wody. W całym domu stały w strategicznych miejscach różne miski i wiadra. Deszcz i samotność nie przeszkadzały Shane; właściwie nie znała uczucia samotności. Zwykle wystarczało jej własne towarzystwo. Teraz też wcale nie pragnęła, aby ni stąd, ni zowąd

pojawił się Vance, mimo to ciekawa była, co porabia. Czy tak jak ona siedzi w ciemności, obserwując padający deszcz?

Nie zamierzała ukrywać, że bardzo się jej podobał. Nawet nie chodzi o to, co czuła, gdy trzymał ją w ramionach. Po prostu podniecała ją sama jego obecność; kiedy był w pobliżu, miała wrażenie, że powietrze jest naelektryzowane, zupełnie jak przed burzą.

Wyobrażała sobie, jak bardzo frustrujący musi być dla niego brak pracy. Był człowiekiem aktywnym, który nie cierpi bezczynności. Ona sama pracowała zrywami; przez kilka dni uwijała się jak w ukropie, a potem następował okres leniuchowania. Kiedy harowała od świtu do nocy, w ogóle nie odczuwała zmęczenia; z kolei gdy wylegiwała się w łóżku do południa, nie czuła wyrzutów sumienia. Wszystko robiła z pasją. Podejrzewała, że Vance z pasją oddaje się ciężkiej pracy, natomiast nie potrafi cieszyć się leniuchowaniem.

Różnili się pod tym względem, ale nie szkodzi. Ucząc w szkole, przekonała się, jak odmienni bywają ludzie. Nie wszyscy myślą i czują podobnie - i tak powinno być. Podobieństwo czasem prowadzi do znużenia; nie sposób zaskoczyć partnera, który jest odzwierciedleniem nas samych. Tak, idealna zgodność i harmonia może są miłe, lecz na pewno nie podniecające.

Vance Banning pociągał ją od pierwszej chwili. Jej zafascynowanie nim narastało z każdym dniem. Chociaż zdawała sobie sprawę, że to graniczy z absurdem, czuła, że Vance jest mężczyzną, na którego czekała przez całe życie. Czyżby miłość od pierwszego wejrzenia? Hm, takie rzeczy się zdarzają.

Cyrusa pokochała miłością wielką, lecz młodzieńczą. Dobrze, że ich małżeństwo nie doszło do skutku, bo przypuszczalnie zakończyłoby się rozwodem. Potrzebowała jednak dużo czasu, by po rozstaniu odzyskać równowagę.

Co do Vance'a nie miała żadnych złudzeń. Był człowiekiem o trudnym charakterze. Wrzała w nim złość, kipiała furia. Owszem, potrafił być miły, serdeczny, uczynny, ale... Ale nie odwzajemniał jej uczuć.

Pragnął jej. Tego była pewna, choć nie umiała pojąć, dlaczego jej pragnie. Nigdy nie uważała się za atrakcyjną kobietę, która wzbudza pożądanie. Hm, tyle że z tego pożądania nic nie wynika. Vance starał się utrzymać między nimi

dystans.

Popijając kakao, Shane spoglądała w zamyśleniu przez okno. Nie ma rady; powinna znaleźć wylom w murze, którym Vance się ogrodził. Musi go przekonać, że są dla siebie stworzeni. Uśmiechając się pod nosem, odstawiła kubek. Od dziecka tłumaczono jej, że nie ma rzeczy niemożliwych; jeżeli się czegoś bardzo chce, to sukces zawsze jest w zasięgu ręki.

Nagle zaskoczył ją blask reflektorów, który omiółł okna. Wstawszy od stołu, Shane podeszła do drzwi, by sprawdzić, kogo w taki deszcz wyгнаło z domu. Nikogo się przecież nie spodziewała. Zbliżywszy twarz do mokrej szyby, usiłowała cokolwiek dojrzeć. Kiedy rozpoznała samochód, otworzyła szeroko drzwi i wybuchnęła radosnym śmiechem na widok Donny, która z pochyloną głową przeskakiwała kałuże.

- Cześć. - Śmiejąc się wesoło, wpuściła do środka przyjaciółkę. - Troszkę zmokłaś.

- Ha, ha, bardzo śmieszne. - Donna ściągnęła ociekający wodą płaszcz od deszczu i powiesiła go na wieszaku, po czym zrzuciła mokre pantofle. - Podejrzewałam, że cię tu zastanę. Trzymaj - powiedziała, wręczając Shane półkilogramową puszkę kawy.

- Co to? Czyżby prezent powitalny? - zapytała Shane, z zaciekawieniem obracając w dłoniach puszkę. - Czy delikatna aluzja, że napiłabyś się kawy?

- Ani jedno, ani drugie. - Donna usiłowała rozczesać palcami mokre włosy. - Kupiłaś to u mnie w sklepie, a potem zapomniałaś zabrać.

- Serio? - Shane umilkła na moment, po czym skinęła głową. - Rzeczywiście, masz rację. Dzięki. - Wstawiła puszkę do szafki. - A kto pilnuje sklepu, kiedy ty rozwozisz zapominalskim towar?

- Dave. - Wzdychając ciężko, Donna usiadła na krześle. - Jego siostra zajmuje się naszym maleństwem, więc wyrzucił mnie z domu.

- Na deszcz?

- Widział, że nie mogę sobie znaleźć miejsca. - Wyjrzała przez okno. - Boże, wygląda tak, jakby miało padać do końca świata. - Przeniosła wzrok na bose nogi przyjaciółki. - Nie jest ci zimno?

- Nawet chciałam rozpalić w kominku - przyznała Shane. - Ale jakoś nie

mogłam się zmobilizować.

- Pewnie. Lepiej się rozchorować.

- Zostało jeszcze trochę kakao - oznajmiła Shane, automatycznie sięgając po kubek. - Napijesz się?

- Chętnie. - Donna ponownie rozczesała włosy, po czym położyła ręce na kolanach, widać jednak było, że nie może spokojnie usiedzieć. - No dobra, muszę ci coś powiedzieć, bo dłużej nie wytrzymam.

Shane zaciekawiona zerknęła przez ramię.

- Co takiego?

- Spodziewam się drugiego dziecka.

- Och, Donna, to wspaniale! - Shane poczuła lekkie ukłucie zazdrości. Ignorując je, podeszła do przyjaciółki i uściskała ją serdecznie. - Kiedy?

- Dopiero za jakieś siedem miesięcy - odparła ze śmiechem Donna. - Wiesz, jestem tak samo przejęta, jak przy pierwszym dziecku. Dave również. I chociaż stara się tego nie okazywać, to chyba każdemu, kto zajrzał dziś do sklepu, przekazał tę nowinę.

Shane ponownie uścisnęła przyjaciółkę.

- Czy wiesz, jaka z ciebie szczęściara?

- Wiem. - Nieśmiały uśmiech wypełził na twarz Donny. - Cały dzisiejszy dzień spędziłam na wymyślaniu imion. Jak ci się podoba Charlotte i Samuel?

- Bardzo. - Shane naląła kakao i wróciła do stołu. - Zdrowie Charlotte i Samuela.

- Albo Andrew i Justine - rzekła Donna, wznosząc toast.

- To ile zamierzasz mieć tych dzieci? - spytała Shane.

- Jedno. - Donna pogładziła się po brzuchu.

- Powiedziałaś, że siostra Dave'a opiekuje się małym? Ona nie chodzi do szkoły?

- Nie, w tym roku zdała maturę. Właśnie szuka nowej pracy. - Donna oparła się wygodnie. - Chciała iść do college'u, ale po pierwsze kiepsko u nich z forszą, a po drugie godziny, jakie spędza w pracy, uniemożliwiają jej normalne studiowanie. - Zmarszczyła czoło. - Może w tym semestrze zapisze się na studia wieczorowe. Zajęcia odbywają się dwa razy w tygodniu, ale w tym tempie dyplom

uzyska dopiero za pięć czy sześć lat.

- Hm. - Shane zamyśliła się. - O ile pamiętam, Pat to całkiem inteligentna dziewczyna.

- Inteligentna i śliczna jak obrazek.

- Poproś ją, żeby wpadła do mnie.

- Po co?

- Kiedy już się ze wszystkim uporam, będę potrzebowała kogoś do pomocy.

- Popatrzyła na szybę, po której spływały wielkie krople deszczu. - Mniej więcej za miesiąc, może nawet dwa. Jeśli Pat będzie zainteresowana, to jakoś się dogadamy.

- Shane, ona będzie zachwycona! Ale... czy jesteś pewna, że stać cię na pracownika?

Shane wzruszyła ramionami.

- Jeśli mam splajtować, splajtuję w ciągu najbliższych paru miesięcy... - Gestem, który Donna dobrze знаła, a który świadczył o zdenerwowaniu, zaczęła okręcać wokół palca kosmyk włosów. - Chcę, żeby muzeum i sklep były czynne siedem dni w tygodniu - ciągnęła po chwili. - W weekendy powinno przyjeżdżać najwięcej turystów. Po obejrzeniu muzeum większość zajrzy do sklepu. Sama sobie nie poradzę; praca ekspedientki, zakup towarów, inwentaryzacja... to wszystko wymaga czasu. - Urwała. - Jeśli mam spaść, to z hukiem.

- Wiem. Ty nigdy niczego nie robisz połowicznie - stwierdziła Donna z nutą zazdrości i zatroskania w głosie. - Ja bym umarła ze strachu.

- No, trochę się boję - przyznała Shane. - Oczami wyobraźni widzę muzeum, sklep, tłumy klientów, i ogarnia mnie przerażenie. Jak ja sobie poradzę? Czy podołam?

- Podołasz - wtrąciła przyjaciółka. - Nie masz zwyczaju chować głowy w piasek. Poza tym kochasz wyzwania. Powiedz, kotku, jesteś zdecydowana, prawda? Podjęłaś decyzję i nie zmienisz jej bez względu na trudności?

- Nie zmienię. - W policzkach Shane pojawiły się dwa dołeczki.

- Tak myślałam. Więc nie będę szukać dziury w całym. Powiem tylko: jeżeli komukolwiek to się może udać, to na pewno tobie.

Uniósłszy brwi, Shane popatrzyła Donnie w oczy.

- Dlaczego tak myślisz?
- Bo cię znam. Poświęcisz się temu bez reszty.
- I to wystarczy?
- Absolutnie.
- Obyś miała rację... Zresztą za późno na wahania i wątpliwości. No dobra...

Poza Samuelem i Justine to co jeszcze słyhać?

Donna wzięła głęboki oddech.

- Widziałam się wczoraj z Cyrusem - oznajmiła pośpiesznie.

- Tak? - Shane skrzywiła się. - Ja też.

- Wydawał się... hm, bardzo zaniepokojony twoimi planami.

- Raczej krytycznie do nich nastawiony. - Widząc rumieńce na twarzy przyjaciółki, Shane uśmiechnęła się szeroko. - Nie przejmuj się, Donna. On nigdy nie pochwalał moich pomysłów. Ale to mi zwisa. Właściwie im bardziej jest czemuś przeciwny, tym większą ja mam na to ochotę. Wiesz, on chyba ani razu w życiu nie zaryzykował... - Zauważywszy, że Donna przygryza nerwowo wargi, urwała. - W porządku, o co chodzi?

Donna zaczęła bawić się kubkiem. Shane milczała, wiedząc, że przyjaciółka zbiera się na odwagę.

- Powinam ci to powiedzieć, zanim... zanim dowiesz się od kogoś innego.

Cyrus...

Nastała cisza, którą w końcu przerwała Shane.

- Co Cyrus? - zapytała.

Donna popatrzyła na przyjaciółkę ze zbolaną miną.

- Od jakiegoś czasu spotyka się z Laurie MacAfee. - Na widok wytrzeszczonych oczu przyjaciółki, dodała szybko: - Przykro mi, Shane. Naprawdę mi przykro, ale pomyślałam sobie, że powinnaś o tym wiedzieć. I że lepiej, żebyś to usłyszała ode mnie. Obawiam się, że oni... że Laurie i Cy... że to coś poważnego.

- Laurie... - Shane urwała i przez moment z dziwnym zafascynowaniem wpatrywała się krople wody kapiące do miski. - Laurie MacAfee? - spytała wreszcie.

- Tak - odparła pośpiesznie Donna. - Podobno mają się pobrać w przyszłym

roku.

Nieszczęśliwa, z wzrokiem wbitym w blat, czekała na reakcję przyjaciółki. Kiedy usłyszała wybuch śmiechu, zaniepokojona podniosła głowę.

- Laurie MacAfee! - Shane jedną ręką trzymała się za brzuch, drugą raz po raz uderzała w stół. - To cudowne! To przepiękne! Boże, jaka idealna z nich para!

- Shane... - Widząc mokre od łez oczy przyjaciółki, Donna zamilkła.

- Szkoda, że wcześniej o tym nie wiedziałam! Pogratulowałabym mu.

Niemal piszcząc z uciechy, Shane oparła czoło o blat. Pewna, że przyjaciółka cierpi, Donna pogłaskała ją delikatnie po włosach.

- Kochanie, nie przejmuj się - szepnęła, czując, jak jej oczy też zachodzą łzami. - Cy nie jest odpowiednim partnerem dla ciebie. Zaslugujesz na kogoś lepszego.

Słyszając to, Shane dostała ponownego ataku śmiechu.

- Och, Donna! Pamiętasz te pastelowe kompleciki Laurie? I zajęcia z gospodarstwa domowego, na których zawsze dostawała piątki z plusem? - Shane musiała wziąć głęboki oddech, zanim mogła dalej mówić. - Nawet napisała pracę semestralną z planowania domowego budżetu!

- Błagam cię, kotku, nie myśl o tym. - Donna rozglądała się po kuchni, szukając czegoś na uspokojenie. Może przyjaciółce dobrze zrobi łyk koniaku?

- Założę się, że kupi sobie prawidła na buty. I podpisze je, żeby się nie myliły z prawidłami Cyrusa! O Boże! - Zanosząc się śmiechem, Shane ponownie uderzyła dłonią w blat. - Cy i Laurie! Ja nie wytrzymam!

Donna, przerażona zachowaniem przyjaciółki, spojrzała uważnie na jej twarz.

- Kochanie, proszę cię... - zaczęła i nagle zobaczyła, że twarz Shane wykrzywia śmiech, a nie rozpacz. - No tak - oznajmiła sucho. - Wiedziałam, że ta wiadomość cię załamie.

Kolejny wybuch śmiechu wypełnił kuchnię.

- Dam im w prezencie ślubnym jakiś wiktoriański bibelot. Oj, Donna... - Shane uśmiechnęła się szeroko. - Uwielbiam cię! Sprawiaś mi niesamowitą frajdę.

- Wiedziałam, że będziesz niepokieszona. Ale błagam cię, staraj się nie



beczeć przy ludziach.

- Postaram się - obiecała Shane, z trudem zachowując powagę. - Kochana jesteś! Naprawdę myślałaś, że wciąż za nim wzdycham?

- Nie byłam pewna - przyznała Donna. - Tyle czasu byliście parą, no i wiem, jak bardzo cierpiałas po rozstaniu. Zamknęłaś się w sobie...

- Owszem, cierpiałam. Kochałam go. Ale rany już dawno się zagoiły.

- Kiedy cię rzucił, miałam ochotę go zabić - mruknęła Donna. - Chryste! Dwa miesiące przed ślubem!

- Lepiej przed niż po - zauważyła kwaśno Shane. - Nie byliśmy dla siebie stworzeni. Za to Cy i Laurie MacAfee...

Tym razem obie parsknęły śmiechem.

- Shane... Sporo ludzi myśli podobnie jak ja. Że nadal kochasz Cyrusa.

Shane wzruszyła ramionami.

- Nic na to nie poradzę. Niech myślą i mówią, co chcą. Zresztą - dodała po chwili - wkrótce znajdą nowy temat do plotek. Nie mam czasu się tym przejmować.

- Widzę. Cały ganek masz zawalony.

- Drewnem. Materiałami budowlanymi.

- Co będziesz budować?

- Nie ja, tylko Vance. Napijesz się jeszcze kakao?

- Vance Banning? - zdumiała się Donna, po czym przysunęła się bliżej. -

Mów. Opowiadaj.

- Nie ma o czym. Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Na twoje... ? Nie, nie chcę żadnego kakao - warknęła. - Shane, co Vance będzie tu robił?

- Stolarkę.

- Jaką stolarkę? I dlaczego?

- Dlatego, że go zatrudniłam.

- Ale dlaczego? - Donna nie dawała za wygraną.

- Bo jest stolarzem.

- Shane!

- Słuchaj, facet jest bezrobotny, a ja potrzebuję kogoś, kto zgodziłby się

pracować za minimalną stawkę...

- Czego się o nim dowiedziałaś?

- Niewiele. - Shane zmarszczyła zabawnie nos. - A właściwie to nic. Nie bardzo lubi o sobie mówić.

- Tyle to i ja wiem.

- No dobrze. - Shane wyszczerzyła zęby. - Jest dumny, ambitny, ale potrafi być nieuprzejmy, niemal opryskliwy. Ma wspaniały uśmiech, którego nie nadużywa. I silne ręce... - dodała cicho. - A także wielkie serce. Myślę, że umie się z siebie śmiać, ale zapomniał, jak to się robi. I na pewno nie boi się pracy; prawie o każdej porze dnia i nocy docierają do mnie odgłosy stukania, piłowania, heblowania. - Zerknęła przez okno w stronę ścieżki prowadzącej do posiadłości Vance'a. - Kocham go.

- Tak, ale... - Donna o mało się nie udławiła. - Co?!

- Kocham go - powtórzyła z rozbawieniem Shane. - Dać ci szklankę wody?

Co najmniej przez minutę Donna siedziała z wytrzeszczonymi oczami, wpatrując się w przyjaciółkę. Ona żartuje, powtarzała w myślach. Ale w oczach Shane widziała wyraz powagi. I jako mężatka spodziewająca się drugiego dziecka uznała, że powinna wyjaśnić przyjaciółce, czym to wszystko może grozić.

- Posłuchaj, kotku... - zaczęła poważnym, matczynym tonem. - Dopiero faceta poznałaś. Jeszcze nic...

- Poczulałam to, gdy tylko na niego spojrzałam - przerwała jej Shane. - Pobierzemy się.

- Pobierzecie? - wykrzyknęła Donna, po czym zaniósła się kaszlem.

Shane wstała od stołu i naląła jej szklankę wody.

- Oś... oś... oświadczył ci się?

- Nie. Skądże. - Shane zaśmiała się pod nosem. - Przecież dopiero się poznaliśmy.

Donna zamknęła oczy i spróbowała się skupić.

- Przepraszam. Mam mętlik w głowie - przyznała w końcu.

- Powiedziałam, że się pobierzemy - wyjaśniła cierpliwie Shane, zajmując ponownie miejsce przy stole. - On o tym jeszcze nie wie. Muszę poczekać, aż się we mnie zakocha.

- Hm... Jeśli wolno spytać: jak zamierzasz go do tego zmusić?  
- Zmusić? W ogóle nie zamierzam - odparła zdziwiona Shane. - Sam się we mnie zakocha, kiedy nadejdzie odpowiedni czas.

- Miewałaś w swoim życiu masę szalonych pomysłów, ale ten bije rekordy.  
- Donna skrzyżowała ręce na piersi. - Chcesz poślubić faceta, którego poznałaś zaledwie przed tygodniem i który nic nie wie o twoich planach? I zamierzasz spokojnie czekać, aż sam się wszystkiego domyśli?

Shane zadumała się na moment.

- No, tak. - Skinęła głową. - Zgadza się.  
- Czegoś tak absurdalnego w życiu nie słyszałam! - Donna wybuchnęła śmiechem. - Ale znając ciebie, podejrzewam, że osiągniesz cel.

- Mam nadzieję.

Donna ujęła przyjaciółkę za rękę.

- Dlaczego go pokochałaś?  
- Nie mam pojęcia - odparła szczerze Shane. - I właśnie dlatego jestem pewna, że to prawdziwe uczucie. Nic o nim nie wiem poza tym, że ma skomplikowaną naturę. Będę przez niego cierpieć, będę płakała...

- Więc dlaczego...

- Ale sprawi też, że będę się śmiała - ciągnęła Shane. - I że czasem wpadnę w szał. - Uśmiechnęła się, ale w jej oczach malowała się powaga. - Przy nim nigdy nie będę czuła się szara, nijaka, niepotrzebna. To mi wystarcza.

- Boże, Shane. - Donna uściśnęła rękę przyjaciółki. - Jesteś najśłodszą, najbardziej lojalną osobą, jaką znam. I najbardziej ufna. To wspaniałe cechy, ale niosą z sobą pewne niebezpieczeństwo... Po prostu chciałabym, żebyś więcej o nim wiedziała.

- On... ma jakąś tajemnicę. Kiedyś dojrzeje do tego, aby mi ją zdradzić.

- Shane, bądź ostrożna. Proszę cię.

Zaskoczona, Shane uśmiechnęła się.

- Nie martw się o mnie. Może jestem bardziej ufna niż inni, ale nie jestem głupia. Nie zamierzam się zbłąźnić. - Ponownie wbiła wzrok w okno. - Vance to dobry człowiek. Może pogmatwany, ale dobry. Szlachetny. Nie mam co do tego wątpliwości.

- W porządku - powiedziała cicho Donna, obiecując sobie, że będzie miała Vance'a Banninga na oku.

Shane siedziała w kuchni jeszcze długo po wyjściu przyjaciółki. Deszcz wciąż padał; krople kapwały z sufitu do ustawionych na podłodze misek.

Cieszyła się, że wyjawiała Donnie, co czuje do Vance'a. Prawdę mówiąc, była przerażona sobą. Wiedziała, że za ufność czasem płaci się wysoką cenę. Ale dokonała wyboru. A może go nie miała? Może po prostu taki los był jej pisany?

Wreszcie wstała od stołu, zgasła światła i zaczęła krążyć po ciemnym domu. Znała tu każdy kąt, każdy zakamarek, każdą skrzypiącą deskę. Kochała to miejsce. Vance'a nie znała; nie wiedziała, jakie kryje w sobie tajemnice, ale też go kochała.

Przeszła na górę, zgrabnie omijając stopnie, które skrzypiały pod naciskiem stóp. Nagle ogarnęły ją wątpliwości. Kto powiedział, że Vance się w niej zakocha? Że ona ma cierpliwie czekać, aż on przejrzy na oczy? Niby dlaczego miałyby przejrzeć?

Zapaliwszy lampę w sypialni, stanęła przed lustrem. Co takiego by w niej zobaczył? Piękno? Powab? Wdzięk? Oparłszy się o biurko, studiowała uważnie swe odbicie.

Widziała mnóstwo piegów, duże piwne oczy i burzę niesfornych loków. Nie widziała energii, niezwyklej witalności, jaką emanowała, gładkiej jedwabistej skóry ani zmysłowych warg. Czy taka twarz może faceta podniecić? Na samą myśl zrobiło się jej wesoło. Postać w lustrze rozciągnęła w uśmiechu usta. Chyba nie, odparła sama sobie. Ale wcale nie chciała mężczyzny, który dostrzegalby w niej wyłącznie fizyczne piękno. Nie, jej twarz czy figura nie skuszą Vance'a. Ale za to silna osobowość i miłość w sercu...

Odwzajemniwszy uśmiech, wyprostowała się i zaczęła szykować do łóżka. Zawsze uważała miłość za najważniejszą rzecz w życiu. Za największą przygodę, jaką można przeżyć.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Promienie słońca przedzierały się przez ciężkie, ołowiane chmury. Wezbrany po deszczu strumyk szemrał głośno, jakby się na coś skarżył lub narzekał. Shane przeklinała pod nosem, ale ona miała konkretny powód do niezadowolenia.

Poprzedniego dnia wyprowadziła samochód z wąskiego podjazdu, tak by furgonetka dostawcza mogła podjechać pod ganek od strony kuchni. Nie chcąc niszczyć trawy, zaparkowała wóz na niedużym skrawku ziemi, na którym dawniej babcia uprawiała warzywa. Zajęta rozładowywaniem furgonetki, zapomniała o samochodzie, który teraz tkwił w błocie. Koła buksowały i wyglądało na to, że trzeba będzie czekać, aż wszystko znów wyschnie.

Nacisnęła lekko pedał gazu. Wrzuciła pierwszy bieg. Nic. Wsteczny. Też nic. Nacisnęła mocniej. Koła znów zabuksowały. Wysiadła z wozu i poczłapała na tył, w stronę bagażnika. Patrząc oskarżycielskim wzrokiem na koła, z całej siły kopnęła prawe.

- To nie pomoże - stwierdził Vance, który od kilku minut z rozbawieniem obserwował jej poczynania.

Zniecierpliwiona, z rękami na biodrach, obróciła się do niego twarzą. Nie dość, że ma kłopoty, to jeszcze trafił jej się widz!

- Mogłeś mnie uprzedzić, że tu jesteś.

- Byłaś dość... zajęta - oznajmił, wskazując głową na jej ochlapany błotem samochód.

Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem.

- A ty byś sobie poradził bez trudu?

- Tak sędzę. Istnieje parę rozwiązań.

Buty miała zabłocone po kostki; dzinsy podwinięte do połowy łydki, ale też ochlapane błotem. Oczy ciskały błyskawice. Wyglądała tak, jakby lada moment miała wybuchnąć. Człowiek przezorny trzymałby się od niej z daleka. I milczał.

- Kto, u diabła, zaparkował samochód w tym grzędawisku? - zapytał Vance.

- Ja. - Shane ponownie kopnęła oponę. - Tyle że wtedy nie było tu żadnego grzędawiska.

- A nie zauważyłaś, że w nocy padało? - Uniósł pytająco brwi.

- Och, wypchaj się!

Wściekła, odepchnęła go na bok i znów usiadła za kierownicą. Przekręciła kluczyk w stacyjce, wrzuciła pierwszy bieg, po czym nacisnęła pedał gazu. Spod kół trysnęła fontanna błota. Z wyciem silnika samochód zapadł się głębiej w miękką ziemię.

Bezradna, doprowadzona do furii, przez kilka sekund waliła pięścią w kierownicę. Korciło ją, by powiedzieć Vance'owi, by dał jej święty spokój. Bo chyba nie ma nic bardziej irytującego niż rozbawiony, zadufany samiec... zwłaszcza wtedy, gdy potrzebuje się jego pomocy. Starając się zachować zimną krew, Shane wzięła głęboki oddech i wysiadła.

- No dobrze - powiedziała. - Więc co byś zrobił na moim miejscu?

- Masz parę desek?

Zła, że sama o tym nie pomyślała, poszła do szopy, skąd po chwili wróciła z dwiema długimi, cienkimi deskami. Nie wdając się w rozmowę, Vance oparł je o przednie koła. Obserwowała go z rękami skrzyżowanymi na piersi, przytupując jednym zabłoconym butem.

- Za moment sama bym wpadła na ten pomysł - mruknęła.

- Może. - Vance przeszedł na tył wozu. - Ale nic by ci to nie dało. Koła zbyt głęboko tkwią w błocie.

Czekała na komentarz o kobiecej głupocie. Wtedy bez najmniejszych wyrzutów sumienia dałaby upust swej frustracji i wściekłości. Vance jednak bez słowa patrzył na jej zaczerwienioną twarz.

- Co teraz? - spytała w końcu.

Odniosła wrażenie, że kąciki ust mu zadrgały. Zmrużyła oczy.

- Wsiadaj, to cię popchnę. - Położył rękę na jej ramieniu. - Naciśnij pedał gazu, ale tym razem lekko.

- To wóz z napędem na cztery koła - oznajmiła butnie.

- Najmocniej przepraszam, nigdy bym się nie domyślił. - Po raz pierwszy od wielu miesięcy miał ochotę szczerze się roześmiać. Z trudem się powstrzymał. - Powoli wrzucić bieg - poinstruował ją.

- Umieć jeździć - warknęła, zatrząskując drzwiami.

Zmarszczywszy czoło, wpatrywała się z uwagą w lusterko wsteczne. Kiedy Vance skinął głową, w skupieniu zaczęła wykonywać jego polecenia. Przednie koła wolno najechały na deski. Tylne zabuksowały, po czym znów ruszyły do przodu. Wygląda na to, że akcja zakończy się sukcesem, pomyślała. Czuła się zawstydzona i upokorzona tym, że sama nie potrafiła wydostać się z tego błotnego bajora.

- Jeszcze trochę! - zawołał Vance, zmieniając pozycję. - Nie spiesz się.

- Co mówisz?

Ledwo go słyszała. Opuściwszy szybę, wysunęła na zewnątrz głowę. W tym samym momencie noga się jej ześliznęła z pedału gazu. Po chwili go odnalazła, ale nacisnęła z całej siły. Samochód wyskoczył z grząskiego leja niczym z katapulty. Wydając z siebie okrzyk przerażenia, Shane czym prędzej wcisnęła hamulec.

Zamknawszy oczy, przez chwilę siedziała bez ruchu, rozmyślając o ucieczce. Nie miała odwagi spojrzeć w lusterko wsteczne. Hm, może powinna skrócić kierownicą w prawo, w stronę szosy, i po prostu zwiać? Ale nie była tchórzem. Przełknęła ślinę, przygryzła wargi, po czym zebrawszy się w sobie, otworzyła drzwi i wysiadła.

Vance klęczał na ziemi, ochlapany błotem i zirytowany.

- Kretynka, psiakrew! - wrzasnął, zanim zdołała go przeprosić. - Musiałaś dopiąć swego? Udowodnić, że jesteś lepsza? Przecież ci mówiłem, żebyś lekko naciskała na gaz! Durna baba...

Miotał przekleństwa, wyzywał ją od matolów, ale ona już go nie słuchała. Nie dziwiła jej jego wściekłość. Zamiast jednak okazać skruchę, toczyła walkę z samą sobą. Z trudem udawało jej się utrzymać na twarzy wyraz skupienia i zatroskania.

Z początku patrzyła Vance'owi prosto w oczy; miała nadzieję, że na widok malującej się w nich wściekłości odejdzie jej ochota do śmiechu. Ale upstrzona błotem twarz nie pomagała w zachowaniu powagi. Udając zawstydzoną, Shane opuściła głowę i wbiła wzrok w ziemię.

- I ty twierdzisz, że umiesz prowadzić samochód? Większej bzdury w życiu nie słyszałem! - pieklił się. - Trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby zaparkować wóz w bagnie!

- Tu był ogródek warzywny mojej babci - wykrztusiła. - Ale masz rację.

Przepraszam. Ja nie... - Odchrząknawszy, szybko dodała: - Przepraszam, Vance...  
- Patrzyła to gdzieś w bok, to w niebo, byleby tylko nie zatrzymać spojrzenia na zabloconym awanturniku. - To było bardzo nierozważne z mojej strony.

- Nierozważne?

- Głupie - poprawiła się pośpiesznie, licząc na to, że jej samokrytyka poprawi mu humor. - Postąpiłam jak ostatnia kretyńka. Strasznie cię przepraszam. - Przycisnęła obie ręce do ust, ale nie zdołała pohamować ataku wesołości. - Naprawdę. - Nie wytrzymała. Zaczęła chichotać, a po chwili trzęsła się ze śmiechu. - O Boże! Wcale nie chcę się z ciebie... Przepraszam...

- Skoro to cię tak śmieszy... - mruknął pod nosem, po czym chwycił ją za rękę.

Wylądowała na pupie, wciąż zanosząc się chichotem.

- Nie... nie podziękowałam ci za... wyciągnięcie mnie z bajora - dodała roześmiana.

- Drobiazg - mruknął.

Przemknęło mu przez myśl, że w takiej sytuacji, siedząc w kałuży, większość kobiet nie posiadałaby się z wściekłości. Shane zaś trzymała się za boki i ryczała ze śmiechu. Ku własnemu zdumieniu poczuł, jak jego złość ustępuje.

- Zołza!

- Nie, ja... - Przycisnęła rękę do ust. - Przepraszam, zawsze wybucham śmiechem w najbardziej nieodpowiedniej chwili. Taki mam paskudny zwyczaj. Głupio mi... - Ostatnie słowa zniekształcił kolejny atak śmiechu.

- Widzę.

- Tak czy inaczej nie cały jesteś ochlapany. - Zgarnęła z ziemi garść błota i umazała nim policzek Vance'a. - O, teraz znacznie lepiej. - Zadowolona z siebie, pokiwała głową.

- Tobie też brakuje brązu. - Przesunął zabloconymi dłońmi po jej twarzy.

Usiłowała się podnieść, uciec przed zemstą, ale pośliznęła się i upadła na wznak. Śmiech Vance'a zmieszał się z jej piskiem.

- No, tak mi się bardziej podobasz - oznajmił. - O, nie! Co za dużo, to niezdrowo! - zawołał, widząc, że Shane znów chwyta garść błota.

Odsunęła się, a on upadł brzuchem na ziemię. Mruczając coś, wsparł się na



łokciu i zmrużył oczy.

- Mieszczuch, mieszczuch! Pewnie nigdy nie tarzałeś się w błocie, prawda?

Pewna swego zwycięstwa, nie zauważyła, że Vance coś knuje. On zaś poderwał się, po czym usiadł na niej okrakiem, przygważdżając ją do ziemi.

- Chryste, Vance, nie zrobisz tego! Nie zrobisz. - Wstrząsana śmiechem, usiłowała mu się wyrwać.

- Tak myślisz? To się mylisz. - Przysunął jej twarz o centymetr bliżej do błotnistej ziemi.

- Vance!

Mokra, zabłocona, wiła się jak piskorz, ale trzymał ją mocno. Wiedziała, że nie ma szansy się oswobodzić. Kiedy dystans pomiędzy jej nosem a kałużą jeszcze bardziej się zmniejszył, zamknęła oczy i wstrzymała oddech.

- Poddajesz się?

Otworzyła jedno oko. Przez chwilę wahała się; chciała wygrać, ale nie chciała, by Vance wepchnął jej twarz do kałuży.

- No dobra, poddaję.

Obrócił ją tak, że leżała z głową na jego kolanach.

- A więc jestem mieszczuchem? - spytał.

- Nie pokonałbyś mnie, gdybym nie wyszła z wprawy - rzekła. - Po prostu miałeś fart.

Z jej oczu wyzierała kpina. Twarz znaczyły ciemne smugi. Miała zabłocone ręce, szyję, brzuch. Nieświadom tego, co robi, Vance zaczął ją gładzić po karku, po biodrze. Utkwił oczy w jej ustach, po czym zaczął się wolno schylać. Dojrzała, że wyraz jego oczu się zmienił. Ogarnął ją strach. W rozmowie z Donną była taka pewna siebie, ale... Kocha go, ale czy to nie jest zbyt szybkie tempo? Tak, należy zwolnić. Czując, jak serce wali jej młotem, niezdarnie dźwignęła się na nogi.

- Chodź, ścigamy się do strumyka! - Rzuciła się pędem przed siebie.

Vance patrzył, jak Shane znika za domem. Po chwili, zamyślony, podniósł się z ziemi. Nie potrafił się w tym wszystkim odnaleźć. Nigdy nie sądził, że mogłyby mu się spodobać zapasy w błocie. Nie sądził też, że kiedykolwiek spotka osobę tak intrygującą i tak działającą na jego zmysły, jak Shane. Próbując uporządkować chaos w głowie, wolnym krokiem skierował się za dziewczyną.

Ściągnęła buty i brodziła w wodzie.

- Lodowata! - zawołała, po czym zanurzyła się po pas. Z zimna wstrzymała na moment oddech. - Gdyby była trochę cieplejsza, moglibyśmy przejść do Molly's Hole i trochę popływać.

- Do Molly's Hole? - Usiadłszy na trawie, Vance zdejmował buty.

- To takie miejsce tuż za zakrętem. - Wskazała w kierunku szosy. - Nieco szersze i głębsze. Świetnie nadaje się do pływania i łowienia ryb. - Zadrzała, po czym zaczęła polewać wodą przód bluzki, by pozbyć się z niej błota. - Całe szczęście, że w nocy tyle napadało. Inaczej woda w strumyku sięgałaby za nisko, żeby można się było porządnie umyć.

- Gdyby nie padało, twój samochód by nie ugrzązł - zauważył Vance.

Wyszczерzyła w uśmiechu zęby.

- To prawda - przyznała, przyglądając się, jak wchodzi do wody. - Zimna?

- Powinienem był zanurzyć ci twarz w błocie, a ja głupi się nad tobą zlitowałem. - Zdarłszy koszulę, cisnął ją na brzeg, po czym zaczął się szorować.

- Miałbyś wyrzuty sumienia - rzekła Shane, opłukując twarz.

- Mylisz się.

Roześmiała się wesoło.

- Lubię cię, Vance. Moja babcia nazwałaby cię huncwotem.

Uniósł pytająco brwi.

- W jej ustach to był najwyższy komplement.

Wstała. Nogawki dżinsów lepiły się jej do ud, a bluzka do piersi. W mokrym materiale odciskały się sterczące z zimna sutki. Zajęta splukiwaniem z siebie błota, była nieświadoma tego, że jest niemal naga.

- Uwielbiała huncwotów. Może dlatego nigdy się na mnie nie złościła. A ja ciągle wpadałam w tarapaty.

- Jakie? - Był już czysty, ale nie wychodził z wody. Wpatrywał się z zachwytem w Shane. Była cudownie zbudowana. Dlaczego wcześniej tego nie zauważył, tej idealnej harmonii kształtów?

- Nie lubię się chwalić... - zmyła brud z rękawów bluzki - ale ciągle łąziłam do sadu starego Trippeta i kradłam mu jabłka. Poza tym ujeżdżałam krowy Poffenburgera. - Ruszyła w stronę Vance'a. - Pochyl się, opłucz ci twarz... -

Nabrała w ręce wody i zaczęła usuwać mu błoto z policzków. - Chyba nie ma płotu w promieniu dziesięciu kilometrów, na którym nie rozdarłabym sobie portek. Babcia ciągle mi je zszywała i łątała, mrucząc pod nosem, że pewnie wyrosnę na straszną chuliganicę.

Jedną ręką obmywała Vance'owi twarz, drugą trzymała opartą o jego nagi tors. Nie protestował. Stał bez ruchu, cierpliwie poddając się ablucji.

- Sąsiedzi wytykali mnie palcami. Ta mała urwiska, mówili. Teraz muszę im udowodnić, że jestem uczciwym, praworządnym obywatelem; przekonać ich, żeby wybaczyli mi kradzież jabłek i przychodzili do mnie kupować antyki. O, teraz zdecydowanie lepiej...

Usatysfakcjonowana wyglądem twarzy Vance'a, chciała cofnąć rękę. Nie zdołała. Przytrzymał ją. Stała bez ruchu, nie odrywając spojrzenia od jego oczu.

Wolnymi ruchami zaczął splukiwać jej z twarzy brud. Zauważywszy, że wargi jej drżą, delikatnie obrysował je wilgotnym palcem. Tym razem cała zadrżała. Na moment zza chmur wyłoniło się słońce, oświetlając okolicę jasnymi promieniami.

- Teraz już mi nie uciekniesz - szepnął Vance, bardziej do siebie niż do niej.

Nie odpowiedziała, jakby nie chciała spłoszyć palca, który spoczywał w kącie jej ust. Po chwili palec przesunął się niżej, na brodę, a z brody na szyję i obojczyk. Na moment Vance się zawahał, czekając na reakcję Shane. Zadowolony z braku sprzeciwu, położył dłoń na osłoniętej moką bluzką piersi. Poczula żar i chłód: chłód od wody, żar od dotyku. Krew odpłynęła jej z twarzy, oczy stały się wielkie, lśniące. Wciągnęła gwałtownie powietrze, ale nie cofnęła się, nie zaprotestowała, nie kazała zabrać ręki.

- Boisz się mnie? - spytał.

- Nie - odparła szeptem. - Boję się siebie.

Zdezorientowany, zmarszczył czoło. Przez chwilę wyglądał groźnie. Wpatrywał się w nią przenikliwym wzrokiem, pełnym pytań, wątpliwości i podejrzeń. Jednakże nie wzbudzał w niej lęku; tak jak mu powiedziała, bała się siebie - własnych potrzeb, pragnień i oczekiwań.

- Dziwna odpowiedź - szepnął zadumany. - Jesteś niezwykłą kobietą, Shane. - Błądził spojrzeniem po jej twarzy, jakby usiłował coś wyczytać. - Czy

dlatego tak bardzo mnie podniecasz?

- Nie wiem - odpowiedziała, próbując nabrać w płuca powietrza. - I nie chcę wiedzieć. Pocałuj mnie.

Leciutko musnął jej wargi.

- Ciekawe, co mnie w tobie tak intryguje? Twój smak? - Pocałował ją nieco mocniej; w odpowiedzi usłyszał zmysłowe mruczenie. - Świeżutka jak wiosenny deszcz, słodka jak miód... Skóra miękka, jedwabista...

- Czy koniecznie trzeba wszystko analizować? - szepnęła. - Czy nie wystarczy po prostu czuć? - Ich ciała rozdzielał tylko cienki materiał jej bluzki. - Pocałuj mnie, Vance. Proszę cię.

- Pachniesz jak krople deszczu - kontynuował. Wiedział, że powinien się odsunąć, ale nie miał dość siły. - Czysto i niewinnie. Kiedy patrzę ci w oczy, mógłbym przysiąc, że nie ma w tobie żadnego fałszu, żadnego kłamstwa. Chyba się nie mylę?

Zanim zdołała odpowiedzieć, zmiażdżył jej usta namiętym pocałunkiem. Złość, którą wcześniej w nim wyczuwała, przeobraziła się w żar, w zwierzęcy głód.

Po chwili usta przestały mu wystarczać. Zaczął całować jej twarz: zimne, ociekające wodą policzki, brodę, nos. Ale co rusz wracał do ust, ciepłych, niecierpliwych, żywo reagujących na każdy dotyk.

Powtarzał sobie w myślach, że potrzebuje kobiety, jej smaku, miękkości, ciepła. A Shane - cudowna, z jednej strony uległa, z drugiej pełna pasji i zaangażowania - po prostu jest pod ręką. Nic więcej się za tym nie kryje. Przecież prawie się nie znają. A jednak ta nieznana mu Shane miała w sobie coś tak fascynującego, że wszystkie inne kobiety, z jakimi kiedykolwiek się spotykał, nagle zeszły na boczny tor; przestały się liczyć. Była tylko ona.

Nic nie stało na przeszkodzie, aby kochali się tu nad wodą, na wilgotnej trawie. Całując jej usta, wyobrażał sobie, jak to będzie, gdy przytuli do siebie jej nagie ciało. Pragnął w nie wejść, znaleźć w nim radość i ukojenie. Wiedział, że ona pragnie tego samego. Nie opierała się. Odwzajemniała pieszczoty i pocałunki z żarem, który dorównywał jego namiętności.

Nagle zląkł się. Nie rozumiał, co się z nim dzieje, ale bał się, że jej ręce i usta mogą go zniewolić, pozbawić jasności myślenia; na takie ryzyko jeszcze nie

był gotów. Gdy się odsunął, oparła głowę na jego klatce piersiowej. Ten gest go wzruszył; z jednej strony sprawiała wrażenie silnej i twardej, z drugiej delikatnej i kruchej.

Dzień czy dwa temu opowiedziała mu o burzy śnieżnej, która odcięła ją od świata. Właśnie tak się czuł teraz: odcięty. Był on, była ona, był cicho szemrzący strumyk, w oddali były drzewa, a w górze chmury, przez które czasem przebijały się promienie słońca, i to wszystko. Zrozumiał, że niczego więcej nie potrzebuje, żadnych ludzi, żadnych widoków czy dźwięków. Tylko Shane.

Zdał sobie sprawę, że stojąc w lodowatej wodzie, pewnie przemarzała na kość. Wrócił myślami do rzeczywistości.

- Chodź - powiedział, opuszczając ramiona. - Musisz wejść do domu, bo się przeziębisz.

Pomógł jej wdrapać się po śliskim zboczku. Schyliła się po buty. Po chwili napotkała jego wzrok.

- Ty nie wejdiesz... - To nie było pytanie. Zmiana, jaka w nim zaszła, była aż nadto widoczna.

- Nie - odparł chłodno, choć z całego serca pragnął wziąć ją ponownie w ramiona. - Pójdę się przebrać, potem wrócę i zacznę pracę.

Wiedziała, że będzie przez niego cierpiała, ale nie sądziła, że to nastąpi tak prędko. Już raz została odtrącona. Stare rany ponownie się otworzyły.

- Dobrze. Gdyby mnie nie było... po prostu rób, co masz robić.

Uświadomił sobie, że jego słowa i postawa zaboląły ją. O ileż łatwiej byłoby mu znieść pretensje, wyrzuty czy gniew. Po raz pierwszy od lat czuł się zbity z tropu, skonsternowany.

- Wiesz, co by się stało, gdybym teraz z tobą poszedł? - Z jego głosu przebijała irytacja i niecierpliwość.

- Tak.

- Tego chcesz?

Nie od razu odpowiedziała. W końcu uśmiechnęła się, ale w jej oczach krył się smutek.

- Nie, bo ty tego nie chcesz - odparła cicho.

Ruszyła do domu. Zanim wykonała dwa kroki, Vance obrócił ją gwałtownie

ku sobie.

- Psiakrew, Shane! Jesteś idiotką, jeśli myślisz, że cię nie chcę.

- Może chcesz, ale buntujesz się przeciwko temu - oznajmiła. - To jest dla mnie o wiele ważniejsze.

- Ważniejsze? - Rozdrażniony jej spokojem, potrząsnął nią za ramiona. - Wiesz, jak niewiele brakowało, żebym rzucił się na ciebie w wodzie? Nie wystarczy ci świadomość, że doprowadzasz mnie do szaleństwa? Czego więcej oczekujesz?

Przyjrzała mu się uważnie.

- Doprowadzam do szaleństwa? Czyżby?

Walczył z sobą. Nie miał ochoty na rozmowę. Chciał uciec, znaleźć się jak najdalej od niej.

- Owszem, doprowadzasz.

- Hm, niejedna kobieta mogłaby to potraktować jak komplement.

- Pewnie tak.

- Ja nie. No ale sam powiedziałeś, że jestem dziwna. - Westchnęła ciężko. - Odizolowałeś się od swoich uczuć, Vance. I tylko na tym cierpisz.

- Co ty możesz wiedzieć?

Zezłościło go, że odgadła prawdę. Kiedy wpatrywał się w nią gniewnie, usłyszała za plecami śpiew ptaka. Wysokie, przenikliwe dźwięki wzmagaly panujące napięcie.

- Nie jesteś aż takim twardzielem ani cynikiem, za jakiego próbujesz uchodzić - oznajmiła cicho.

- Nic o mnie nie wiesz - mruknął, ponownie chwytając ją za ramiona.

- Wściekasz się, kiedy niechący zdarzy ci się opuścić gardę - ciągnęła jakby nigdy nic. - Boisz się, że mógłbyś coś do mnie poczuć. - Ucisk palców na jej ramionach zelżał. - To nie ja doprowadzam cię do szaleństwa, ale z pewnością coś w tobie wrze. Nie mam pojęcia co. Tylko ty znasz odpowiedź. - Biorąc głęboki oddech, popatrzyła mu w oczy. - Tę walkę musisz stoczyć sam, Vance. Nikt ci w tym nie pomoże.

Obróciwszy się na pięcie, skierowała się do domu, a on w milczeniu odprowadzał ją wzrokiem.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nie mógł przestać o niej myśleć. Mijały tygodnie, drzewa porastające górskie zbocza przybierały złociste barwy, powietrze coraz bardziej pachniało jesienią. Dwukrotnie przez okno w kuchni widział sarny. I niemal bez przerwy myślał o Shane.

Czas dzielił pomiędzy dwa domy. Praca w jego własnym posuwała się wolno, praca dla Shane postępowała szybciej i sprawniej. Oprócz niego w domu dziewczyny pracowali inni fachowcy - a to dekarz, a to hydraulik. Po zapłaceniu dekarzowi Shane niecierpliwie wypatrywała deszczu. Kiedy wreszcie spadł, okrążyła dom, sprawdzając wszystkie miejsca, które dawniej przeciekały. O dziwo, ogarnął ją smutek na myśl, że już nigdzie nie będzie musiała stawiać wiader i misek.

Remont sali muzealnej dobiegł końca. Podczas gdy Vance przeniósł się do innej części domu, Shane zaczęła zapelniać eksponatami dostarczone ze sklepu gabloty.

Niekiedy znikwała na pół dnia; na aukcjach i prywatnych wyprzedażach szukała cennych staroci. Gdy wracała, dom zdawał się ożywać. W piwnicy urządziła magazyn oraz prowizoryczną pracownię konserwatorską. Kątem oka Vance obserwował jej poczynania: przesuwiała stoły, nosiła kartony, wchodziła na drabinę. Ani razu nie widział, żeby próżnowała.

W stosunku do niego zachowywała się tak jak od samego początku: przyjaźnie. A on stale musiał się pilnować. Ilekroć przechodziła obok, ilekroć częstowała go kawą, ilekroć ze śmiechem opowiadała o swoich przygodach na aukcjach, korciło go, by wziąć ją w ramiona. Z każdym dniem pragnął jej coraz bardziej.

Może, przemknęło mu przez myśl, powinien zajrzeć na kilka dni do Waszyngtonu. Na razie wszystkie sprawy zawodowe załatwiał przez telefon, faks i pocztę. Firma świetnie bez niego funkcjonowała, mimo to zastanawiał się, czy dobrze mu nie zrobi tydzień z dala od Shane. Może trochę ochłonie, nabierze dystansu? Sfrustrowany, spakował do torby narzędzia. Po co mu romans? Po co dodatkowe kłopoty?

Kłopoty kłopotami, ale po zejściu na parter natychmiast skrzył w stronę schodów prowadzących do piwnicy. Zawahał się, po czym przeklinając pod nosem, ruszył w dół.

Ubrana w luźne dżinsy i sięgający do bioder sweter Shane odnawiała stół z opuszczanym blatem. Vance widział mebel w dniu, gdy go kupiła; wtedy, brudny i porysowany, nie wyglądał zbyt imponująco. Ale Shane, zarumieniona z przejęcia, była zachwycona nowym nabytkiem. Teraz mahoniowy blat, pokryty kilkoma warstwami przezroczystego lakieru, lśnił jak nowy. W piwnicy unosił się zapach wosku i cytryny.

Vance chciał wrócić niezauważony na górę, ale dziewczyna nagle poderwała głowę.

- Cześć. - Uśmiechnęła się zapraszająco. - Chodź, zerknij na to. W końcu jesteś specem od drewna. - Odsunęła się, aby przyrzeć się swojemu dziełu. - Teraz czeka mnie rzecz najtrudniejsza - rzekła, nawijając na palec kosmyk włosów. - Wystawienie mebla na sprzedaż. Nieźle na nim zarobię, zważywszy, ile za niego zapłaciłam.

Przeciagnał palcem po lśniącej powierzchni; była idealnie gładka. Jego matka miała identyczny mebel w swojej waszyngtońskiej rezydencji. Ponieważ sam go dla niej kupił, dobrze znał jego wartość. Potrafił też odróżnić fachowo wykonaną konserwację od konserwacji wykonanej przez amatora. To, co Shane zrobiła, należy zdecydowanie do pierwszej kategorii.

- Twój czas też jest coś wart - zauważył. - Oraz talent. Gdybyś to dała do pracowni konserwatorskiej, zapłaciłabyś krocie.

- Może, ale trudno przeliczać na pieniądze coś, co sprawia przyjemność.

Uniósł brwi.

- A nie po to otwierasz sklep? Żeby zarabiać i z tego żyć?

- Niby tak... - Zamknęła pojemnik z woskiem. - Mmm, uwielbiam ten zapach...

- Wiele nie zarobisz, jeżeli nie zmienisz podejścia.

- Ale ja wiele nie potrzebuję. - Odstawiła pojemnik na półkę, po czym obejrzała krzesło z wysokim zapiekiem. - Tylko tyle, żeby starczyło na rachunki, na uzupełnienie towarów w sklepie i na życie. - Obróciwszy krzesło do góry



nogami, popatrzyła na zniszczone siedzisko. - Gdybym miała dużo pieniędzy, nawet nie wiedziałabym, co z nimi robić.

- Mogłabyś je wydawać - stwierdził ironicznie. - Na ciuchy, futra...

Zaskoczona podniosła głowę; przekonawszy się, że Vance nie żartuje, wybuchnęła śmiechem.

- Na futra? To dopiero byłby widok! Shane Abbott w futrze z nerek idzie do sklepu spożywczego po butelkę mleka. Och, Vance, jesteś niemożliwy !

- Nie spotkałem dotąd kobiety, która nie lubiłaby nerek.

- W takim razie obracałeś się w niewłaściwym towarzystwie - odparła lekkim tonem, odwracając krzesło. - Hm, znam faceta w Boonsboro, który reperuje takie rzeczy. Muszę do niego zadzwonić. Nawet gdybym miała mnóstwo wolnego czasu, z tą plecionką na siedzisku sobie nie poradzę.

- Jaka ty naprawdę jesteś, Shane?

Wróciła myślami do rzeczywistości. W oczach Vance'a dojrzała wyraz niedowierzania. Westchnęła głęboko.

- Powiedz, Vance, dlaczego wszędzie doszukujesz się drugiego dna?

- Bo nic nie jest tak proste, jak się wydaje.

Potrząsnęła głową.

- Mylisz się. Ja nikogo nie udaję. Jestem taka, jaką widzisz.

- Nie mów mi, że gotowa jesteś z uśmiechem na twarzy harować dwanaście godzin dziennie za marne parę groszy. Że nie zależy ci na pieniądzach... Że ta codzienna orka...

- Orka? Przesadzasz.

- Wcale nie. Obserwuję cię od dłuższego czasu. Widzę, jak przesuwasz meble, taszczysz pudła, szorujesz na kłęczkach podłogi. - Ogarnęła go złość. Jest zbyt krucha, zbyt drobna, aby tak ciężko pracować. To, że się wtrąca do jej życia, że chce, by się oszczędzała, rozżłościło go jeszcze bardziej. - Psiakrew, Shane. Za dużo wzięłaś sobie na głowę.

- Znam siebie i wiem, na co mnie stać - warknęła gniewnie. - Nie jestem dzieckiem.

- Nie, nie jesteś dzieckiem. Jesteś kobietą, która nie marzy o futrach i bogactwach, jakie mogłaby mieć, gdyby wszystko właściwie rozegrała. - Z jego

słów przebijała gorycz.

Odwróciwszy się tyłem, Shane starała się powstrzymać wybuch gniewu.

- Uważasz, że każdy w coś gra? Że oszukuje, manipuluje innymi?

- Tak. Lecz niektórzy robią to lepiej niż inni.

- Żal mi ciebie - rzekła, zdobywając się na lekki ton. - Naprawdę.

- Dlaczego? Bo wiem, że chęć polepszenia własnego bytu jest tym, co motywuje ludzi do działania? Tylko głupiec zadowala się minimum.

- Naprawdę w to wierzysz?

- A ty nie?

- Coś ci opowiem. Może ta historia wyda ci się nudna i sentymentalna, ale trudno. Po prostu mnie wysłuchaj.

Wsunąwszy ręce do kieszeni, przez chwilę w milczeniu chodziła tam i z powrotem po piwnicy. Dopiero gdy się uspokoiła, gdy nabrała pewności, że głos się jej nie załame, przystanęła.

- Widzisz te przetwory? - Wskazała półkę wypełnioną po brzegi słoikami. - Robiła je moja babka, a raczej prababka. Na czarną godzinę. Całe życie sadziła warzywa i owoce, podlewała je, potem zbierała i godzinami smażyła w dusznej, parnej kuchni. Na czarną godzinę - powtórzyła cicho Shane, spoglądając na barwne szklane słoje. - Kiedy miała szesnaście lat, mieszkała w okazałej rezydencji na południu Marylandu, w Leonardtown. Jej rodzina żyła w dostatku. Bristolowie... nadal są bardzo bogaci. Może ich nazwisko obilo ci się o uszy?

Owszem, obilo się. W oczach Vance'a odmalowało się zdziwienie. Należące do Bristolów ekskluzywne domy towarowe można było spotkać we wszystkich większych miastach Stanów. Firma Vance'a właśnie miała zbudować kolejny w Chicago.

- Wracając do mojej historii... Babcia była młodą, śliczną dziewczyną, której nigdy niczego nie brakowało. Szkołę średnią skończyła w Europie. Potem miał być kilkumiesięczny kurs dla panien z dobrych domów w Paryżu, następnie bal debiutancki w Londynie. Tak planowała jej rodzina. Gdyby babcia okazała się posłuszną córką, wyszłaby bogato za mąż i zamieszkała we wspaniałej willi, o którą dbałaby liczna służba. Do ogrodu wychodziłaby posiedzieć lub popatrzeć, jak ogrodnik przycina krzew róży.

Shane roześmiała się i pokręciła głową, jakby sama ta myśl wydała się jej absurdalna.

- Babcia jednak zakochała się w Williamie Abbotcie, pomocniku kamieniarza, którego zatrudniono do jakichś prac na terenie posiadłości. Oczywiście rodzina sprzeciwiła się ich związkowi. Ojciec z matką chcieli wydać córkę za spadkobiercę huty stali. Kiedy dowiedzieli się o romansie swojej jedynaczki z Abbottem, natychmiast wyrzucili dziadka z pracy. W każdym razie babcia, wbrew woli rodziców, poślubiła Williama. Rodzice ją wydziedziczyli.

Vance milczał, Shane zaś patrzyła na niego butnie, niemal jakby rzucała mu wyzwanie.

- Przenieśli się tutaj, w rodzinne strony dziadka - kontynuowała po chwili. - Zamieszkali razem z teściami, bo nie mieli pieniędzy na własny dom. Kiedy umarł ojciec dziadka, dziadek z babcią zaopiekowali się jego mamą. Babcia nigdy nie żałowała swojej decyzji, nie tęskniła za dawnym luksusem. Miała takie małe ręce. Małe, lecz niesamowicie silne... - Shane zamyśliła się. - W porównaniu z życiem, które wiodła wcześniej, teraz żyła w biedzie. Oboje z dziadkiem uprawiali ziemię. Część tego, co teraz należy do ciebie, dawniej należało do nich, ale podatki i brak rąk do pracy...

Zdjęła z półki słoik, obróciła go w dłoni, po czym odstawiła na miejsce.

- Jedyną pamiątką po dawnym życiu jest komplet hepplewhite'a w jadalni oraz kilka porcelanowych naczyń, które babcia dostała w spadku po śmierci swojej mamy. Babcia urodziła pięcioro dzieci. Dwoje zmarło w dzieciństwie, trzecie na wojnie. Jedna córka przeprowadziła się do Oklahomy i zmarła bezpotomnie jakieś czterdzieści lat temu. Najmłodszy syn zamieszkał w pobliżu, ożenił się. Zginął w wypadku, razem z żoną, kiedy ich córka miała pięć lat.

Przez moment wpatrywała się w małe okienko pod sufitem; wpadał przez nie promień światła, który tworzył na betonowej podłodze coś w rodzaju świetlistej kałuży.

- Trudno sobie wyobrazić, co czuje matka, która kolejno traci wszystkie dzieci. - Westchnąwszy ciężko, Shane zaczęła krążyć po pomieszczeniu. - Babcia wzięła na wychowanie małą Anne. Bardzo ją kochała. Pewnie przelewała na nią miłość, której nie mogła ofiarować swoim własnym dzieciom. Moja mama była

wyjatkowo ładną dziewczynką, mam na górze jej zdjęcia... ale wyrosła na osobę wieszcznie ze wszystkiego niezadowoloną. Opowiadali mi o niej ludzie z miasteczka, chociaż z babcią też raz czy dwa rozmawiałam o mamie. Anne nie znosiła biedy, nienawidziła prowincji. Marzyła o tym, żeby zostać aktorką. Kiedy miała siedemnaście lat, zaszła w ciążę.

Głos Shane zmienił się. Stał się płaski, bezbarwny, pozbawiony emocji.

- Nie wiedziała, lub nie chciała się przyznać, kto jest ojcem dziecka. Kiedy się urodziłam, ruszyła w świat, zostawiając mnie ze swoją babką. Od czasu do czasu wracała, spędzała z nami kilka dni, wyciągała od babci pieniądze. Do tej pory miała chyba już ze trzech mężów. Futra też ma, ale jakoś jej szczęścia nie dają. Wciąż jest piękna, wciąż samolubna, wciąż niezadowolona.

Po raz pierwszy, odkąd rozpoczęła opowieść, popatrzyła Vance'owi prosto w oczy.

- Babcia wszystko poświęciła dla miłości. Mówiła po francusku, czytała Szekspira, pielęła grządki i była szczęśliwa. Natomiast obserwując mamę, nauczyłam się jednego: że rzeczy materialne są nieważne. Człowiek ciągle pragnie ich więcej; zajęty zdobywaniem, nie potrafi się nimi cieszyć. Moja mama stale czegoś szukała, bez przerwy grała, ale te jej gry sprawiały ból tym, którzy ją kochali. Mnie żadne gry nie interesują. Nie mam na nie czasu ani ochoty.

Ruszyła w stronę schodów. Vance zagroził jej drogę. Uniosła głowę. Oczy lśniły jej od łez.

- Powinnaś była powiedzieć mi, żebym poszedł do diabła.

- Idź do diabła - rzekła, usiłując go obejść.

Chwycił ją za ramiona i przytrzymał.

- Jesteś zła na mnie czy na siebie za to, że opowiedziałas mi swoją historię?

Wzięła głęboki oddech.

- Na ciebie - odparła. - Bo jesteś cynikiem. Nie rozumiem takich ludzi.

- A ja nie rozumiem idealistów.

- Nie jestem idealistką - zaoponowała. - Po prostu nie zakładam z góry, że każdy, kogo spotkam, będzie chciał mnie wykorzystać. Wydaje mi się - dodała cicho - że więcej się traci, będąc podejrzliwym, niż ryzykuje, obdarzając innych zaufaniem.

- A kiedy ktoś zawodzi nasze zaufanie?

- Zdarza się. Ale nie można stać się ofiarą. Nie można obrażać się na cały świat.

Vance zamyślił się. Czy jest ofiarą? Czy pozwala, by dwa lata po śmierci Amelia nadal zatruwała mu życie? Jak długo będzie oglądał się przez ramię, spodziewając się kolejnego ciosu, kolejnej zdrady?

Shane poczuła, jak ucisk jego palców się zmniejsza. Na twarzy Vance'a ujrziała wyraz bólu i zadumy. Położyła dłoń na jego ramieniu.

- Ktoś cię skrzywdził?

- Zawiódł.

- To boli najbardziej - powiedziała smutno. - Kiedy ktoś, kogo kochasz, okaże się nieuczciwy, trudno się z tym pogodzić. Ja... - Ujęła go za rękę. - Chodź, wezmę cię na przejażdżkę.

- Na przejażdżkę? - Przez moment nie wiedział, o czym Shane mówi.

- Tak. Ślęczymy tu od dobrych kilku tygodni. - Pociągnęła go w stronę schodów. - A jest taka ładna pogoda... - Zamknęła drzwi piwnicy. - Założę się, że nie zwiedziłeś jeszcze miejsca słynnej bitwy, przynajmniej nie z doświadczonym przewodnikiem?

- A ty jesteś takim właśnie przewodnikiem? - spytał z uśmiechem.

- Najlepszym, jakiego można sobie wymarzyć - odparła bez fałszywej skromności. Poczowała, jak Vance'a opuszcza napięcie. - Znam każdy szczegół bitwy.

- No dobra, bylebyś mi później nie zrobiła klasówki.

- E tam, już nie robię klasówek. Jestem na emeryturze.

- Bitwa nad Antietam - zaczęła Shane, prowadząc samochód wąską drogą pośród gór - chociaż uznana za nierozstrzygniętą, była pierwszą próbą inwazji terenów Unii.

Słyszając nieco mentorski ton, Vance uśmiechnął się pod nosem, ale nic nie powiedział.

- Siedemnastego września 1862 roku armie generała Lee i generała McClellana stoczyły pod Sharpsburgiem nad potokiem Antietam najbardziej krwawą bitwę w całej wojnie secesyjnej. - Wskazała mały biały budynek. -

Właśnie tam poległo najwięcej żołnierzy.

Vance obejrzał się przez ramię.

- No proszę, a teraz wszystko wygląda tak cicho i spokojnie.

- Lee podzielił swoje oddziały - ciągnęła Shane. - Wysłał Jacksona, aby zdobył Harper's Ferry. Żołnierz z Unii przechwycił rozkazy generała Lee. To dało McClellanowi przewagę, której mimo znacznie liczniejszych sił jednak nie wykorzystał. Zanim jego ludzie zdolali przebić się przez linię wroga, Jackson wrócił z posiłkami. Lee stracił jedną czwartą swoich żołnierzy i wycofał się do Wirginii. W sumie w bitwie zginęło ponad dwadzieścia sześć tysięcy żołnierzy.

- Jak na emerytowaną nauczycielkę wciąż wszystko świetnie pamiętasz - zauważył Vance.

Roześmiała się, pokonując ostry zakręt.

- Moi przodkowie tu walczyli. Dlatego babcia nie pozwalała mi o niczym zapomnieć.

- Serio? Walczyli? Po której stronie?

- Po obu. - Wzruszyła ramionami. - To było najgorsze. Dokonywanie wyboru, opowiadanie się po jednej ze stron. Tu przebiegała granica. Niektórzy popierali Unię, inni Konfederację Południa. - Zatrzymała samochód na niedużym parkingu przy drodze. - Chodź, przejdziemy się. To bardzo piękna okolica.

Wokół rozciągały się góry oświetlone złocistymi promieniami zachodzącego słońca. Podmuch wiatru poderwał z ziemi kilka czerwonych liści. Powietrze było rześkie.

- Krwawa Polana - oznajmiła Shane, wskazując przed siebie. - To tu się starli. Jedni atakowali z północy, drudzy z południa. Artylerię ustawiono tu... i tam. - Wyciągnęła rękę w bok. - Oczywiście walki toczyły się wszędzie, przy moście, za kościołem...

- Fascynuje cię temat wojny, prawda? - Vance przyjrzał się jej z zaciekawieniem.

- Tak. Jest to jedyny okres w historii, kiedy nie potępia się zabijania, lecz je gloryfikuje. Ludzie stają się liczbami, statystyką. Następuje pełne odarcie ludzi z człowieczeństwa. - Zamyśliła się. - Czy to nie dziwne, że kiedy w czasie pokoju człowiek zabija człowieka, zwykle trafia na wiele lat do więzienia, a podczas wojny

im więcej ludzi uśmierci, tym większa jego chwała? Znaczna część tamtych żołnierzy to byli prości wieśniacy, chłopcy urodzeni i wychowani na prowincji - ciągnęła, nie dopuszczając Vance'a do głosu - którzy wcześniej strzelali co najwyżej do łasic wykradających jaja z kurnika. Nagle tych chłopców ubrano w mundury, szare lub niebieskie, i posłano na wojnę. To były jeszcze dzieci! - Zaprzątnięta własnymi myślami, nie zauważyła, jak bacznie Vance się jej przygląda. - Czy szesnastolatek z Pensylwanii, który pędził przez tę polanę, żeby zabić swego rówieśnika z Georgii, wiedział, co robi? Czy może traktował to wszystko jak przygodę? Ilu z nich, tych chłopców, wyruszając z domu, chciało zabijać, a ilu siedzieć przy ognisku, pić, palić, udawać dorosłych?

- Podejrzewam, że większość - przyznał Vance, poruszony obrazem, jaki Shane namalowała. - Niestety...

- Wojna zmienia ludzi, pozbawia marzeń i złudzeń. Ci, którzy przeżyli, którzy wrócili do domu, stali się zgorzkniali...

- Tego właśnie nie rozumiem, Shane. Skoro nienawidzisz przemocy, dlaczego zainteresowałaś się historią?

- Dlaczego? Z powodu ludzi, ofiar tej wojny. Z powodu chłopca, który walczył tu ponad sto dwadzieścia lat temu. Miał siedemnaście lat. - Wbiła wzrok w polanę, jakby widziała na niej postać, o której mówiła. - Znał smak whisky, ale jeszcze nie miał kobiety. Gnał przez polanę niesiony dumą i strachem. Walenie serca zagłuszał huk dział. Zabił jednego anonimowego wroga, drugiego. Nawet nie zapamiętał jego twarzy. A po bitwie, po wojnie, wrócił do domu; już nie był chłopcem, lecz mężczyzną, starym, zmęczonym, marzącym o spokojnym życiu.

- I co się z nim stało?

- Poślubił ukochaną z dzieciństwa, dochował się dziesięciorga dzieci oraz tabunów wnucząt, którym opowiadał o tym, jak w 1862 roku walczył na Krwawej Polanie.

Otoczył ją ramieniem.

- Na pewno byłaś świetną nauczycielką.

- Raczej świetną gawędziarką - sprostowała.

- Chyba nie doceniasz swoich możliwości.

- Och, nie. Znam swoje wady i zalety; potrafię trzeźwo na siebie spojrzeć.

Ale basta, koniec wymądrzania się. Wejdźmy na wieżę; widok stamtąd jest niesamowity.

Ruszyła biegiem, ciągnąc Vance'a za rękę. Po chwili zaczęli wspinać się po wąskich, żelaznych stopniach.

- Uwielbiam tu przychodzić - powiedziała, nie przejmując się niezadowolonymi z ich wizyty gołębiami, które poderwały się do lotu, po czym wsparta o kamienny mur, wychyliła się, pozwalając, by wiatr targał jej włosy. - Spójrz na te bajeczne kolory! - Odsunęła się na bok, robiąc Vance'owi miejsce. - Widzisz? To nasza góra.

Nasza góra. Uśmiechnął się, kierując wzrok we wskazanym kierunku. Powiedziała to tak, jakby góra należała wyłącznie do nich. Gdzieniedzie majaczyły domy, stodoły. W panującą wokół ciszę wdarł się szum przejeżdżającego drogą samochodu oraz głośny skrzek kruków, które leciały nad polem kukurydzy. Po chwili świat znów pogrążył się w ciszy.

Raptem, niecałe dziesięć metrów od miejsca, gdzie Shane zostawiła samochód, Vance dojrzał jelenia; stał nieruchomo jak posąg, z dumnie uniesionym łbem i nastawionymi uszami.

W milczeniu wskazał go Shane. Trzymając się za rękę, obserwowali z góry zwierzę. W tym momencie Vance uświadomił sobie, że Shane miała rację, nazywając go ofiarą. Łatwiej jest żyć do wszystkich urazę, niż wybaczyć, zapomnieć i dalej cieszyć się życiem.

Jeleń drgnął; pobiegł po trawiastym wzgórzu, przeskoczył niski, kamienny murek i po chwili znikł z pola widzenia. Shane westchnęła cicho.

- Nie mogę się do nich przyzwyczaić - szepnęła. - Ilekroć jakiegoś widzę, patrzę jak urzeczona.

Obróciła się twarzą do Vance'a. W tym otoczeniu, pośród gór, w zachodzącym słońcu, przy akompaniamencie gruchania gołębia za plecami, pocałunek wydał mu się najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

Objął ją i przytulił mocno, jakby bojąc się, że ona też może nagle zniknąć. Czy potrafiłby się jeszcze raz zakochać? Zdobyć serce kobiety, która zna go od najgorszej strony? Która nie ma pojęcia o jego prawdziwym statusie społecznym i materialnym? Zamknąwszy oczy, przycisnął policzek do jej włosów. Może



powinien zaryzykować i wyznać jej wszystko? Ale wtedy nie miałby pewności, czy Shane zależy na nim, czy na jego pozycji i pieniądzach. A chciał być kochany jako mężczyzna, nie zaś jako właściciel ogromnej fortuny. Zawahał się. Nie umiał podjąć decyzji. Ten fakt wstrząsnął nim do głębi. Przecież od lat rządził firmą wartą miliony dolarów. A teraz czuł się niepewny i bezradny, bo trzymał w ramionach drobną, szczupłą kobietę, której włosy laskotały go w brodę...

- Shane... - Odchylił głowę.

- Ojej! - Roześmiawszy się, pocałowała go w usta, bardziej jak przyjaciółka niż kochanka. - Masz taką poważną minę!

- Zjedźmy razem kolację.

Odgarnęła za ucho potargane przez wiatr włosy.

- Dobrze. Jak wrócimy, zaraz coś przyrządzę.

- Nie. Chciałbym cię zaprosić do restauracji.

- Do restauracji? - spytała, myśląc o wysokich cenach potraw.

- Nie musi to być żaden wytworny lokal - rzekł szybko, pewien, że Shane chodzi o brak odpowiedniego stroju. - Sama powiedziałaś, że od dłuższego czasu skupiamy się wyłącznie na pracy. - Poglądził jej policzek. - No, zgódź się.

- Dobrze. Znam sympatyczną knajpkę tuż przy granicy z Wirginią Zachodnią.

Wybrała małą, położoną na uboczu restauracyjkę, ponieważ lokal był niedrogi. A także dlatego, że miała związane z nim wspomnienia: przed laty, po maturze, pracowała tam przez dwa lub trzy miesiące, by zarobić trochę na studia.

Kiedy usiedli przy stoliczku, na którym migotała świeczka, posłała Vance'owi szeroki uśmiech.

- Wiedziałałam, że ci się tu spodoba.

Popatrzył na kiczowate malowidła na ścianach oprawione w plastikowe ramy. W powietrzu unosił się zapach smażonej cebuli.

- Następnym razem ja wybiorę miejsce.

- Podawali tu kiedyś świetne spaghetti. To była specjalność czwartkowa.

Można było...

- Dziś nie jest czwartek - stwierdził Vance, otwierając kartę dań. - Kieliszek wina?

- Pewnie mają... - Uśmiechnęła się. - Albo w sąsiednim sklepiku moglibyśmy kupić całą butelkę za niecałe trzy dolary.

- Dobry rocznik?

- Och, myślę, że to wino świeżutkie. Z zeszłego tygodnia.

- W porządku, zaryzykujemy tutejsze. - Postanowił, że następnym razem zabierze Shane gdzieś, gdzie można wypić szampana.

- Ja zamówię chili...

- Chili? - Marszcząc czoło, zerknął do karty. - Potrafią je przyrządzać?

- Och, nie!

- Więc dlaczego... - Urwał, gdy uniósłszy wzrok, zobaczył Shane z twarzą ukrytą za kartą dań. - Shane, co się dzieje?

- Przed chwilą tu weszli - syknęła, starając się dyskretnie wyjrzeć zza menu.

Kiedy zaintrygowany zerknął przez ramię, zobaczył Cyrusa Trainera w towarzystwie szczupłej brunetki ubranej w nudny beżowy kostium oraz buty na wygodnym słupku. Ręka kobiety spoczywała na ramieniu Cyrusa.

- Słuchaj... - Odwrócił się ponownie w stronę Shane, która wciąż zasłaniała twarz. - Wiem, że niełatwo ci na to patrzeć, ale od czasu do czasu będziesz na niego wpadać. - Słyszac stłumiony dźwięk dolatujący zza plastikowej karty, instynktownie ujął dłoń swej towarzyszki. - Możemy pójść gdzie indziej, ale nie zdołamy się wymknąć niepostrzeżenie.

- To Laurie MacAfee! - Ścisnęła go za rękę.

Odwzajemnił uścisk. Był wściekły, że Shane nadal darzy uczuciem mężczyznę, który ją skrzywdził.

- Bądź silna. Nie pozwól mu zobaczyć cię w takim stanie...

- Masz rację. Boże, jakie to trudne!

Ostrożnie odsunęła kartę na bok. Ku swemu zdumieniu Vance ujrzał jej twarz wykrzywioną śmiechem, nie płaczem.

- Jak tylko nas zobaczy - szepnęła - natychmiast podejdzie się przywitać.

- A to ci sprawi prawdziwy ból.

- A żebyś wiedział! Bo chcę, żebyś kopnął mnie pod stołem, jak tylko zacznę się śmiać.

- Z przyjemnością.

- Laurie ustawiała lalki według wzrostu i naszywała im na ubrania metki z imionami - poinformowała Vance'a, starając się zachować powagę.

- To wszystko tłumaczy.

- Dobra. Odkładam kartę na stół. - Przełknęła ślinę. - Zachowujmy się, jakby nigdy nic.

- Jasne.

- Chili? - spytała, patrząc mu w twarz. - Tak, jest doskonale. Chyba je zamówię.

- Masz nie po kolei w głowie.

- Absolutnie. - Podniosła do ust szklanekę z wodą. Kątem oka spostrzegła Cyrusa i Laurie, którzy zbliżali się do ich stolika.

- Shane, co za miła niespodzianka...

Unosząc głowę, zrobiła zdziwioną minę.

- Cześć, Cy. Cześć, Laurie. Co u ciebie? Wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję.

Jest bardzo ładna, przemknęło Shane przez myśl. Mimo zbyt blisko osadzonych oczu.

- Vance... - zwróciła się do swojego towarzysza. - Przedstawiam ci Cyrusa Trainera i Laurie MacAfee, moich starych szkolnych przyjaciół. Cy, Laurie... poznajcie Vance'a Banninga, mojego sąsiada.

- Ach, tak, to pan kupił dom starego Farleya. - Cyrus wyciągnął rękę. - Podobno go pan remontuje?

- Owszem. - Vance przyjrzał się uważnie twarzy człowieka, który porzucił Shane tuż przed ślubem.

- I to pan pomaga Shane przerobić jej dom na muzeum i sklep? - dodała Laurie, patrząc na robocze ubranie Vance'a. Po chwili przeniosła wzrok na luźny, rozciągnięty sweter Shane. - Muszę przyznać, że byłam lekko zszokowana, kiedy Cy powiedział mi, co zamierzasz.

Widząc, jak Shane drżą usta, Vance nadepnął jej butem na nogę.

- Naprawdę? - Shane ponownie sięgnęła po wodę. Z trudem powstrzymywała śmiech. - No cóż, zawsze lubiłam szokować.

- Jakoś nie umiemy sobie wyobrazić ciebie prowadzącej własny biznes,

prawda, Cy? Oczywiście - ciągnęła Laurie, nie dając Cyrusowi szansy odpowiedzieć - życzymy ci jak najlepiej. I obiecuję, że wpadniemy coś u ciebie kupić. Na dobry początek.

Shane przyłożyła rękę do brzucha, Vance zaś zwiększył nacisk na jej nogę.

- Dzięki, Laurie. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

- Czego się nie robi dla przyjaciół, prawda, Cy? Mamy nadzieję, że odniesiesz sukces. Będę wszystkich informować o twoim sklepiku. Może uda mi się napędzić ci klientów, ale oczywiście nie mogę ręczyć, czy coś kupią.

- To zrozumiałe.

- No, musimy lecieć. Chcemy zamówić kolację, zanim zrobi się tłok. Miło mi było pana poznać. - Uśmiechnąwszy się do Vance'a, ruszyła z Cyrusem na drugi koniec sali.

- Boże, myślałam, że nie wytrzymam! - Shane opróżniła szklankę do dna.

- Twój eks ma to, na co zasłużył - stwierdził Vance. - Panna Laurie wszystkim będzie dyrygować, nawet liczbą ich orgazmów. - Popatrzył z zadumą za oddalającą się parę. - Myślisz, że już zaczęła? Że sypiają ze sobą?

- Och, przestań! - Shane przygryzła wargę. - Bo dostanę ataku śmiechu!

- Sądziś, że to ona wybrała mu krawat? - kontynuował Vance.

Shane parsknęła śmiechem.

- Och, ty draniu! - szepnęła, kiedy Laurie obejrzała się przez ramię. - Tak dobrze mi szło...

- Chcesz im dostarczyć tematu do plotek?

Nie czekając na odpowiedź, pochylił się i pocałował ją namiętnie w usta. Na wszelki wypadek, by mu zbyt wcześnie nie uciekła, ujął w palce jej brodę. Usłyszał cichy jęk niezadowolenia. Nie przejął się nim. Po chwili cofnęła dłoń, którą zamierzała go odepchnąć, i przymknęła oczy.

- Hm - mruknęła, kiedy usiadł z powrotem. - Jutro cały Sharpsburg będzie wiedział, że jesteśmy kochankami.

- Naprawdę? - Podniósł jej rękę do ust i całował kolejno palce.

- Tak. - Oddech miała przyspieszony. - A nie wiem, czy... - Urwała, nie potrafiąc wydobyć z siebie słowa.

- Czy co? - spytał.

- Czy... czy to mądre - odparła, zapominając o restauracji i byłym narzeczonym.

- Czy co mądre? To, że możemy być kochankami, czy to, że cały Sharpsburg będzie o tym mówił?

Przebiegł ją dreszcz podniecenia. Nie bała się mrukliwego, targanego złością mężczyzny, którego zatrudniła do prac remontowych, czuła jednak lęk przed mężczyzną, który delikatnie pieścił jej dłoń.

- Hm, nie wiem. Muszę to sobie przemyśleć - oznajmiła cicho.

- Dobrze, zrób to.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

W pierwszym tygodniu grudnia Shane otworzyła sklep z antykami i muzeum poświęcone wojnie secesyjnej. Tak jak się spodziewała, w ciągu pierwszych dni panował ożywiony ruch, ale klientelę głównie stanowili ludzie, których znała. Jedni przychodzili z ciekawości i z dobrego serca, by obejrzeć eksponaty i kupić jakiś drobiazg. Inni chcieli się przekonać, co tym razem wymyśliła „ta mała Abbottówna”. Shane bawiło, że rozprawiają o jej dawnych grzeszkach tak, jakby miały miejsce wczoraj. Parę razy słyszała, jak ktoś szeptem wymawia imię jej byłego narzeczonego. Później strumień gości nieco zmalął, ale muzeum i sklep nie świeciły pustkami. W sumie była całkiem usatysfakcjonowana.

Zgodnie z obietnicą zatrudniła na kilka godzin dziennie siostrę Donny, miłą, uczynną dziewczynę gotową pracować w weekendy, która już następnego dnia dokonała pierwszej większej sprzedaży. Pat okazała się inteligentna; szybko przyswoiła informacje na temat sprzedawanych artykułów i potrafiła udzielać klientom wyczerpujących odpowiedzi.

Shane nie miała chwili wytchnienia: nadzorowała remont domu na piętrze, prowadziła muzeum i sklep, studiowała uważnie ogłoszenia o wyprzedażach, jeździła na aukcje. Trudno jej było rozstawać się z rzeczami należącymi do babci, ale ilekroć ktoś nabywał sekretarzyk lub lichtarz, tłumaczyła sobie, że przecież prowadzi interes. Handluje starociami. Musi zdobywać pieniądze na zapłacenie rachunków, które gromadziły się na jej biurku.

Vance'a widywała niemal codziennie. Nie był już tak chłodny i oschły jak na początku, ale nie był też tak czuły i romantyczny, jak tamtego wieczoru w restauracji. Shane uznała, że rolę romantycznego kochanka odegrał na użytek Cyrusa. Nie przeszkadzało jej to. Prawdę mówiąc, wolała go takim, jakim był teraz. Gdyby nadal obsypywał ją pocałunkami, pewnie zrobiłaby z siebie idiotkę.

Kochała go coraz bardziej. I codziennie nabierała coraz większej pewności, że są dla siebie stworzeni. To tylko kwestia czasu, przekonywała się w myślach, zanim on to sobie również uświadomi.

Późnym popołudniem, zarumieniona z zimna, szła po świeżo zbudowanych

schodach od frontu, taszcząc swój najnowszy nabytek. Powoli uczyła się sztuki targowania. Zadowolona z siebie, pchnęła biodrem drzwi.

- Zobacz, co zdobyłam! - zawołała do Pat, stawiając na podłodze stół. - To sheridan, w dodatku bez najmniejszego zadrapania czy rysy.

Pat przerwała mycie szyby w gablocie.

- Shane, miałaś zrobić sobie wolne popołudnie. Musisz trochę odpocząć - zauważyła lekko zniecierpliwionym tonem. - Przecież po to mnie zatrudniłaś.

- Wiem. - Shane wzruszyła ramionami. - W samochodzie jest jeszcze zegar szafkowy oraz komplet kryształowych solniczek.

- Czy ty się nigdy nie poddajesz? - Wzdychając ciężko, Pat weszła za swą szefową do sklepu.

- Co? - Ustawiwszy stół koło stylowego krzesła, Shane odeszła parę kroków, by mu się przyjrzeć. - Hm, może lepiej będzie wyglądał w drugim pokoju pod oknem? Zresztą najpierw muszę go wypolerować. - Chwyła z półki pastę do drewna. - Jak dziś interesy?

- Daj. - Pat, zrezygnowana, pokręciła głową, po czym wyjęła z ręki Shane pastę i szmatkę. - W muzeum było siedmioro zwiedzających - oznajmiła, pocierając szmatką blat. - Sprzedałam kilka pocztówek oraz rysunek naszego słynnego mostu. A jakaś kobieta z Hagerstown kupiła ten mały stolik, który stał pod ścianą.

Shane zbladła.

- Ten okrągły palisandrowy?

Stolik ten należał do ulubionych mebli babci.

- Tak. Interesowała się też fotelem bujanym. - Pat odgarnęła włosy z twarzy. - Podejrzewam, że wróci po niego.

- To dobrze - mruknęła Shane, bezskutecznie starając się nadać swemu głosowi entuzjastyczne brzmienie.

- Z kolei inna klientka pytała o wuja Festusa.

Na myśl o portrecie srogiego wiktoriańskiego dżentelmena, któremu nie była w stanie się oprzeć, Shane uśmiechnęła się. Kupiła obraz, bo wydał się jej zabawny, ale właściwie nie liczyła na to, że kiedykolwiek zdoła go sprzedać.

- Żał mi będzie się z nim rozstać.

- Mnie nie - rzekła odważnie Pat, gdy Shane ruszyła do drzwi po resztę nabytków. - Och, byłabym zapomniała! Nie uprzedziłaś mnie, że sprzedawałaś ten komplet mebli...

- Jaki? - Shane przystanąła z ręką na klamce.

- Ten do jadalni. Hepplewhite'a - dodała Pat, dumna z siebie, że zapamiętała nazwę. - O mało nie sprzedawałam go po raz drugi.

- Po raz drugi? - Shane puściła klamkę i obróciła się twarzą do dziewczyny.  
- O czym ty, na Boga, mówisz?

- Kilka godzin temu była tu para, która chciała go kupić. W prezencie ślubnym dla córki. Muszą być strasznie bogaci, bo na przyjęciu weselnym, które urządzają w jakimś klubie w Baltimore, ma być orkiestra... - Dziewczyna rozmarzyła się. - W każdym razie - kontynuowała po chwili - prawie finalizowałam sprzedaż, kiedy Vance zszedł na dół i wyjaśnił, że komplet został wcześniej sprzedany.

- Vance? Tak powiedział? - Shane zmrużyła oczy.

- Tak - odparła Pat, zdziwiona tonem swej pracodawczyni. - Całe szczęście, że pojawił się w odpowiednim momencie. Bo ci państwo już gotowi byli płacić i zamawiać transport. Trzeba by było wszystko odkręcać...

Shane mruknęła coś niewyraźnie przez zęby, po czym energicznym krokiem skierowała się na zaplecze.

- Shane? Co się stało? - Pat, zdezorientowana, podreptała za nią. - Dokąd idziesz?

- Wyjaśnić pewną sprawę. Wyjmij resztę rzeczy z samochodu, dobrze? - poprosiła, nie zwalniając kroku. - A potem pozamykaj.

- Jasne. Ale... - Na odgłos zatraskiwanych drzwi dziewczyna umilkła, po czym wzruszywszy ramionami, posłusznie wyszła do samochodu.

- Trzeba by było wszystko odkręcać - burczała pod nosem Shane, rozdeptując zeschnięte liście. - Całe szczęście, że pojawił się w odpowiednim momencie... - Z wściekłością kopnęła leżącą na ziemi gałąź. - Sprzedany? Sprzedany!

Wystraszona wiewiórka czym prędzej przebiegła ścieżkę, umykając przed ziejącą furią postacią. Shane maszerowała, nie zważając na nic. Przez pozbawione



liści drzewa widziała dom Vance'a; z komina na dachu wznosiła się smuga dymu. Panującą wokół ciszę zakłócał dobiegający z za domu miarowy stukot.

Vance położył kloc na pieńku i zamachnął się siekierą. Na ziemię spadły dwie rozłupane połówki. Położył na pieńku kolejny kloc.

- Hej, ty! - Shane przystanąła z rękami na biodrach.

Zawahawszy się, Vance zerknął przez ramię. Zobaczył płonące z gniewu oczy Shane, jej zaczerwienione policzki i pomyślał sobie, że właśnie kiedy jest wściekła, najbardziej mu się podoba. Po chwili ponownie zamachnął się siekierą. Wokół pieńka rósł stos polan.

- Cześć, Shane.

- Cześć, Shane? Tak po prostu? - Podeszła bliżej. - Cześć, Shane?

- Masz coś przeciwko takiemu powitaniu?

Schylił się, by przerąbać następny kloc, lecz Shane strąciła go z pieńka.

- Jakim prawem się wtrącasz? Przeszkodziłeś Pat w dokonaniu sprzedaży! Dużej sprzedaży! - dodała z furią. - Co ty sobie myślisz? Dlaczego wprowadzasz w błąd klientów? Dlaczego powiedziałeś im, że komplet jest sprzedany? Przecież nie jest. A nawet gdyby był, to nie twój zakichany interes!

Ze stoickim spokojem Vance podniósł z ziemi strąconą przez nią kłodę. Spodziewał się wizyty Shane i jej złości. Postąpił impulsywnie, ale nie żałował swojej decyzji. Dokładnie pamiętał wyraz smutku na jej twarzy, gdy pokazywała mu komplet mebli, które jej babcia tak kochała. Nie zamierzał stać z założonymi rękami i patrzeć, jak hepplewhite'a zabierają obcy ludzie.

- Nie chcesz ich sprzedawać. Tych mebli.

Jej oczy ciskały gromy.

- Nie twoja sprawa, co chcę, a czego nie chcę. Ten komplet muszę sprzedać. I sprzedam. Gdybyś się nie wtrącił, sprzedałabym go już dziś!

- A potem byś godzinami rozpaczała! Patrzyłabyś na czek i wylewała łzy. - Rozłupał kolejny kloc. - Żadne pieniądze nie są tego warte.

- Nie są? Tak myślisz? Nic o mnie nie wiesz! Nie wiesz, co czuję. Nie wiesz, czego chcę! A ja wiem. I wiem, że potrzebuję tych pieniędzy.

Zacisnął dłoń na palcu, który wpijał mu się w tors, przytrzymał go chwilę, potem puścił.

- Nie na tyle - rzekł cicho - aby pozbywać się czegoś, co ma dla ciebie wartość sentymentalną.

- Kierując się sentymentem, nie zapłacę rachunków. A na biurku mam ich dziesiątki.

- Więc sprzedaj coś innego. - Z jednej strony pragnął ją wziąć w ramiona, chronić i osłaniać, z drugiej koczyło go, aby porządnie nią potrząsnąć i nabić jej rozumu do głowy. - Masz pełno gratów.

- Gratów? - Poczula się tak, jakby wypowiedział jej wojnę. - Gratów? I kto to mówi? - Ponownie dźgnęła go w pierś. - Nie znasz się na antykach! Nie odróżniłbyś hepplewhite'a od... od deski do prasowania! Nie wtrącaj się do moich spraw, Vance! Baw się swoimi hebelkami i siekierkami, a mnie zostaw w spokoju!

- No dobra. Tego już za wiele! - Jednym szybkim ruchem przerzucił sobie Shane przez ramię.

- Puść, do jasnej cholery! - krzyknęła, usiłując mu się wyrwać. - Co ty sobie wyobrażasz? Dokąd mnie zabierasz?

- Do środka - oznajmił. - Mam tego dość.

Znieruchomiała.

- Słucham?

- Nie mam zamiaru się powtarzać.

- Oszalałeś!

Ponownie zaczęła się szamotać, okładać Vance'a pięściami. On, nie zważając na nic, otworzył drzwi kuchenne i wszedł do domu.

- Nigdzie z tobą nie pójde!

- Chcesz się założyć?

- Zapłacisz mi za to, Vance! - wydyszała, waląc go pięściami po plecach.

- Nie wątpię. - Skręcił na schody wiodące na piętro.

- Postaw mnie! W tej chwili!

Miał dosyć kopniaków, które mu wymierzała, toteż ściągnął jej z nóg buty.

- Nie daruję ci tego! - ostrzegła go gniewnie, gdy szedł w stronę sypialni. - Jeśli mnie natychmiast nie puścisz, wywalę cię z pracy!

Nagle z głośnym piskiem wylądowała na łóżku. Wściekła i wystraszona, poderwała się na kolana.

- Ty kretynie! - krzyknęła zdyszana. - Co ty sobie myślisz?  
- Już ci mówiłem. - Zdjął kurtkę i cisnął ją na krzesło.  
- Jeśli sądzisz, że możesz mnie przerzucić przez ramię jak wór kartofli i że to ci ujdzie płazem, to się mylisz! - Urwała, patrząc, jak Vance rozpina koszulę. - Przestań! Nie zmusisz mnie, żebym się z tobą kochała.

- Zaraz się przekonamy. - Ściągnął koszulę.  
- O nie! - Oburzona, wsparła ręce na biodrach. Zachwiała się. Miękki materac utrudniał zachowanie równowagi. - Natychmiast się ubierz!

Vance bez słowa rzucił koszulę na podłogę, po czym schylił się i zaczął zdejmować buty.

- Myślisz, że wystarczy mnie zwalić na łóżko? I że już będę twoja?  
- Poczekaj. Zobaczysz...

Jeden but spadł z łoskotem na podłogę, moment później drugi.

- Ty prostaku! Ty brutalu! - Cisnęła w niego poduszką. - Nie pozwoliłabym ci się dotknąć, nawet gdybyś... - Szukała jakichś ciętych, obraźliwych słów, ale nic oryginalnego nie przyszło jej do głowy. - Nawet gdybyś był ostatnim mężczyzną na świecie!

Przyglądając się jej, rozpiął klamrę u paska.

- Prosiłam, żebyś przestał. - Pogroziła mu palcem. - Nie żartuję. Niczego więcej nie zdejmuj. Vance! - krzyknęła ostrzegawczo, kiedy rozpiął guzik u spodni.  
- Mówię poważnie... - Czuła, że głos jej się załamuje. Vance znieruchomiał. Zmrużył oczy.

- Masz się natychmiast ubrać z powrotem! - Przycisnęła rękę do ust, usiłując powstrzymać śmiech. W jej oczach migotały iskierki.

- Można wiedzieć, co cię tak bawi?

- Nic, zupełnie nic. - Chichocząc, opadła na plecy. - Co ma mnie bawić? - Tarzając się po łóżku, biła pięściami w materac. - Jestem w sypialni faceta, który zdiera z siebie ubranie, a minę ma taką, jakby chciał mnie zamordować. To bardzo poważna sprawa! - Zakryła dłońmi usta. - O rety! - Z jej oczu popłynęły łzy. - Tak wygląda człowiek ogarnięty dziką żądzą?

W dwóch susach znalazł się na łóżku. Przysiadłszy obok Shane, oparł ręce po obu stronach jej głowy. Im bardziej starała się powściągnąć rozbawienie, tym

głośniej się śmiała.

- Cieszę się, że masz dobry humor - mruknął.

- Dobry? Bynajmniej. Jestem wściekła, ale... Ojej, to było takie romantyczne.

- Naprawdę? - Wyszczrzył zęby.

- Och, jeszcze pytasz! Porwałeś mnie, przeniosłeś mnie w inny świat. - Cały pokój dźwięczał jej śmiechem. - Jeszcze nigdy nie byłam tak podniecona.

- Tak mówisz?

Skinęła głową. Dosłownie pękała ze śmiechu. Vance wolno przysunął usta do jej policzka.

- No chyba z wyjątkiem tego, kiedy w drugiej klasie podstawówki Billy Huffman wepchnął mnie w krzaki głogu. To też było podniecające. Najwyraźniej tak rozpalam mężczyzn, że wstępuje w nich jakaś bestia...

- Najwyraźniej - zgodził się Vance, odgarniając jej włosy. Kiedy zacisnął wargi na jej ucho, chichot raptownie ustał. - We mnie wstąpiła już parę razy. I jeszcze wstąpi... - szepnął.

- Vance...

- Cii. Nie teraz.

- Muszę wracać... - powiedziała zdyszana, usiłując się podnieść.

Przytrzymał ją.

- Ciekawe, co cię jeszcze podnieca. Hm? Może to? - Pocałował ją we wgłębienie przy obojczyku.

- Nie, ja...

- Nie to? No dobrze, szukamy dalej. - Rozpiął guziki jej bluzki. - Może to?

Wygięła plecy w łuk. Pragnął jej od dawna; od dnia, kiedy jedli razem kolację, starał się utrzymać między nimi dystans. Nie chciał wywierać na niej presji. Teraz, gdy leżała w jego łóżku, chciał jak najdłużej się nią rozkoszować. Uniósł głowę i popatrzył jej w oczy. Przez chwilę oboje szukali odpowiedzi. Wreszcie Shane rozciągnęła w uśmiechu usta.

- Tak, to - szepnęła.

Nie spieszyli się. Po raz pierwszy w życiu bardziej pragnął dawać niż brać, bardziej sprawiać przyjemność niż ją czerpać. Powoli zaczął rozbierać Shane. Był

tak delikatny, że nawet nie zdawała sobie sprawy z walki, jaką z sobą toczy. Zapomniała o wietrze wiejącym na zewnątrz, o liściach szeleszczących na ziemi, o swoim sklepie z antykami. Liczyła się tylko terażniejszość, to, co się dzieje tu i teraz.

- Takie miękkie, takie piękne - szeptał Vance, wtulając twarz w jej ciało.

Ich oddechy stawały się coraz szybsze, ruchy coraz gwałtowniejsze, pieszczoty coraz bardziej namiętne. Świat wirował im przed oczami. Wreszcie razem wzniesli się na szczyt rozkoszy.

Nie był pewien, jak długo leżał bez ruchu. Może nawet się zdrzemnął. Kiedy wrócił myślami do rzeczywistości, trzymał Shane w objęciach. Jeszcze przez moment nie otwierał oczu; zastanawiał się, jak to możliwe, by jednocześnie czuć satysfakcję i niedosyt.

- Nie - mruknęła, kiedy chciał się odsunąć, bojąc się, że sprawia jej ból. - Jeszcze chwilkę.

- Możesz oddychać? - spytał ze śmiechem.

- Później pooddycham.

Wtulił się w nią ponownie.

- Mmm - zamruczał szczęśliwy, po czym uniósł głowę i pocałował dołeczki na policzkach Shane. - Czy wiesz, od kiedy cię pragnę?

- Od naszego pierwszego spotkania w sklepie. - Uśmiechnęła się, kiedy zdziwiony wytrzeszczył oczy. - Ja też to poczułam. Kiedy wszedłeś, miałam wrażenie, jakbym całe życie na ciebie czekała.

- Ogarnęła mnie wściekłość.

- A ja z tego wszystkiego wyszłam bez kawy.

Na moment ich usta złączyły się w pocałunku.

- Byłeś strasznie nieprzyjemny.

- Wiem. Chciałem się od ciebie uwolnić.

- Naprawdę myślałeś, że ci się uda? Biedaku! A ja cię tak omotałam!

- Kiedy kładłem się do łóżka i zamykałem powieki, natychmiast stawałaś mi przed oczami.

- Ojej - mruknęła współczująco.

- Przykro ci, że przez ciebie się nie wysypiałem?

- Przykro, a jednocześnie bardzo się cieszę - przyznała.

- Często o trzeciej w nocy miałem ochotę cię udusić.

- Tak? - Połaskotała go rzesami. - Pocałuj mnie...

Nie musiała powtarzać swej prośby.

- Tego dnia, kiedy siedziałaś w błocie, zanosząc się śmiechem, pragnąłem cię do bólu. Od tygodni nie jestem w stanie myśleć o niczym innym.

Ponownie zmiądzzył jej usta w pocałunku. Kiedy wreszcie oderwał wargi, by zaczerpnąć powietrza, pogładziła go czule po policzku.

Tyle w nim emocji, pomyślała. Tyle gniewu, tyle dobroci i tyle tajemnic.

Tyle w niej słodczy, pomyślał. Tyle zapału, tyle uczciwości.

- Kocham cię - powiedzieli razem i popatrzyli na siebie zdumieni.

Znieruchomieli. Nawet oddechy wstrzymali jednocześnie. Przez moment milczeli, po czym z całej siły przyłgnęli do siebie.

- Cała dygoczesz - szepnął, tuląc ją do piersi. - Dlaczego?

- Bo jestem szczęśliwa - odparła drżącym głosem. - I przerażona. Gdybym cię teraz straciła...

- Cii. Nie tracisz.

- Och, Vance. Kocham cię do szaleństwa. Tygodniami czekałam na to, żebyś i ty mnie pokochał. A teraz... - ujęła jego twarz w dłonie - teraz po prostu się boję.

Ogarnęło go wzruszenie. Ta cudowna istota, którą trzyma w ramionach, kocha go. Nie zamierzał jej wypuścić.

- Ja też cię kocham - powiedział z pasją. - I nie przestanę aż do śmierci. Rozumiesz? Jesteśmy dla siebie stworzeni. Oboje mamy tego świadomość. Będziemy razem i nic nam w tym nie przeszkodzi.

Ale podobnie jak Shane, jego również przepełniał dziwny, niejasny lęk.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Było już ciemno, gdy się obudziła. Nie wiedziała, gdzie jest ani która jest godzina; czuła się bezpiecznie. Ręka obejmująca ją w pasie kojarzyła się jej z miłością, ciche sapanie przy uchu oznaczało, że Vance śpi. Nic więcej nie było jej potrzebne do szczęścia.

Zastanawiała się, jak długo spała. Pamiętała, że zanim zamknęła oczy, słońce chyliło się ku zachodowi. Teraz na niebie świecił księżyc, którego chłodne srebrzyste promienie padały na łóżko. Odchyliwszy głowę, popatrzyła na twarz Vance'a. W mlecznym świetle całkiem wyraźnie widziała zarys jego szczęki, policzków, czoła. Delikatnie przesunęła palcem po jego wargach. Nie chciała go budzić. Póki spał, mogła do woli mu się przyglądać.

Poruszył się we śnie, przytulając ją mocniej do siebie. Dotyk jego nagiego ciała rozpałił w niej pożądanie. Serce zaczęło walić jej młotem.

Zawsze tak będzie, pomyślała, kładąc głowę na jego ramieniu. Samą swoją obecnością będzie burzył jej spokój. Ale nie szkodzi. Dla niego gotowa jest na wszystko, na życie pełne niespodzianek. Są sobie przeznaczeni; wiedziała to od pierwszej chwili.

Długo leżała, wsłuchując się w oddech śpiącego Vance'a oraz czując, jak jego klatka piersiowa rytmicznie wznosi się i opada. Uśmiechnęła się w ciemnościach. Do końca życia będzie pamiętała ten wieczór, każdą pieszczotę, każde wypowiedziane słowo. Upływ czasu nie zatrze wspomnień, nie przyćmi uczuć.

Z cichym westchnieniem musnęła wargami usta Vance'a. Nie drgnął. Miała nadzieję, że przynajmniej o niej śni. Ostrożnie uniosła jego rękę; oswobodziwszy się, przesunęła się na skraj łóżka, po czym wstała. Ubranie leżało w nieładzie na podłodze. Shane wciągnęła koszulę Vance'a i wymknęła się z sypialni.

Zapach kobiety, który pozostał na poduszce, powoli wdzierał się do jego świadomości. Świeży, wonny, z cytrynową nutą... Nie otwierając oczu, Vance wysunął rękę, by przyciągnąć dziewczynę do siebie. Ale jej nie było. Wypowiedział szeptem jej imię.

W pierwszej chwili czuł się tak samo zdezorientowany jak Shane po

przebudzeniu. Przez okno wpadały promienie księżyca, toteż przez moment był pewien, że wszystko mu się przyśniło. Ale ciepła pościel i słodka woń na poduszce zdawały się temu przeczyć. Nie, to nie był sen. Odetchnął z ulgą i cicho zawołał jej imię. Wtem dobiegł go zapach boczku. Uśmiechając się szeroko, opadł z powrotem na łóżko. Kiedy tak leżał, usłyszał głos Shane śpiewającej jakąś popularną piosenkę.

Była w kuchni, nie zniknęła. Nie ruszał się z miejsca. Dochodziły go różne dźwięki: szuranie, brzęczenie, szum wody. Zapach boczku stawał się coraz bardziej intensywny. Vance zadumał się. Jak długo czekał na coś takiego? Na to uczucie radości, harmonii?

Nawet nie wiedział, że czeka, ale... Shane zapełniła pustkę, która gnębiła go latami, zagoiła stare, jątrzące się rany.

A co on jej może dać? - spytał sam siebie. Spokojne, szczęśliwe życie? Nie. Zbyt dobrze się znał. Miał zbyt wybuchowy charakter, za mało cierpliwości, za dużo obowiązków i zbyt skomplikowaną przeszłość. A propos przeszłości... uświadomił sobie, że po tej pierwszej nocy musi powiedzieć Shane o Amelii.

Odpędzając od siebie przykre myśli, zerwał się z łóżka. Nie, nie pozwoli, by przeszłość miała wpływ na teraźniejszość. Żadna zmarła żona ani liczne obowiązki nie odbiorą mu Shane. To silna dziewczyna, pocieszał się, próbując pokonać własny strach i niepewność. Zrozumie, że to, co się kiedyś stało, to zamknięty rozdział. Może porazi ją wiadomość, że on jest prezesem wielkiej firmy, ale przecież nie obrazi się na niego z tego powodu. Opowie Shane o wszystkim, o całym swoim życiu. Nie chce mieć przed nią tajemnic. A potem poprosi ją o rękę. Może będzie musiał wprowadzić zmiany w swoim życiu, ale nie szkodzi. Dla dobra firmy poświęcił młodzińcze marzenia, ale za nic w świecie nie poświęci szczęścia u boku Shane.

Wciągając dzinsy, zastanawiał się, jak najlepiej wyjawić jej prawdę o sobie, a także wytłumaczyć, dlaczego wcześniej ją ukrywał.

Do zupy z puszki, którą podgrzewała w garnku, dodała odrobinę tymianku, po czym wspiąwszy się na palce, sięgnęła po talerze. Koszula podjechała jej do góry, odsłaniając uda. Włosy miała potargane, policzki lekko zarumienione. Przez



chwilę Vance stał w drzwiach, przyglądając się jej w milczeniu. Potem dopadł jej w trzech susach i mocno objął ją w talii.

- Kocham cię - szepnął namiętnie. - Boże, jak strasznie cię kocham.

Zanim odpowiedziała, odwrócił ją twarzą do siebie i przywarł ustami do jej ust. Zaskoczona i podniecona, odwzajemniła pocałunek.

- Nawet nie wiesz, jak na mnie działa widok ciebie w mojej koszuli - rzekł, unosząc głowę.

- Gdybym wcześniej wiedziała, już dawno bym się tak ubrała - odparła z uśmiechem, zarzucając mu ręce na szyję. - Pomyślałam, że będziesz głodny. Jest już po ósmej.

- Poczulem zapach boczku - przyznał. - Dlatego zszedłem.

- I to jedyny powód?

- A jaki jeszcze mógłbym mieć?

- Nie wiem. - Parsknęła śmiechem. - Mógłbyś jakiś wymyślić.

- No dobrze, skoro ci na tym zależy... Więc chciałem znaleźć się jak najbliżej ciebie. - Pocałował ją. - Kiedy się obudziłem, wyciągnąłem rękę, ale łóżko było puste. Przez chwilę leżałem, wsłuchując się w dźwięki dochodzące z dołu, i zdałem sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie byłem tak szczęśliwy. Wystarczy powodów?

- Tak, ja... - Urwała, gdy jego dłoń wsunęła się pod koszulę i zaczęła gładzić jej udo.

Boczek zaskwierczał.

- Przestań, bo jedzenie się przypali.

- Mmm, pachnie wspaniale. - Przysunął nos do jej szyi. - Ty też.

- Nie ja, tylko twoja koszula - zauważyła, uwalniając się. - Pachnie dymem.

- Zdjęła boczek z patelni i położyła na papierowej serwetce. - Jeśli masz ochotę na kawę, to woda się właśnie zagotowała.

Obserwował Shane, jak krząta się po kuchni. Wypełniała ją nie tylko odgłosami gotowania i swoją obecnością; wypełniała ją życiem. Zdał sobie sprawę, że mimo pracy, jaką włożył w odnowienie domu, do tej pory dom ział pustką. I że bez Shane zawsze będzie nie do końca urządzony.

Nie chciał dalej iść przez życie sam; po prostu zrozumiał, że bez Shane jego

życie nie miałyby sensu.

Przed oczami stanął mu duży biały dom w ekskluzywnej podmiejskiej dzielnicy Waszyngtonu, dom, który kupił dla Amelii. Był tam owalny basen osłonięty białym murem, pięknie utrzymany ogród różany, kort tenisowy, a także ogrodnik, kucharka i dwie pokojówki. Za życia Amelii były trzy - tę trzecią Amelia, której garderoba przyprawiała o zawrót głowy, miała do swojej wyłącznej dyspozycji. W salonie stał palisandrowy sekretarzyk, który na pewno by się Shane spodobał, a w oknach wisiały grube zasłony, które wzbudziłyby jej odrazę.

Rozmyślając o waszyngtońskim domu, Vance uświadomił sobie, że nie może prosić Shane, aby tam z nim zamieszkała. Nie, najpierw musi rozwiązać swe problemy, zaprowadzić ład w swoim życiu. A zacząć powinien od szczerzej rozmowy.

- Shane...

- Siadaj - powiedziała, nalewając zupę. - Konam z głodu. Przez tę aukcję zapomniałam o lunchu. Kupiłam wspaniały dziewiętnastowieczny stół, autentycznego sheridana. I zegar szafkowy. Za zegar trochę przepłaciłam, ale za to stół i solniczki dostałam za bezcen.

- Shane, muszę z tobą porozmawiać...

- Dobrze. - Przekroiła kromkę chleba. - Potrafię jednocześnie jeść i rozmawiać. Napijesz się mleka? Jakoś nie mam ochoty na kawę rozpuszczalną. - Stawiała naczynia na stole, zaglądała do szafek, do lodówki.

- Shane. - Przytrzymał ją za ramię.

Zdziwiła ją powaga w jego oczach.

- Kocham cię. Wierzysz mi? - Zacisnął mocniej rękę.

- Oczywiście.

- Zaakceptujesz mnie takim, jakim jestem?

- Tak. - W jej głosie nie było cienia wahania czy niepewności.

Zgarnął ją w objęcia. Jeszcze kilka godzin, pomyślał, zamykając oczy. Kilka godzin bez pytań, bez wyjaśnień, bez przeszłości. Czy to zbyt wiele?

- Muszę ci coś o sobie opowiedzieć, ale nie dziś. - Napięcie powoli zaczęło go opuszczać. - Dziś chcę mówić tylko jedno: że cię kocham.

Uśmiechnęła się łagodnie.

- Ja ciebie też kocham, Vance. I nic tego nie zmieni.

Przycisnęła usta do jego policzka. Z jednej strony zżerała ją ciekawość, z drugiej rozumiała jego niechęć do mówienia o problemach. To jest ich noc, noc miłości. Problemy mogą poczekać do jutra.

- Siadajmy, bo wystygnie - oznajmiła lekkim tonem. - Nie chcę, aby mój wysiłek poszedł na marne.

- Nie pójdzie. - Pocałował ją w czubek nosa. - Przejdźmy do salonu.

- Do salonu? - Zmarszczyła czoło. - No tak, pewnie tam jest cieplej...

- Zdecydowanie.

- Kiedy zesłam na dół, dorzuciłam kilka polan do kominka.

- Bardzo przewidująco.

Ujął ją za łokieć i pchnął lekko ku drzwiom.

- Musimy wziąć jedzenie.

- Jakie jedzenie?

Parsknęła śmiechem. Chciała zawrócić, ale jej nie pozwolił. W skromnie umeblowanym salonie trzaskał wesoło ogień.

- Jeszcze chwila, a od nowa trzeba będzie podgrzewać zupę.

- Nie szkodzi - szepnął, rozpinając jej koszulę.

- Vance! - Shane odepchnęła jego dłoń. - Bądź poważny.

- Jestem - rzekł, ciągnąc ją na miękkie, owalny dywan. - Jestem śmiertelnie poważny.

- Nie będę podgrzewać zupy - oznajmiła butnie.

- Słusznie. - Rozsunął poły koszuli. - Zimna na pewno też jest pyszna.

- Zimna? - Prychnęła pogardliwie. - Zimna jest paskudna.

- Wciąż jesteś głodna? - spytał, zaciskając dłonie na piersiach Shane.

W jej policzkach pojawiły się dwa dołeczki.

- Bardzo! - odparła, przywierając do niego.

Tym razem to ona była stroną aktywną. Pieściła go, drażniła się z nim, gładziła. Ilekroć nie mógł powstrzymać jęku rozkoszy albo szeptem wymawiał jej imię, wstępowała w nią nowa siła i coraz większa odwaga. Bawiło ją poczucie władzy, ekscytowało odkrywanie tajemnic jego ciała. Miała wrażenie, że nigdy się nim nie nasyci.

Z trudem oddychał, serce waliło mu młotem. Z jednej strony chciał, by pieszczoty trwały bez końca, by Shane delikatnym dotykiem doprowadzała go na skraj szaleństwa, z drugiej zaś pragnął się z nią połączyć, by razem przeżyć chwile ekstazy. Przesunęła się do góry i sama wprowadziła go do środka. Była wilgotna, gorąca, rozpalona. Nie czuł, jak wbija mu paznokcie w ciało, nie słyszał jej dyszenia. Napierał z całej siły, mocno, szybko, ona zaś odpowiadała ruchami bioder. I wreszcie tama pękła: potężny wir przeniósł ich w inny świat.

- Przepraszam - szepnął. - Jesteś taka szczuplutka, taka krucha. Nie chciałem być brutalny...

Potargła mu ręką włosy.

- Było cudownie.

Podobał mu się ten senny, rozmarzony wyraz twarzy: w półprzymknięte powieki, zamglone spojrzenie, nabrzmiące od pocałunków usta. A do tego gładka, ciepła skóra, którą barwiły na złoto tańczące w kominku płomienie ognia.

- Kocham cię - szepnęła. - Będę ci to powtarzać do znudzenia.

- Do znudzenia? - Przytulił ją mocniej. - Te słowa nigdy mi się nie znudzą.

- Mmm - zamruczała cicho. - Ogień powoli wygasa.

- Mmm.

- Może trzeba dorzucić polan?

- Mmm.

- Vance. - Uniosła głowę. - Nie waż się iść spać. Jestem głodna.

- Boże, ta kobieta jest nienasycona. - Wzdychając, ponownie zacisnął dłoń na jej piersi. - Ale może, z pomocą drobnej zachęty, znajdę w sobie dość siły...

- Nie zrezygnuję z zupy - oznajmiła stanowczo Shane, nie wykonała jednak żadnego ruchu, aby powstrzymać jego palce. - I ty ją podgrzejesz, nie ja.

- No dobrze. - Na moment zamyślił się. - Nie boisz się, że coś sknocę? Albo przypalę?

- Nie, mam pełne zaufanie do twoich zdolności kulinarnych.

- Tego się właśnie obawiałem. - Usiadłszy, wciągnął dzinsy. - W takim razie ty dorzuć do kominka.

Kiedy wyszedł do kuchni, przez chwilę leżała bez ruchu, oddając się marzeniom. Syk ognia działał na nią kojąco. Potem wciągnęła miękką flanelową

koszulę, która wciąż pachniała Vance'em. Czy naprawdę jej potrzebuje? - zastanawiała się sennie. Owszem, kocha ją, ale instynktownie wyczuwała, że jest mu również potrzebna. Że w jakiś dziwny sposób samą swoją obecnością pomaga mu pokonać złość, nieufność, ból. Ciekawe, co sprawiło, że przybrał maskę cynika? Przyznał, że przeżył bolesne rozczarowanie. Na kim lub na czym się zawiódł? Na kobiecie, na przyjacielu, na wartościach?

Dumała nad tym wszystkim, wpatrując się w rozżarzone polana. W mężczyźnie, którego pokochała, tkwił głęboko skrywany niepokój. Wyraźnie pobrzmiwał w pytaniu, jakie jej dziś zadał: czy zaakceptuje go takim, jakim jest. Wiedziała, że musi uzbroić się w cierpliwość, czekać, aż sam będzie gotów wyjawić jej swoje tajemnice. Zapięła koszulę. Niełatwo jednak czekać beczynn timer, kiedy się kocha. Ale cóż, obiecała mu, że dziś wystarczy jej jego miłość; o problemach, jakie go dręczą, mogą porozmawiać jutro.

Zanim wyszła do kuchni, dorzuciła do kominka.

- Nareszcie - oznajmił chłodno Vance, gdy w końcu stanęła w drzwiach. - Nie cierpię, jak jedzenie stygnie.

- Najmocniej pana przepraszam. Postąpiłam haniebnie.

Postawił talerze na stole.

- W porządku, przeprosiny przyjęte - rzekł wyrozumiałym tonem. W jego oczach lśniły wesołe iskierki. - Kawy?

- Nie, dziękuję. - Wzdrygnęła się. - Nienawidzę rozpuszczalnej.

- Ja też.

- Kupię ci ekspres. - Uśmiechnąwszy się, podniosła łyżkę i zaczęła jeść. Zupa była gorąca, świetnie przyprawiona. - Pycha! Boże, jaka jestem głodna.

- Nie powinnaś opuszczać posiłków.

- Warto było. Ten sheridan jest niesamowity. - Wzruszyła ramionami. - Po powrocie do domu zamierzałam zjeść wczesną kolację, ale... co innego zaprzętnęło moją uwagę - dodała ze śmiechem.

Vance ujął jej rękę, podniósł ją do ust, po czym wbił zęby w kłykieć.

- Au! - Wyrwała mu rękę. - Kiedy tu przyszłam, naprawdę byłam wściekła.

- Ja też - zapewnił ją.

- Ale ja przynajmniej potrafię nad sobą panować.

Zakrztusił się ze śmiechu.

- Miałam ochotę cię walnąć - wyjaśniła.

- Wielką ochotę.

- A ja tobą z całej siły potrząsnąć. - Na moment zamilkł, po czym ciągnął, starannie dobierając słowa: - Shane, czy możesz chwilę się wstrzymać ze sprzedażą tego kompletu z jadalni?

- Vance...

Ponownie ujął jej dłoń.

- Tylko nie mów, że nie mam prawa się wtrącać. Kocham cię.

Marszcząc czoło, mechanicznie mieszała łyżką w zupie. Nie chciała mu mówić o rachunkach czekających na zapłatę. Po pierwsze, wierzyła, że prędzej czy później rozwiąże swoje problemy finansowe, a po drugie, po co ma obciążać nimi Vance'a?

- Wiem, że kierowała tobą troska o mnie - zaczęła wolno. - Doceniam to. Ale zależy mi na tym, żeby moja przygoda z antykami zakończyła się sukcesem. - Napotkała jego wzrok. - Jako nauczycielka nie poniosłam porażki, ale też nie osiągnęłam jakiegoś porażającego sukcesu. Teraz... zobaczysz, rozkręcę ten interes.

- Jak? Sprzedając cenne pamiątki po babci? - Po jej minie widział, że poruszył czułą strunę. - Shane...

- Nie twierdę, że to dla mnie łatwe - przerwała mu i westchnęła ciężko. - Sentymentalna marzycielka musi stać się osobą praktyczną, twardo stąpającą po ziemi. Ten komplet do jadalni zajmuje mnóstwo miejsca i jest sporo wart, a mnie miejsce się przyda, pieniądze zaś pomogą przetrwać jakiś czas. Poza tym... - Potrząsnęła głową. - Zrozum, wolałabym się jak najszybciej pozbyć tych mebli, niż patrzeć na nie, wiedząc, że są na sprzedaż.

- W takim razie sprzedaj je mnie. Mógłbym...

- Nie!

- Shane, posłuchaj...

- Nie! - Wstała od stołu. Oparta o zlew, w milczeniu wpatrywała się w drzewa za oknem zalane srebrzystym blaskiem księżyca. - To miłe, co proponujesz, ale absolutnie nie mogę na to pozwolić.

Podszedł do niej i objął ją ramieniem. Zastanawiał się, co powiedzieć, jak jej wytłumaczyć całą prawdę?

- Shane, nie umiem spokojnie patrzeć na twoją codzienną harówkę. Naprawdę chciałbym...

- Proszę cię, Vance. - Obróciła się do niego twarzą. - Robię to, co chcę. To, co muszę. - Ręce lekko jej drżały. - Nawet nie wiesz, jak bardzo mnie wzrusza twoja propozycja...

- Więc przyjmij ją! Jeśli to tylko kwestia pieniędzy...

- Nie! I nie robiłoby mi różnicy, gdybyś był milionerem. Też bym się nie zgodziła.

Przygarnął ją do siebie.

- Ty mały uparciuchu! Mógłbym ci ułatwić...

- Nie chcę, żeby ktokolwiek mi cokolwiek ułatwił. Nawet ty. Zrozum, całe życie byłam postrzegana jako urocza, lekko zwariowana wnuczka Faye Abbott. Zależy mi na tym, aby udowodnić sobie i miasteczku, że coś potrafię. Że jestem coś warta.

Przez chwilę milczał. Rozumiał, co Shane czuje. Sam też przez wiele lat postrzegany był jako syn pięknej Miriam Riverton Banning i pamiętał, jakie to było frustrujące.

- Jesteś urocza...

- Och, Vance!

- I lekko zwariowana.

- Nie podlizuj się - ostrzegła go ze śmiechem. - Ja zmywam, ty wycierasz.

- Co?

- Naczynia.

Objął ją mocno w pasie.

- Nie widzę żadnych naczyń. Widzę tylko twoje wielkie, cudowne oczy.

- Przestań.

- Uwielbiam twoje piegi. - Pocałował ją w czubek nosa. - Margaret Thatcher ma identyczne.

- Oj, bo mnie zezłóscisz. - Spojrzała na niego, mrużąc oczy.

- I dołeczki w policzkach - ciągnął niezrażony. - Margaret też je ma,

prawda?

Przygryzła wargi, usiłując zachować powagę.

- Zamknij się, Vance.

- Mhm, śliczna, urocza i lekko zwariowana.

- No dobra, ostrzegałam cię. - Usiłowała się oswobodzić.

- Dokąd się wybierasz? - spytał.

- Do domu - odparła wyniośle. - Sam sobie pozmywaj naczynia.

Westchnął głośno.

- Chyba znów muszę przeobrazić się w brutala.

Domyślając się, co Vance zamierza uczynić, zaczęła się wyrywać.

- Jeżeli jeszcze raz zarzucisz mnie sobie na plecy, wywalę cię z roboty!

- Tak może być? - Uniósł ją delikatnie pół metra nad ziemię.

- Od biedy - odparła, obejmując go za szyję. Dłużej nie zdołała pohamować uśmiechu.

- A tak? - Przytknął usta do jej warg.

- Hm, znacznie lepiej - szepnęła, gdy wyszedł na korytarz. - Dokąd mnie niesiesz?

- Na górę. Chcę odzyskać moją koszulę.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Oczywiście, że można ją przerobić - powiedziała Shane, gładząc porcelanową podstawę niedużej lampy naftowej.

- Tak sądziłam. - Potencjalna klientka, pani Trip, pokiwała głową. - Mój mąż zna się na elektryce, więc...

Shane z trudem zdobyła się na uśmiech. Na samą myśl o tym, że ktoś miałby majstrować przy takim cacku, zrobiło jej się niedobrze.

Postanowiła zmienić taktykę.

- Wie pani, lampa naftowa bardzo przydaje się podczas awarii elektrycznych. Ja mam w domu kilka, właśnie w tym celu.

- A ja wtedy używam świec. Nie, ta lampa stanie na stoliku przy moim fotelu bujanym.

- Skoro zależy pani na świetle elektrycznym, może powinna pani kupić dobrą kopię starej lampy? Wyszłoby znacznie taniej - zasugerowała Shane wbrew kupieckiemu rozsądkowi.

- Ale wówczas to nie byłby prawdziwy antyk, prawda? - zauważyła z uśmiechem pani Trip. - Zapakujesz mi ją, kochanie, do pudełka?

- Oczywiście.

Uznając, że nie ma sensu powtarzać, że przeróbka lampy naftowej na elektryczną pozbawi oryginał urody i wartości, Shane wypisała rachunek. Pocieszała się myślą, że pieniądze ze sprzedaży lampy pozwolą jej samej uregulować rachunek za prąd.

- Ojej, a jakie to jest piękne!

Poderwawszy głowę, Shane zobaczyła, że pani Trip podziwia błękitny serwis do herbaty, którego każdą część zdobił maleńki złoty liść.

- Tak, piękne - przyznała klientce rację i przygryzła wargi, gdy kobieta podniosła do oczu cukiernicę i skrzywiła się na widok ceny. - To cena za komplet - wyjaśniła Shane, wiedząc, że komuś, kto nie zna się na starej porcelanie, suma wypisana na kartce może wydać się horrendalnie wysoka. - Pochodzi z drugiej połowy dziewiętnastego wieku i...

- Muszę to mieć - oznajmiła stanowczo pani Trip. - Idealnie będzie

wyglądał w narożnej szafce. - Uśmiechnęła się do zaskoczonej Shane. - Powiem mężowi, że właśnie kupił mi prezent pod choinkę.

- Zaraz go pani zapakuję.

- Masz, kochanie, uroczy sklepik. Wiesz, zboczyłam nieco z trasy, bo zaintrygowała mnie tablica przy wzgórzu. Spodziewałam się raczej wielkiej stodoły pełnej staroci, a tu proszę... - Rozejrzała się z uznaniem. - Tak, bardzo tu ładnie. A do tego jeszcze muzeum. Sprytny pomysł. Następnym razem zabiorę z sobą mojego bratanka. Powiedz, kochanie, nie masz męża, prawda?

Shane popatrzyła na nią z rozbawieniem.

- Nie, proszę pani.

- Mój bratanek jest lekarzem - wyjawiała pani Trip. - Internistą.

Shane zakleiła pudełko, do którego schowała serwis do herbaty.

- To dobry chłopak - kontynuowała kobieta. - Oddany swojej pracy. - Wyciągnęła z torebki książeczkę czekową oraz portfel. - Mam tu jego zdjęcie.

Zdjęcie przedstawiało młodzieńca o posępnym spojrzeniu.

- Przystojny - rzekła Shane. - Musi pani być z niego bardzo dumna.

- Och tak, jestem. - Wsunęła portfel z powrotem do torebki. - Strasznie żałuję, że jeszcze nie znalazł odpowiedniej dziewczyny. No cóż, następnym razem na pewno go przywiozę.

Bez zmrużenia oka wypisała czek na sumę widniejącą na rachunku.

Niełatwo było Shane zachować powagę, ale udało się. Dopiero gdy za klientką zamknęły się drzwi, opadła na krzesło, skręcając się ze śmiechu. Nie mogła jedynie zdecydować, czy bratankowi powinno się zazdrościć takiej troskliwej cioteczki, czy też mu z jej powodu współczuć.

Zastanawiała się, jak Vance zareaguje, kiedy opowie mu o wizycie starszej pani. Pewnie uniesie brwi i rzuci jakąś ironiczną uwagę na temat swatek.

Spojrzała na zegarek: jeszcze dwie godziny. Obiecała przyrządzić mu kolację, coś bardziej treściwego niż zupa i kanapki, które jedli wczoraj. Do piekarnika na piętrze niedawno wstawiła pieczeń. Kusilo ją, by wcześniej zamknąć sklep. Miałaby czas przygotować jakiś wymyślny deser. Ale zanim zdążyła wykonać krok ku drzwiom, te ponownie się otworzyły.

W progu stanęła Laurie MacAfee ubrana w zapięty po szyję długi, beżowy

płaszcz. Zmierzyła wzrokiem swą dawną koleżankę szkolną, która siedziała wygodnie na krześle.

- Klienci nie walą drzwiami i oknami?

Shane uśmiechnęła się na powitanie, ale nie wstała.

- Akurat w tym momencie nie. Jak się masz, Laurie?

- Dobrze. Wysłałam wcześniej z pracy, bo byłam umówiona u dentysty, no i pomyślałam, że w drodze powrotnej zajrzę do ciebie.

- Cieszę się. Oprowadzić cię?

- Nie trzeba, po prostu sobie poszperam. - Rozejrzała się po sklepie. - Widzę pełno ślicznych rzeczy.

Shane wstała z krzesła.

- Zmieniło się... - Wolnym krokiem Laurie zaczęła krążyć po sklepie. Zaskoczyło ją, że właściwie do niczego nie może się przyczepić: Shane wykazała się doskonałym gustem. Rozpinając płaszcz, weszła do sali muzealnej. - Z kolei tu prawie wszystko jest tak jak dawniej. Zostawiłaś nawet starą tapetę.

- Tak, nie chciałam nic ruszać. Oczywiście musiałam poszerzyć drzwi, ale poza tym wszystko zostało po staremu.

- Muszę przyznać, że jestem trochę zdziwiona - rzekła Laurie, przechodząc do pomieszczenia, w którym poprzednio mieściła się kuchnia. - Panuje tu taki idealny porządek. Pamiętam, że w twojej sypialni człowiek zawsze się o wszystko potykał.

- Tak, tam wciąż można sobie nogi połamać - stwierdziła ironicznym tonem Shane.

Roześmiewszy się uprzejmie, Laurie wróciła do sali muzealnej.

- Właściwie należało tego oczekiwać. - Pokiwała wolno głową. - Zawsze uwielbiałaś historię...

- Pokazałabym ci górę - rzekła Shane, przerywając ciszę - ale tam jeszcze trwają prace remontowe. Poza tym nie powinnam zostawiać sklepu bez opieki. A Pat ma dziś zajęcia na uczelni.

- Słyszałam, że ją zatrudniłaś. - Laurie przeszła z powrotem do sklepu. - To ładnie z twojej strony.

- Nie wiem, co bym bez niej zrobiła. Sama na pewno nie dałabym rady.

Patrząc, jak Laurie zaczyna oglądać wystawione na sprzedaż przedmioty, Shane poczuła zniecierpliwienie. Jak tak dalej pójdzie, na deser zdąży przyrządzić co najwyżej budyń.

- Jaki piękny stół! - zawołała ze szczerym podziwem Laurie, stojąc przed kupionym zaledwie wczoraj sheridanem. - W dodatku wcale nie wygląda na antyk.

Shane nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

- To prawda - rzekła poważniejąc, kiedy Laurie, zdziwiona jej zachowaniem, obejrzała się przez ramię. - Nie uwierzysz, ilu osobom wydaje się, że antyki powinny być zaśniedziałe, pordzewiałe lub uszkodzone. Akurat ten stół jest autentycznie stary i autentycznie piękny.

- I autentycznie drogi - dodała Laurie, spoglądając na kartkę z ceną. - Pasowałby do fotela, który kupiliśmy z Cyrusem. Ja... - Zaczerwieniła się. - Nie wiem, czy słyszałaś... zamierzałam z tobą o tym pogadać, ale...

- O czym? - Shane powściągnęła uśmiech, widząc speszzenie koleżanki. - Wiem, że się spotykacie.

- Spotykamy... - Laurie strząsnęła jakiś niewidoczny pyłek z rękawa. - A nawet... - Odchrząknęła. - Zamierzamy się pobrać, Shane.

- Gratuluję.

Zaskoczyło ją, że w głosie niedoszłej żony swojego narzeczonego nie wyczuła nuty żalu czy pretensji.

- Mam nadzieję, że nie gniewasz się... - Zaczęła nerwowo miętosić pasek od torebki. - Wiem, że ty i Cyrus, co prawda dosyć dawno, ale jednak planowaliście...

- Byliśmy młodzi - przerwała jej Shane. - Naprawdę życzę wam jak najlepiej, Laurie. - Nie potrafiła się jednak powstrzymać od drobnej złośliwości. - Zresztą wy idealnie do siebie pasujecie.

- Doceniam to, co mówisz, Shane. Bałam się, że... Bo wiesz, Cy to taki wspaniały mężczyzna.

Ona naprawdę w to wierzy, zdumiała się Shane; naprawdę świata poza nim nie widzi. Zrobiło jej się wstyd, że wyśmiewa się w duchu z zakochanej pary.

- Bądźcie szczęśliwi. Oboje.

- Na pewno będziemy. - Laurie rozpromieniła się. - I wiesz co? Kupię od

ciebie ten stół.

- Co to, to nie - sprzeciwiła się Shane. - Ten stół dostaniecie w prezencie ślubnym.

Laurie dosłownie otworzyła usta.

- Och, nie! Nie moglibyśmy go przyjąć! Jest tak niesamowicie drogi...

- Laurie, znamy się tyle lat, a Cy stanowił ważną część mojej... - przez moment szukała odpowiedniego słowa - młodości. Proszę cię, nie odmawiaj.

- No dobrze. Dziękuję - rzekła Laurie zaskoczona tak wspaniałomyślnym gestem. - Cy będzie zachwycony.

- Cieszę się. - Shane uśmiechnęła się. - Pomóc ci go wynieść do samochodu?

- Nie, nie, poradzę sobie. - Laurie bez trudu uniosła podarowany stolik. Przy drzwiach odwróciła się. - Shane, z całego serca ci życzę, abyś odniosła wielki sukces... Do widzenia.

- Do widzenia, Laurie.

Shane zamknęła drzwi, po czym natychmiast skupiła się na własnych sprawach. Zerknąwszy na zegarek, zobaczyła, że ma niewiele ponad godzinę, zanim Vance przyjdzie na kolację. Nie tracąc czasu, skierowała się do sali muzealnej, by ją zamknąć. Jeżeli się pospieszy, może zdąży...

Na dźwięk podjeżdżającego pod dom samochodu zakłęła pod nosem.

Powtarzając w myślach maksymę, że klient to nasz pan, przekreśliła zamek w drzwiach. Jeżeli Vance ma ochotę na deser, będzie musiał się zadowolić ciasteczkami ze sklepu. Słyszając kroki na ganku, nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi na oścież.

Uśmiech na jej wargach zgasł, krew odpłynęła z twarzy.

- Anne... - wydukała.

- Złotko! - Kobieta zbliżyła usta do jej policzka. - Co to za powitanie? Można by pomyśleć, że nie cieszysz się z wizyty matki?

Anne jak zwykle wyglądała rewelacyjnie: twarz bez zmarszczek, duże niebieskie oczy, włosy w kolorze pszenicy. Miała na sobie drogie futro z niebieskiego lisa, przewiązane w talii czarnym skórzanym paskiem, oraz spodnie z jedwabiu, całkiem nieodpowiednie jak na tę porę roku.

- Wyglądasz prześlicznie - powiedziała Shane, czując, jak przepelniają miłość do matki, a jednocześnie niechęć do niej.

- Dziękuję, chociaż ci nie wierzę. Jazda z lotniska mnie wykończyła! Mieszkasz na całkowitym odludziu... Złotko, kiedy wreszcie zrobisz coś z włosami? - Obrzuciwszy córkę krytycznym wzrokiem, weszła do domu. - Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego... Mój Boże, co tu się dzieje?

Zaskoczona rozejrzała się po sali pełnej półek, gablot, stojaków z pocztówkami, po czym wybuchając perlistym śmiechem, postawiła na podłodze swoją piękną skórzaną walizkę.

- Tylko mi nie mów, że we własnym domu otworzyłaś muzeum poświęcone wojnie secesyjnej! Nie wierzę własnym oczom!

Shane skrzyżowała ręce na piersi.

- Nie widziałaś po drodze tablicy?

- Tablicy? Nie... a może nie zwróciłam na nią uwagi. - W oczach Anne pojawiła się wesołość. - Złotko, co ci strzeliło do głowy?

Shane wyprostowała dumnie ramiona. Nie zamierzała dać się zastraszyć.

- Postanowiłam otworzyć własny biznes.

- Ty? - Matka ponownie wybuchnęła śmiechem. - Żartujesz, prawda?

- Nie - odparła Shane, urażona tonem matki.

- A co z twoją pracą w szkole?

- Zrezygnowałam z niej.

- To mnie akurat nie dziwi - stwierdziła Anne. - Uczenie dzieci musi być potwornie nudne. Ale na miłość boską, dlaczego wróciłaś na to zadupie?

- Tu jest mój dom.

- W porządku, co kto lubi... A co zrobiłaś z resztą pomieszczeń? - Nie dając córce czasu na odpowiedź, ruszyła przed siebie. - O Boże, antykwariat! Hm, nawet gustownie urządzone... Doskonały pomysł, złotko.

Kiedy krążąc między gablotkami, wypatrzyła kilka cennych przedmiotów, pomyślała sobie, że może jej córka wcale nie jest taką idiotką, za jaką ją zawsze miała. Rozpiąwszy pasek, zdjęła futro i powiesiła je niedbale na oparciu krzesła.

- Od dawna prowadzisz ten swój biznes?

- Właściwie dopiero zaczęłam.

Shane stała bez ruchu. Coś ją ciągnęło do tej pięknej, obcej istoty, która była jej matką, a zarazem od niej odpychało.

- No i?

- I co?

Kobieta uśmiechnęła się promiennie, ukrywając zniecierpliwienie. Była świetną aktorką. Chociaż nie zrobiła oszałamiającej kariery filmowej, od czasu do czasu proponowano jej drobne role.

- Martwię się o ciebie, złotko. To chyba naturalne, że chcę wiedzieć, jak ci idzie?

- Nieźle - przyznała Shane. - Ale to dopiero początki. A praca w szkole wcale mnie nie nudziła; po prostu nie sprawiała mi przyjemności. Natomiast sklep i muzeum sprawiają.

- To cudownie! - Anne ponownie rozejrzała się po wnętrzu. Przyszło jej do głowy, że może powinna bardziej zainteresować się córką. Bądź co bądź, by otworzyć własny biznes, trzeba mieć trochę rozumu i mnóstwo determinacji. - Cieszę się, że masz takie poukładane życie, zwłaszcza że moje jest znów jest w rozsypce. - Widząc błysk trwogi w oczach Shane, uśmiechnęła się smutno. - Rozwiodłam się z Leslieem.

- Tak? - Shane uniosła pytająco brwi.

Zdziwiona jej chłodem, Anne dodała szybko:

- Popełniłam straszny błąd. Byłam ślepa. Czuję się jak kretyńka, że tak łatwo dałam się nabrać! Sądziłam, że Leslie to fantastyczny, czarujący facet. - Nie tłumaczyła, że ją zawiódł, bo nie zdobył dla niej ról w filmach, dzięki którym wspięłaby się na szczyty sławy, ani że zaczęła romansować z pewnym producentem, który jej zdaniem był na progu wielkiej kariery. - Dla kobiety nie ma nic bardziej deprymującego niż porażka w miłości.

Powinnaś być bardziej uodporniona, przemknęło Shane przez myśl.

- Kilka ostatnich miesięcy... - Anne westchnęła. - Nie było mi łatwo.

- Mnie też - oznajmiła Shane. - Babcia zmarła pół roku temu. Nawet nie pofatygowałaś się na pogrzeb.

Anne spodziewała się tych zarzutów. Wpatrując się w swoje zadbane ręce, powiedziała cicho:

- Ogromnie żałuję. Wierz mi, córeńko. Chciałam, ale kończyłam film. Nie mogłam się wyrwać choćby na jeden dzień.

- Nie mogłaś też zadzwonić? Przysłać telegramu? Nawet nie raczyłaś odpowiedzieć na mój list.

Anne usiadła. Jak na zawołanie, jej oczy napełniły się łzami.

- Kochanie, nie bądź okrutna. Zrozum, nie potrafiłam... nie potrafiłam przelać swoich uczuć na papier. - Z kieszonki na piersi wyciągnęła jedwabną chusteczkę do nosa. - Chociaż była już stara, jakoś wydawało mi się, że będzie żyła wiecznie. - Ostrożnie, by nie rozmazać tuszu, wytarła łzy. - Kiedy dostałam twój list zawiadamiający mnie o jej śmierci... załamalam się. - Pojedyncza łza wolno spływała po jej policzku. - Przecież wiesz, co musiałam czuć. To była jakby moja matka; ona mnie wychowała. - Z jej gardła wydobył się cichy szloch. - Nie mogę uwierzyć, że Faye tu nie ma. Że nie krząta się po kuchni, nie pichci kolacji...

Shane uklękła u stóp matki. Przez całe życie Anne była dla niej kimś obcym; może teraz śmierć babki je połączy?

- Wiem - szepnęła głosem ochryplym ze wzruszenia. - Mnie też strasznie jej brakuje.

Widząc, że obrana przez nią metoda odnosi skutek, Anne coraz bardziej zaczęła wciągać się w rolę.

- Shane, kochanie, wybac mi. - Zaciśnęła dłonie, starając się nadać głosowi lekkie drżenie. - Źle postąpiłam, nie przyjeżdżając na pogrzeb. Wiem, że powinnam była, ale nie miałam dość siły, żeby... Wciąż nie mogę się pogodzić z... - Urwała, unosząc rękę córki do swojego mokrego policzka.

- Rozumiem. I wybaczam. Babcia też by ci wybaczyła.

- Zawsze była dla mnie taka dobra. Gdybym mogła jeszcze raz ją przytulić, porozmawiać z nią...

- Przestań, tak nie można - przerwała jej Shane, którą wielokrotnie po pogrzebie babki nachodziły identyczne myśli. - Ja również o tym marzyłam, ale zrozumiałam, że trzeba przywoływać miłe wspomnienia. Babcia bardzo kochała ten dom. Była tu szczęśliwa, uwielbiała pracować w ogródku, smażyć konfitury.

- Tak, faktycznie kochała ten dom - szepnęła Anne, rozglądając się po pokoju. - I pewnie byłaby zadowolona z tego, co z nim zrobiłaś.



- Tak myślisz? - Shane popatrzyła w wilgotne oczy, szukając w nich potwierdzenia. - Ja też tak sądzę, ale czasem...

- Na pewno by była - oznajmiła stanowczo matka. - Dom jest teraz twoją własnością, prawda, kochanie?

- Tak. - Shane powiodła dookoła wzrokiem, przypominając sobie, jak pokój wyglądał za życia babci.

- Czyli zostawiła testament?

- Testament? - Zdezorientowana Shane skierowała spojrzenie na matkę. - No tak, spisała go przed laty. U syna Floyda Arnette'a, kiedy otrzymał dyplom prawnika. - Uśmiechnęła się na wspomnienie babci wychwalającej pod niebiosa „tego małego Arnette'a” za jego znajomość języka prawniczego.

- A reszta majątku? - spytała Anne, usiłując nie okazywać zniecierpliwienia.

- Reszta? Był dom i oczywiście ziemia - odparła Shane. - A także jakieś akcje, które sprzedałam, żeby opłacić podatek spadkowy i koszty pogrzebu.

- Wszystko ci zostawiła?

- Tak. Miała na koncie trochę gotówki; to pokryło część remontu...

- Kłamiesz!

Odepchnąwszy gwałtownie córkę, Anne poderwała się na nogi. Shane chwyciła się krzesła, by nie zważyć się na podłogę. Oszołomiona, stała bez ruchu.

- Na pewno by mnie nie wydziedziczyła!

Niebieskie oczy płonęły gniewnie, a piękną twarz wykrzywiła złość. Raz czy dwa razy w życiu Shane widziała matkę w napadzie szału. Wolno podniosła się z klęczek. Wiedziała, że musi zachować ostrożność. Anne, miotana wściekłością, potrafiła uciec się do przemocy.

- Anne, posłuchaj. Babcia nie myślała takimi kategoriami - powiedziała, siląc się na spokój. - Po prostu wiedziała, że nie zainteresuje cię dom ani ziemia, a pieniędzy po opłaceniu podatków nie było tak wiele.

- Masz mnie za idiotkę? - Anne nie dawała za wygraną. To właśnie jej wybuchowy charakter, a nie brak talentu sprawił, że nie zrobiła wielkiej kariery. Zbyt często wyładowywała gniew i frustrację na reżyserze oraz innych aktorach. Nie zastanawiała się nad tym, że cierpliwością i staranniejszym doбором słów

znacznie prędzej by osiągnęła upragniony cel. - Dobrze wiem, że trzymała forszę w banku! A jaka była skąpa! Każdy grosz musiałam z niej niemal siłą wydierać. Nie oszukasz mnie! Zamierzam dostać to, co mi się należy!

- Babcia dawała ci tyle, ile mogła...

- A co ty tam wiesz! I nie wciskaj mi ciemnoty! Doskonale się orientuję, jaką wartość ma ten dom z ziemią. - Popatrzyła wokół z obrzydzeniem. - Chcesz tu mieszkać, to mieszkaaj. Tylko oddaj mi moją forszę.

- Nie ma żadnej forsy. Babcia nie...

- Nie pieprz!

Wyminąwszy córkę, Anne skierowała się ku schodom. Shane, zszokowana, nie dowierzając własnym oczom i uszom, z trudem wciągnęła powietrze. Jak można być taką jędzą? I jak to możliwe, że po raz kolejny dała się nabrać na sztuczki matki? To już koniec, przysięgła sobie. Dygocząc z wściekłości, pobiegła na górę.

Zastała Anne w swojej sypialni wyciągając papiery z biurka. Doskoczyła do niej i zatrzaskała szufladę.

- Nie dotykaj moich rzeczy - rzekła głosem, w którym pobrzmiwała groźba. - Nie waż się ruszać niczego, co należy do mnie.

- Chcę zobaczyć książeczki czekowe i ten tak zwany testament - oznajmiła matka.

Skierowała się do wyjścia, ale zanim opuściła pokój, Shane z całej siły zacisnęła rękę na jej łokciu.

- Niczego ci nie pokażę. Wszystko, co jest w tym domu, stanowi moją własność.

- Czyli jednak zostały po babce pieniądze. - Anne szarpnęła się. - A ty próbujesz je przede mną ukryć!

- Nie muszę niczego ukrywać! - wybuchnęła Shane, nie potrafiąc dłużej zapanować nad wściekłością. Matka odtrącała ją latami, gardziła jej miłością, a teraz stawia żądania? - Ten dom i wszystko, co się w nim znajduje, należy do mnie. Nie pozwalam ci grzebać w moich rzeczach. Jeżeli chcesz obejrzeć testament, wynajmij adwokata.

Anne zmrużyła oczy w szparki.

- Hm, więc wcale nie jesteś taką naiwniaczką, za jaką cię miałam?

- Nie znasz mnie. Nic o mnie nie wiesz. I nigdy nie chciałaś się dowiedzieć. Na szczęście nie miało to większego znaczenia, bo zajmowała się mną babcia. A teraz... teraz już nie jesteś mi do niczego potrzebna. - Wypowiedzenie tych słów, choć nie ukoilo jej bólu i nie zmniejszyło gniewu, sprawiło Shane autentyczną ulgę. - Kiedyś jako mała dziewczynka bardzo cię potrzebowałam. Pojawiałaś się w domu znienacka, na chwilę, a potem znów znikaaś. Byłyśmy ci obojętne, i ja, i babcia. Ona wiedziała, że masz nas w nosie, mimo to cię kochała. W przeciwieństwie do mnie. Ja cię nie Kocham. - Z trudem łapała oddech; nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bliska jest płaczu. - Nic do ciebie nie czuję, nawet nienawiści. Po prostu chcę się od ciebie raz na zawsze uwolnić.

Odwróciwszy się, wyciągnęła szufladę i wyjęła ze środka książeczkę czekową. Szybko, zanim się rozmyśli, wypisała czek na połowę pieniędzy, jakie miała na koncie.

- Trzymaj. - Podała go matce. - Weź. Potraktuj to jako prezent od babci. Ode mnie nigdy nic nie dostaniesz.

Anne wyrwała córce z ręki czek.

- Jeśli myślisz, że to mnie usatysfakcjonuje - rzekła, rzuciwszy okiem na wypisaną sumę - to się mylisz.

Złożyła czek na pół i schowała do kieszeni. Wiedziała, że nie ma sensu unosić się honorem, zwłaszcza w obecnej sytuacji.

- A adwokata na pewno wynajmę - dodała, chociaż nie miała zamiaru tracić pieniędzy na walkę w sądzie. - Obalę testament. Jeszcze mnie popamiętasz, Shane.

- Możesz robić, co ci się żywnie podoba - oznajmiła Shane znużonym tonem. - Tylko trzymaj się ode mnie z daleka.

Roześmiawszy się pogardliwie, Anne odrzuciła w tył głowę.

- Nie martw się, złotko, już idę. Siłą byś mnie nie zatrzymała w tej ohydnej norze. Wiesz, nieraz się zastanawiałam, jak to możliwe, że jesteśmy spokrewnione.

- Ja też - szepnęła Shane, przykładając palce do skroni.

- Wkrótce skontaktuje się z tobą mój prawnik. - Odwróciwszy się na pięcie,

Anne Abbott z wdziękiem opuściła pokój.

Shane stała nieruchomo przy biurku, dopóki nie usłyszała, jak matka zatrzaskuje drzwi. Dopiero wtedy opadła na fotel i wybuchnęła spazmatycznym szlochem.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Vance siedział na jedynym nierozpadającym się krześle, jakie miał w salonie, i z niecierpliwością spoglądał na zegarek. Powinien być u Shane od dziesięciu minut.

I byłby, gdyby telefon nie zadzwonił akurat w chwili, gdy wychodził z domu. Cofnąwszy się od drzwi, Vance podniósł słuchawkę i chcąc nie chcąc, musiał wysłuchać długiej listy problemów, jakie przedstawił mu kierownik jego waszyngtońskiej filii.

- Z powodu kłótni związkowców prace nad projektem Wolfe'a są opóźnione o trzy tygodnie. Poza tym będzie spore opóźnienie w dostawie stali na budowę Rheinstone'a. Przykro mi, prezesie, że zawracam panu głowę, ale te dwie budowy mają dla naszej firmy priorytetowe znaczenie. A trzeba pamiętać, że Rheinstone wkrótce ogłasza przetarg na budowę centrum handlowego, i w tej sytuacji...

- Tak, rozumiem - przerwał mu Vance. - Wobec tego niech dwie zmiany pracują nad projektem Wolfe'a, dopóki nie zlikwidujemy opóźnienia.

- Dwie zmiany? Ale...

- Według umowy mamy zakończyć budowę do pierwszego kwietnia. Większe wypłaty dla pracowników będą mniej kosztowne niż kary umowne lub nadszarpnięta opinia.

- Tak, oczywiście.

- Niech Liebewitz wyjaśni sprawę opóźnień w dostawie stali. Jeżeli do poniedziałku problem nie zostanie załatwiony, sam się nim zajmę. - Podniósłszy ołówek, Vance zanotował coś na kartce. - Natomiast jeśli chodzi o przetarg, osobiście sprawdzałem naszą ofertę. Nie powinno być z tym żadnego kłopotu. Na koniec przyszłego tygodnia niech pan zwoła zebranie wszystkich kierowników działów. Przyjadę do Waszyngtonu. A tymczasem - dodał po chwili - proszę przysłać do mnie... hm, może Mastersona. Chcę, by zbadał możliwości utworzenia tutaj nowej filii.

- Nowej filii, panie Banning? Na prowincji?

- Tak. Najlepiej w okolicach Hagerstown. Za dwa tygodnie chciałbym otrzymać raport oraz listę potencjalnych lokalizacji. - Spojrzał na zegarek. - Coś

jeszcze?

- Nie, to wszystko.

- W porządku. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu. - Odłożył słuchawkę.

Miał świadomość, że jego ostatnie polecenie spowoduje spore zamieszanie wśród kierownictwa. No ale firma Riverton ciągle się rozrasta; nowa filia nie powinna nikogo dziwić. A po raz pierwszy w życiu może on sam na tym skorzystać. Zamieszka tam, gdzie ma ochotę, a nie tam, gdzie musi, z kobietą, którą kocha, i nadal będzie podejmował wszystkie istotne decyzje. Jeżeli członkowie zarządu zakwestionują proponowaną przez niego lokalizację, a niewątpliwie tak może się zdarzyć, wyjaśni im, że Hagerstown to największe miasto w Marylandzie. W dodatku o rzut kamieniem od Pensylwanii i Wirginii Zachodniej. Tak, bez trudu obroni swój pomysł.

Wstając z krzesła, sięgnął po kurtkę. Teraz musi jedynie porozmawiać z Shane. Zastanawiał się, nie po raz pierwszy, jak ona zareaguje. Na pewno będzie zaskoczona, kiedy się dowie, że Vance Banning nie jest tym bezrobotnym stolarzem, za jakiego go wzięła. Przypuszczalnie będzie zła, że do tej pory nie wyprowadził jej z błędu. Czując lekki niepokój, wyszedł z domu.

Niebo było przejrzyste, powietrze chłodne. Z zachodu wiał wiatr, porywając z ziemi zeschnięte liście. Vance, pogrążony we własnych myślach, nawet nie zauważył jelenia stojącego niecałe pięćdziesiąt metrów od ścieżki.

Kierując się do domu Shane, powtarzał sobie w duchu, że przecież nie zamierzał jej oszukiwać. Kiedy się poznali, nie musiał się przed nią tłumaczyć. Uważał, że jego pozycja i zawód nie powinny jej interesować; zresztą przyjechał na prowincję, by uciec od swojego dawnego życia. Skąd mógł przypuszczać, że Shane zajmie tak ważne miejsce w jego sercu? Że po kilku tygodniach znajomości będzie chciał poprosić ją o rękę? Że gotów będzie wprowadzić drastyczne zmiany w swojej firmie, byleby tylko Shane nie musiała rezygnować z domu, sklepu i muzeum?

Rozdeptując butami zalegające ziemię liście, pocieszał się, że kiedy jej wszystko wyjaśni, Shane na pewno go zrozumie. Jedną z jej wielu cudownych cech była umiejętność wczuwania się w sytuację innych. Poza tym kochała go. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Kochała bezinteresownie. Jeszcze nikt

nie dał mu tak wiele, niczego nie oczekując w zamian.

Miał nadzieję, że kiedy już minie szok, Shane po prostu wybuchnie śmiechem. Pieniądze i pozycja społeczna nic dla niej nie znaczą. Pewnie szczerze rozbawi ją fakt, że prezes Rivertonu haruje w jej kuchni za parę marnych dolarów za godzinę.

Rozmowa o Amelii będzie o wiele trudniejsza, ale o pierwszym małżeństwie bezwzględnie musi Shane poinformować. Nie zamierzał nic ukrywać. Powie, że to dzięki niej pozbył się goryczy, uwolnił od wyrzutów sumienia. Tak, dziś ujawni swą przeszłość i poprosi Shane, by zechciała dzielić z nim przyszłość.

A jednak im bliżej był jej domu, tym większy targał nim niepokój. Może by go zignorował, gdyby nagle nie zauważył, że w żadnym oknie nie pali się światło. Dziwne, pomyślał, instynktownie przyspieszając kroku. Na pewno jest w domu; po pierwsze, na podjeździe stoi jej samochód, a po drugie, umówili się na kolację. Lecz na miłość boską, dlaczego wszędzie jest ciemno? Starając się odsunąć złe myśli, wbiegł na ganek.

Drzwi były otwarte. Wszedł bez pukania i zawołał Shane. Odpowiedziała mu cisza. Nacisnął kontakt; w sali muzealnej rozbłysło światło. Wszystko wyglądało normalnie. Z bijącym sercem Vance skierował się w głąb domu.

- Shane?

Cisza niepokoiła go bardziej od ciemności. Obszedłszy pośpiesznie parter, ruszył na górę. Wtem doleciały go zapachy z kuchni, ale kuchnia była pusta. Wyłączył piekarnik i wrócił do holu. Nagle przemknęło mu przez myśl, że może po zamknięciu sklepu Shane położyła się na moment i zdrzemnęła. Bardziej rozbawiony niż wystraszony otworzył drzwi sypialni. Uśmiech znikł z jego twarzy, kiedy zobaczył Shane zwiniętą na fotelu.

Panujący w pokoju mrok rozpraszały tylko wpadające przez okno promienie księżyca. Shane nie spała, po prostu siedziała skulona, z głową wspartą na podłokietniku. Nigdy nie widział jej w takim stanie. Wyglądała na zagubioną. Nie, na osobę chorą, cierpiącą. Spojrzenie miała tępe, oczy bez blasku, twarz trupioblada. Z drugiej strony podejrzewał, że nawet gdyby była powalona chorobą, nie straciłaby ochoty do życia.

Znalazł się przy niej w dwóch susach. Nie podniosła głowy, nie

zareagowała, kiedy wymówił jej imię. Kucając przed fotelem, ujął w ręce jej chłodne dłonie.

- Shane.

Przez kilka sekund wpatrywała się w niego niewidzącym wzrokiem, po czym - jakby nagle pękła tama - rzuciła mu się w ramiona.

- Vance! Och, Vance.

Drżała na całym ciele, ale nie płakała. Przyciskając twarz do piersi Vance'a, powoli tajała; wychodziła z odrętwienia, w jakie zapadła po wcześniejszym ataku płaczu. A on tulił ją do siebie, ogrzewał swym ciepłem i o nic nie pytał.

- Vance, jak dobrze, że jesteś. Tak bardzo cię potrzebuję.

Słowa te wywarły na nim ogromne wrażenie, niemal większe niż wcześniejsza deklaracja miłości. Dotąd sądził, że to on jej potrzebuje. Teraz przekonał się, że on również może służyć jej wsparciem i pomocą.

- Shane, co się stało? - Odsunął się parę centymetrów, by spojrzeć jej w oczy. - Możesz mi powiedzieć?

Z trudem wciągnęła powietrze. Mówienie kosztowało ją wiele wysiłku.

- Moja matka...

Delikatnie odgarnął jej włosy z twarzy.

- Jest chora? - spytał.

- Nie! - krzyknęła.

Zaskoczyło go to pełne furii zaprzeczenie.

- Powiedz, co się stało - poprosił łagodnie.

- Przy... przyjechała... - odparła szeptem, starając się nie stracić nad sobą panowania.

- Tutaj?

- Tak. Już zamykałam sklep. Nie spodziewałam się... Nie pojawiła się na pogrzebie, nawet nie odpisała na mój list. - Wbiła palce w jego dłoń.

- Spotkałyście się po raz pierwszy od śmierci babci? - spytał cicho.

- Nie widziałam Anne od ponad dwóch lat - rzekła suchym, beznamiętnym tonem, patrząc Vance'owi w oczy. - Wyszła za mąż za swojego agenta. Teraz się rozwiedli, więc przypomniała sobie o mnie. - Potrząsnęła głową. - Niemal uwierzyłam w jej szlachetne intencje i cudowną przemianę. Sądziłam, że



porozmawiamy od serca, że wszystko sobie wyjaśnimy. - Zaciśnęła powieki. - Ale to była gra, te jej łzy, ta rozpacz. Błagała mnie, żebym jej wybaczyła, żebym zrozumiała, a ja naiwna... - Wzdrygnęła się. - Nie przyjechała tu z powodu babci. Nie przyjechała, żeby zobaczyć się ze mną...

Kiedy otworzyła oczy, Vance ujrzał malujący się w nich ból.

- A po co? - spytał, najwyższym wysiłkiem woli zachowując spokój.

- Po pieniądze - odparła. - Myślała, że czeka tu na nią majątek. Była wściekła, że babcia wszystko mi zapisała w testamencie. Nie chciała uwierzyć w moje zapewnienia, że cała spuścizna ogranicza się do domu i ziemi. Cholera! Powinnam była wiedzieć! - Na moment zamilkła. - To nieprawda. Wiedziałam - przyznała cicho. - Zawsze wiedziałam. Nigdy o nikogo się nie troszczyła. Miałam nadzieję, że może na swój sposób kochała chociaż babcię, ale... Kiedy przybiegła na górę i zaczęła grzebać w moim biurku, nie wytrzymałam. Powiedziałam kilka przykrych rzeczy. I nie żałuję. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Oddałam jej połowę tego, co zostało, i kazałam się wynosić.

- Dałaś jej pieniądze? - zdziwił się Vance.

- Tak. Babcia tak samo by postąpiła. W końcu to moja matka.

Przepeliła go wściekłość. Z trudem pohamował furję. Zdawał sobie sprawę, że wybuch złości na niewiele się zda.

- Nie, to nie jest twoja matka - oznajmił twardo, a kiedy otworzyła usta, chcąc zaprotestować, szybko dodał: - Owszem, urodziła cię, ale wiesz, że to nic nie znaczy. To tylko biologia. Kotki też rodzą kociaki. - Objął ją mocniej. - Przepraszam, słonko. Nie chcę ci sprawić jeszcze większego bólu, ale...

- Nie, nie, masz rację. - Westchnęła ciężko. - Prawdę mówiąc, rzadko o niej myślę. Moje uczucia do niej... Po prostu babcia ją kochała i dlatego...

- I dlatego cierpisz? Dlatego masz wyrzuty sumienia?

- Bo jak można nie chcieć się więcej widzieć z własną matką? - spytała. - Babcia zawsze...

- Ty i twoja babcia to dwie różne osoby. Ale zastanów się, komu staruszka zapisała w spadku dom, ziemię, meble, pamiątki?

- Wiem, ale...

- Kiedy myślisz „matka”, kogo widzisz przed oczami?

Utkwiła w nim wzrok. Łzy wreszcie popłynęły jej po policzkach. Bez słowa oparła głowę na ramieniu Vance'a.

- Powiedziałaś Anne, że jej nie kocham. I tak jest, ale...

- Nic jej nie jesteś winna. - Przytulił ją mocno. - Znam się na wyrzutach sumienia; potrafią gnębić człowieka, targać jego duszą. Nie pozwól, żeby cię zniszczyły.

- Kazałam jej trzymać się ode mnie z daleka... - Ponownie westchnęła. - Wątpię jednak, żeby usłuchała.

- Chcesz tego? - spytał Vance. - Żeby znikła z twojego życia?

- Och, tak.

Przycisnął wargi do jej skroni, po czym wziął ją na ręce.

- Jesteś wykończona. Prześpij się godzinę...

- Nie, nie jestem zmęczona - skłamała, mimo że oczy się jej kleiły. - Po prostu boli mnie głowa. A kolacja...

- Wyłączyłem piekarnik - oznajmił, przenosząc ją do łóżka. - Zjemy później.

- Odrzuciwszy kołdrę, położył Shane na chłodnym prześcieradle. - Zaraz ci przyniosę aspirynę.

Kiedy chciał ją przykryć, złapała go za rękę.

- Vance... nie chodź. Zostań ze mną.

Uśmiechnąwszy się, pogładził ją po policzku.

- Dobrze, słoneczko. - Zsunął buty i wyciągnął się obok na materacu. - Spróbuj zasnąć - szepnął, zgarniając ją w ramiona. - Będę przy tobie.

Westchnęła głęboko, po czym zamknęła oczy. Poczul na skórze lekkie muśnięcie jej rzes.

Nie miał pojęcia, jak długo leżeli przytuleni. Shane przestała dygotać; oddychała wolno, równomiernie.

Trzymając ją w objęciach, opuszką palca gładził jej skroń. Zrozumiał, że kogoś o tak szlachetnym sercu równie łatwo skrzywdzić, jak uszczęśliwić. Jak to możliwe, pytał siebie, aby dziecko pozbawione miłości matczynej wyrosło na osobę tak radosną i pełną życia? Aż dziw, że nic jej dotąd nie załamało, ani odtrącenie przez matkę, ani zerwane zaręczyny, ani śmierć ukochanej babci.

Dziś jednak czara goryczy się przelała. Dziś Shane potrzebowała pomocy

kogoś bliskiego. Cieszył się, że to właśnie on może ukoić jej ból. Instynktownie przytulił się mocniej, jakby chciał ją ochronić przed wszelkim złem. Podjął też postanowienie: już nikt nigdy nie zada jej takiego bólu, jakiego dziś doznała od Anne Abbott. On się o to postara.

- Vance...

Wydawało mu się, że wymówiła przez sen jego imię. Delikatnie, by jej nie zbudzić, pocałował ją w czubek głowy.

- Vance... - Zmieniwszy pozycję, popatrzyła na niego lśnącymi w ciemności oczami. - Kochaj się ze mną.

Była to prośba nie tyle o namiętne pocałunki i karesy, ile raczej o bliskość i pociechę. Miał nadzieję, że zdoła okiełzać swe pożądanie i ograniczyć do delikatnych pieszczot.

Leciutko muskał wargami jej policzek; całował ją delikatnie, niczego nie żądając w zamian. Palcami gładził ją po twarzy i po karku, jakby wiedział, że właśnie tam tkwi źródło bólu. Powoli odprężała się.

Zaczął ją rozbierać, leniwie, niespiesznie, nie starając się jej podniecić. Fizycznie i emocjonalnie była zbyt wycieńczona, aby odczuwać pożądanie. Całował ją, tulił, ale nic ponadto. A ona w jego pieszczotach znajdowała ukojenie.

- Cii - szepnął, gdy chciała coś powiedzieć, i delikatnie przewrócił ją na brzuch.

Opuszkami palców i czubkiem języka masował jej ramiona i plecy. Wyciągał z niej napięcie i smutek, przywracał radość i nadzieję. Nie sądziła, że miłość może być tak cudowna, tak nieegoistyczna.

Stare łóżko kołysało się i cichutko skrzypiało. Shane westchnęła błogo. Po pewnym czasie poczuła pierwsze oznaki podniecenia. Coś w niej ożyło; oddech stał się przyśpieszony, serce zabiło mocniej.

Spostrzegłszy to, Vance odwrócił ją na wznak i przywarł ustami do jej ust. Odwzajemniła pocałunek. Nie zmienił jednak tempa, jego ręce wciąż leniwie błędziły po jej ciele. Pragnął Shane, lecz wiedział, że pośpiech jest niewskazany; że dziś jego ruchy i pieszczoty muszą być nienatarczywe. Dziś Shane jest jak porcelanowa figurka: śliczna, lecz krucha, ulotna jak promień księżycy.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Z nieba sypał gęsty śnieg, zakrywając czarną nawierzchnię szosy. Ciemne, bezlistne drzewa przybierały fantazyjne, iskrzące się bielą kształty. Wycieraczka miarowo przesuwiała się po szybie. Ani bajkowy krajobraz, ani wirujące płatki nie cieszyły siedzącego za kierownicą Vance'a. Właściwie nawet ich nie dostrzegał.

W ciągu dnia odbył parę rozmów telefonicznych, z których dowiedział się nieco więcej na temat Anne Abbottt, czy też Anny Cross, bo tak brzmiał jej artystyczny pseudonim. Po każdym telefonie jego wściekłość narastała. Opisując matkę, Shane była stanowczo zbyt wyrozumiała.

Anne Abbott miała za sobą trzy burzliwe małżeństwa. Każdy z jej mężów związany był z przemysłem filmowym. I każdego starała się maksymalnie wykorzystać, zanim go porzuciła dla nowego. Ostatni mąż, Leslie Stuart, a raczej jego prawnik, okazał się jednak bardzo przebiegły. Anne zakończyła małżeństwo w takim samym stanie posiadania, z jakim je rozpoczęła. A ponieważ kochała rzeczy luksusowe, szybko popadła w długi.

Pracowała nieregularnie; czasem pojawiała się w epizodach, czasem w reklamach. Talentu zbyt wielkiego nie miała, ale dzięki urodzie wystąpiła w dwóch czy trzech filmach pełnometrażowych. Być może zatrudniano by ją częściej, gdyby nie jej porywczy temperament i nadmierna pewność siebie. Śmietanka Hollywoodu nie tyle ją lubiła, co tolerowała, a i to raczej ze względu na jej mężów i kochanków niż na przymioty charakteru. Informatorzy Vance'a odmalowali portret pięknej, okrutnej intrygantki.

Jadąc po zasypanej śniegiem drodze, rozmyślał o Shane. Tulił ją przez całą noc, całował, pocieszał, słuchał, kiedy chciała się wygadać. Smutek malujący się w jej oczach na długo pozostanie w jego pamięci. Rankiem starała się być pogodna, ale widział, że nadal dręczy ją niepokój. A także strach, że Anne wróci i znów będzie się naprzykrzać. On nie mógł zmienić tego, co się stało, mógł jednak zapobiec przyszłym wizytom matki. I właśnie to zamierzał uczynić.

Skręcił na placyk przed przydrożnym motelem i zaparkował. Przez chwilę siedział bez ruchu, obserwując wirujące śnieżynki. Przed wyruszeniem w drogę nawet chciał powiedzieć Shane, że jedzie porozmawiać z jej matką, ale potem

zrezygnował z tego pomysłu. Podejrzewał, że stanowczo by się takiej rozmowie sprzeciwiła. Należała do kobiet, które same wolą rozwiązywać swoje problemy. Cenił ją za to, nawet podziwiał, ale tym razem postanowił ją wyręczyć.

Wysiadłszy z samochodu, ruszył po śliskim asfalcie do recepcji, by dowiedzieć się, w którym pokoju zatrzymała się Anne Abbott. Dziesięć minut później zastukał do jej drzwi.

Wyraz irytacji widoczny na jej twarzy ustąpił miejsca zaciekawieniu. Co za miła niespodzianka, pomyślała.

Przyglądając się jej chłodno, Vance stwierdził, że Shane nie przesadziła. Anne faktycznie była niezwykle piękną kobietą o dużych niebieskich oczach i burzy jasnych włosów. Ubrana w obcisły różowy szlafrok przedstawiała ponętny widok. Chociaż wizualnie stanowiła przeciwieństwo śniadej, kruczowłosej Amelii, wyczuł, że obie są ulepione z tej samej gliny.

- Dobry wieczór. - Głos miała zmysłowy, lekko ochryply, spojrzenie taksujące.

Próbował doszukać się jakiegoś podobieństwa między matką a córką, lecz go nie znalazł. Starając się ukryć wzgardę, rozciągnął wargi w uśmiechu. Bądź co bądź zależało mu na tym, by wejść do środka i odbyć z kobietą poważną rozmowę.

- Dobry wieczór, pani Cross.

Zauważył, że użycie jej artystycznego pseudonimu było mądrym posunięciem. Twarz kobiety rozjaśnił promienny uśmiech.

- Czy my się znamy? - spytała, koniuszkiem języka dotykając górnej wargi.  
- Wydaje mi się, że już się kiedyś widzieliśmy, ale nie potrafię sobie przypomnieć gdzie...

- Nazywam się Vance Banning - rzekł, nie spuszczać z niej oczu. - Mamy wspólnych znajomych. Hourbacków.

- Toda i Sheile? - Chociaż ich nie znosiła, nadała swemu głosowi entuzjastyczne brzmienie. - Ależ oczywiście! Proszę, niech pan wejdzie, zanim zamarnie pan na śmierć. Co za okropną pogodę mają w tej części Stanów.

Zamknąwszy za nim drzwi, na moment się o nie oparła. Może, przemknęło jej przez myśl, przyjazd w rodzinne strony okaże się jednak przyjemnością, a nie stratą czasu. Taki przystojniak dawno nie gościł w jej progach. W dodatku jeśli

facet zna Hourbacków, istniała szansa, że podobnie jak oni, śpi na pieniądzach.

- Jakież ten świat jest mały, prawda? - Odgarnęła za ucho kosmyk włosów. - Proszę powiedzieć: jak się miewają Sheila i Tod? Nie widziałam ich od wieków.

- Doskonale. Kiedy z nimi rozmawiałem, wspomnieli, że pani tu będzie. - Ponownie obdarzył ją uśmiechem. - Nie mogłem oprzeć się pokusie, żeby do pani nie zajrzeć.

- Och, błagam, mów mi po imieniu. Po prostu Anne. - Wzdychając ciężko, rozejrzała się po pokoju. - Przepraszam za tę ciasnotę, ale musiałam się tu zatrzymać, bo niedaleko mam pewną sprawę do załatwienia i... - Wzruszyła ramionami. - Mogłabym ci jednak zaproponować coś do picia. Mam whisky...

Dochodziła dopiero jedenasta rano, ale Vance bez zmruczenia oka odparł:

- Chętnie. Jeśli to nie kłopot.

- Żaden.

Zadowolona, że zapakowała na drogę jedwabny szlafrok i że jeszcze nie zdążyła go z siebie zdjąć, Anne podeszła do stolika. Spojrzawszy na swoje odbicie w lustrze, utwierdziła się w przekonaniu, że wygląda fantastycznie. Całe szczęście, że tuż przed pojawieniem się Vance'a nałożyła na twarz makijaż.

- A co ciebie sprowadza do nudnej małej miasteczka? - spytała, nalewając alkohol do szklanek. - Bo chyba nie pochodzisz z tych stron, prawda?

- Interesy. - Skinieniem głowy podziękował za whisky.

Anne na moment się zamyśliła, po czym nagle się rozpromieniła.

- Teraz sobie wszystko przypominam! Tod często o tobie mówił. Jeśli mnie pamięć nie myli, jesteś właścicielem Riverton Construction?

- Zgadza się.

- No, no, jestem pod wrażeniem. - Oblizła wargi. - To jedna z największych firm w kraju.

- Podobno.

Przyglądała mu się uważnie znad krawędzi szklanki, a on zastanawiał się, jak długo będzie z nim flirtować, zanim spróbuje zarzucić na niego sieć. Gdyby nie była matką Shane, z przyjemnością pozwoliłby jej zrobić z siebie idiotkę.

Usiadła na brzegu łóżka i podniosła szklankę do ust. Ciekawa była, ile czasu minie, zanim zacznie się do niej dobieierać. Czy bardzo powinna się bronić,

nim w końcu mu ulegnie?

- Powiedz, Vance, co mogę dla ciebie zrobić?

Posłał jej lodowate spojrzenie.

- Masz zostawić w spokoju Shane.

W innych okolicznościach grymas, jaki pojawił się na jej twarzy, byłby nawet komiczny. Anne wybałuszyła oczy, wykrzywiła usta.

- O czym ty mówisz?

- O Shane, twojej córce.

- Wiem, kim jest Shane - odparowała. - Co ona ma z tobą wspólnego?

- Zamierzam ją poślubić.

Szok ustąpił miejsca wesołości.

- Kogo? Shane? A to dobre! Moja mała córeczka złowiła wielką rybę? Nie doceniłam tej smarkuli. - Wbiła w Vance'a przenikliwy wzrok. - Lub przeceniłam ciebie.

Zacisnął dłoń na szklance.

- Uważaj, Anne.

Jego lodowate spojrzenie i znizony do szeptu głos podziały na nią otrzeźwiająco.

- No dobrze, chcesz poślubić moją córkę. I co mi do tego?

- Nic. Absolutnie nic.

Wstała z łóżka, pod maską obojętności skrywając niepokój i złość.

- Muszę do niej wpaść i jej pogratulować...

Vance ujął ją lekko za łokieć.

- Nie musisz. I nie wpadniesz. Spakujesz torby i wyjedziesz stąd.

Wyszarpnęła mu się.

- Co ty sobie myślisz? Że możesz mi rozkazywać?

- Radzić, nie rozkazywać - poprawił ją. - I dobrze by było, żebyś się do mojej rady zastosowała.

- Nie podoba mi się twój ton - warknęła. - Zamierzam odwiedzić córkę i...

- Po co? Nie dostaniesz już ani grosza. Możesz być tego pewna.

- Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz. Gówniara musiała ci naopowiadać jakichś bzdur...

- Uważaj, zanim cokolwiek więcej powiesz - ostrzegł ją Vance. - Wczoraj, zaraz po twoim wyjściu, widziałem się z Shane. Wcale nie musiała mi nic opowiadać. - Zmierzył ją pogardliwym spojrzeniem. - Znam takie kobiety jak ty, Anne. Nie rób sobie nadziei, bo więcej pieniędzy nie dostaniesz. A czek można bez trudu zablokować, więc... Dobrze ci radzę, pogódź się z tym, co masz, i wracaj do Kalifornii.

Rozzłościły ją słowa o zablokowaniu czeku. Psiakrew, powinna była wcześniej wstać i udać się do banku!

- Zamierzam zobaczyć się z córką. - Przywołała na usta szeroki uśmiech. - I zamierzam wygarnąć jej, co myślę o jej guście, jeśli chodzi o facetów.

Popatrzył na nią znużonym wzrokiem, co ją jeszcze bardziej zirytowało.

- Nie zobaczysz się z Shane.

- Nie możesz mi zabronić.

- Mogę. I zrobię to. Jeżeli spróbujesz się z nią skontaktować, jeżeli zechcesz wyciągnąć od niej choćby jednego dolara albo ją skrzywdzić, będziesz miała ze mną do czynienia.

Po raz pierwszy od przybycia Vance'a poczuła ukłucie strachu. Cofnęła się o krok.

- Nie odważyłbyś się mnie tknąć.

- Tak myślisz? Zresztą nie sądzę, żeby do tego doszło. - Odstawił na stolik szklankę z whisky. - Mam wielu znajomych w branży filmowej, Anne. Starych przyjaciół, klientów, współpracowników. Wystarczy, że odpowiedniej osobie szepnę słówko, a na zawsze możesz pożegnać się z karierą.

- Jak śmiesz mi grozić! - syknęła wściekła, a zarazem wystraszona.

- To nie groźba, to obietnica - rzekł. - Jeżeli wyrządzisz Shane najmniejszą krzywdę, drogo za to zapłacisz. Ona nie jest ci nic winna.

Anne Abbott postąpiła krok naprzód.

- Mam prawo do połowy spadku. Majątek mojej babki powinien być równo podzielony między nas dwie.

Vance uniósł brwi.

- Równy podzielony? Hm, musisz być bardzo zdesperowana, jeśli pięćdziesiąt procent majątku mogłoby cię zadowolić. - Wzruszył ramionami. - Ale



nie zamierzam omawiać z tobą kwestii prawnych, a tym bardziej moralnych i etycznych. Po prostu przyjmij do wiadomości, że to, co dostałaś wczoraj, to wszystko, co otrzymasz. Na więcej nie licz.

Skierował się w stronę drzwi. Niczym tonący, który brzytwy się chwyta, Anne rzuciła się na łóżko i zaczęła szlochać.

- Och, Vance, nie bądź okrutny. - Utkwiła w nim zaczerwienione oczy. - Nie wzbraniaj mi spotkania z córką! To moje jedyne dziecko.

Przez chwilę milczał, po czym pokiwał wolno głową.

- Brawo. Jesteś znacznie lepszą aktorką niż piszą krytycy. - Zamykając za sobą drzwi, usłyszał brzęk tłuczonej szklanki.

Anne poderwała się z łóżka, chwyciła drugą szklankę i nią też cisnęła w ścianę. Nikt nie będzie jej groził! Ani się z niej wyśmiewał, dodała w myślach, przypominając sobie sardoniczne spojrzenie Vance'a. Pożałuje drań! Już ona się o to postara. Usiadła na łóżku, próbując odzyskać spokój. Musi się skupić, zastanowić, w jaki sposób może się na nim zemścić.

Zacisnęła powieki. Skoncentruj się! Riverton Construction, Riverton Construction, powtarzała w duchu. Może jakiś skandal się tam wydarzył? Może... Zniechęcona, rzuciła poduszkę na podłogę. Psiakrew, nic jej nie przychodziło do głowy. Ale nic dziwnego. Nigdy wcześniej nie interesowała się jakąś durną firmą budującą centra handlowe i szpitale.

Chwyciła drugą poduszkę; już zamierzała ją cisnąć przez pokój, kiedy nagle coś zaczęło kielkować w jej pamięci. Zaraz, zaraz, skandal... związany nie z firmą, lecz... to było kilka lat temu... Ludzie na przyjęciu szeptali o... Cholera! Nie była w stanie odtworzyć szczegółów. Może Sheila Hourback jej pomoże? Może to stare nudne babsko w końcu na coś się przyda? Zerwawszy się z łóżka, podbiegła do telefonu.

Shane z zaferowaniem opowiadała trzem zasłuchanym chłopcom szczegółowy przebieg bitwy nad potokiem Antietam, kiedy do sklepu wmaszerował Vance. Posłała mu uśmiech. Głos miała rześki, ale wciąż była blada. To go przekonało, że słusznie postąpił, odwiedzając jej matkę. Wiedział, że dziewczyna wkrótce dojdzie do siebie, ale nie w tym rzecz. Po prostu każdy ma

kres wytrzymałości; ileś może znieść, a potem...

Spostrzegłszy Pat, która odkurzała ekspozyty, Vance podszedł się przywitać.

- Hej. - Uśmiechnęła się przyjaźnie. - Co u ciebie?

- W porządku. - Zerknął w bok, sprawdzając, czy Shane wciąż jest zajęta. - Słuchaj, chciałem z tobą pogadać o tym komplecie mebli do jadalni.

- No tak, jeszcze nie sprostowałam całego nieporozumienia. Shane mówiła...

- Chcę go kupić.

- Ty?

- Tak, dla Shane. Pod choinkę.

- Ojej, to cudownie! - ucieszyła się. W głębi duszy była romantyczką. - Te meble należały do jej babci. Shane je uwielbia.

- Wiem. Mimo to uparła się je sprzedać. - Podniósł w zadumie porcelanową filiżankę. - Z kolei ja uparłem się je kupić. Ona jednak się temu stanowczo sprzeciwia. - Mrugnął porozumiewawczo do dziewczyny. - Ale przecież nie może odmówić przyjęcia prezentu gwiazdkowego, prawda?

- Prawda - przyznała z szerokim uśmiechem Pat, doceniając przebiegłość Vance'a. A zatem w plotkach, które krążą po miasteczku, tkwi ziarno prawdy, pomyślała uradowana. Shane i Vance mają się ku sobie. - Tylko że... ten komplet jest piekielnie drogi.

- Nie szkodzi. Zaraz wystawię ci czek... - Nagle Vance uzmysłowił sobie, że wkrótce cały Sharpsburg będzie szumiał o jego bogactwie. Postanowił, że musi jak najszybciej porozmawiać z Shane. - Przyczep kartkę „Sprzedane”. - Zobaczywszy, że trzej chłopcy szykują się do wyjścia, dodał pośpiesznie: - Ale nic nie mówi Shane. Chyba że sama spyta.

- W porządku. Zresztą jeśli spyta, powiem, że klient prosił o przechowanie mebli aż do świąt.

- Doskonały pomysł. Dzięki.

- Vance... - Pat zniżyła głos do szeptu. - Ona jest dziś jakaś smutna. Może byś ją gdzieś zabrał i spróbował rozweselić? Albo... - urwała. - Jak ty to robisz, Shane? - zwróciła się do swojej szefowej. - Przez dwadzieścia minut te małe

potworki słuchały cię z zapartym tchem. To synowie Clinta Drummonda - wyjaśniła Vance'owi.

- Z powodu opadów śniegu zamknięto szkołę. - Shane odruchowo wyciągnęła rękę w stronę Vance'a. - Chłopcy przyszli spytać o dokładny przebieg bitwy nad Antietam. Zamierzają urządzić własną. Na śnieżki.

- Weź kurtkę - powiedział Vance, cmokając ją w czoło.

- Co?

- I czapkę. Na dworze jest zimno.

Roześmiała się wesoło.

- Wiem, głuptasie. Spadło już piętnaście centymetrów śniegu.

- Więc powinniśmy jak najszybciej ruszać. - Klepnął ją przyjaźnie w pupę. - I nie zapomnij o śniegowcach. Tylko się pośpiesz.

- Przecież jest środek dnia - sprzeciwiła się. - Nie mogę zostawić wszystkiego na głowie Pat.

- Wychodzimy w sprawach służbowych - oznajmił z powagą. - Musisz kupić choinkę.

- Nie za wcześnie?

- Czy nie za wcześnie? - Pokręcił z niedowierzaniem głową. - Zostały dwa tygodnie do świąt. Większość przyzwoitych sklepów wystawiła choinkę już na początku grudnia.

- Wiem, ale...

- Żadne ale - przerwał. - Musisz zadbać o świąteczny wystrój. Według najnowszych badań, w świątecznie udekorowanym sklepie ludzie wydają prawie o trzysta procent więcej niż w tym samym sklepie, kiedy nie jest udekorowany.

Shane zmrużyła oczy.

- Niby kto prowadził te badania?

- Centrum Badań Atmosfery Świątecznej - odparł Vance.

Po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin wybuchnęła szczerym śmiechem.

- Ale z ciebie kłamczuch!

- Wcale nie. Zresztą co za różnica? Bierz kurtkę.

- Ale, Vance...

- Och, Shane, nie upieraj się. - Pat popchnęła ją lekko w stronę schodów. - Przecież sama sobie poradzę. W taką pogodę klienci nie będą walić oknami i drzwiami. A poza tym - dodała przebiegle, wyczuwając nastrój swojej pracodawczyni - miło by było mieć drzewko. Przygotuję dla niego miejsce w oknie, dobrze? - Nie czekając na odpowiedź, zaczęła przesuwać meble.

- Biegiem. I nie zapomnij o rękawiczkach - dorzucił Vance, kiedy Shane się zawahała.

- No dobrze. - Poddała się. - Za moment wrócę.

Dziesięć minut później siedziała obok Vance'a w jego furgonetce.

- Ojej, jak pięknie! - zawołała, rozglądając się wokół. - Uwielbiam pierwszy śnieg. Patrz, mali Drummondowie.

Spojrząwszy we wskazanym kierunku, zobaczył trzech urwisów okładających się kulkami śnieżnymi.

- Bitwa rozpoczęła.

- Zdaje się, że generał Burnside ma problemy... - Popatrzyła ponownie na Vance'a. - O czym szeptalesz z Pat, kiedy poszłam na górę?

- Próbowałem się z nią umówić na randkę. Ładna z niej dziewczyna.

- Tak uważasz? Szkoda by było, gdyby przed samymi świętami straciła pracę.

- Chciałem tylko nawiązać przyjazne stosunki... - Zatrzymawszy się przy znaku stopu, zgarnął Shane w ramiona i pocałował. - Robisz taką zabawną minę, kiedy usiłujesz się nie roześmiać. No, zrób ją jeszcze raz.

Oswobodziła się z jego objęć.

- Nie ma nic śmiesznego w wyrzucaniu ludzi z pracy - odparła, poprawiając czapkę. - Skręć w prawo.

Nie posłuchał; zamiast tego ponownie ją pocałował. Ostry dźwięk klaksonu przywołał ich do porządku. Shane ponownie się zaśmiała.

- No widzisz? Teraz szeryf cię zaaresztuje za zakłócanie ruchu drogowego.

- Jeden niecierpliwy gość w buicku to za mało jak na ruch drogowy - oznajmił Vance, posłusznie skręcając. - Można spytać, dokąd jedziemy?

- Owszem. Kilka kilometrów stąd jest takie miejsce, szkółka leśna, gdzie można wykopać dla siebie drzewko.

- Wykopać? - Popatrzył na nią z powątpiewaniem.  
- Wykopać - powtórzyła. - Według ostatnich badań prowadzonych przez grupę miłośników przyrody...

- W porządku - przerwał jej. - Wykopiemy...

Pochyliwszy się, pocałowała go w ramię.

- Kocham cię, wiesz?

Kiedy dotarli do szkółki leśnej, opady śniegu zelżały. Shane chodziła od drzewka do drzewka, każde dokładnie oglądała i do każdego zgłaszała jakieś zastrzeżenia. Twarz miała zaczerwienioną z zimna, ale odzyskała dawny wigor. Vance z przyjemnością ją obserwował. Cieszył się, że tak prosta czynność jak wybór choinki sprawia jej tyle radości.

- Ta! - zawołała, stając przy zgrabnej, rozłożystej sośnie.

- Na moje oko niczym się nie różni od pozostałych pięciuset - mruknął Vance, wbijając łopatę w zaśnieżoną ziemię.

- Bo patrzysz okiem laika - stwierdziła protekcyjnym tonem, po czym odskoczyła z piskiem, kiedy Vance chwycił garść śniegu i wtarł go jej w twarz. - W każdym razie - dodała po chwili, jakby nigdy nic - bierzemy tę sosnę. Kop.

Cofnąwszy się, skrzyżowała ręce na piersi.

- Tak jest, szefowo. Robi się. - Nagle coś sobie uświadomił. - Pewnie będziesz chciała, żebym wykopał kolejny dół, w którym zasadzimy drzewko po świętach?

- To świetny pomysł - przyklasnęła. - I znam doskonałe miejsce. Ale potrzebny będzie kilof, bo sporo tam kamieni.

Ignorując jęk sprzeciwu Vance'a, wezwała sprzedawcę, który starannie owinął korzenie w brezent, następnie zapłaciła za drzewko i ruszyła z powrotem do samochodu.

- Psiakrew, Shane. Chciałem ci zafundować choinkę.

- Choinka ma być ozdobą sklepu - stwierdziła - dlatego zapłaciłam za nią z pieniędzy sklepowych. Tych samych, którymi płacę za nowy towar i za elektryczność.

Zajechali pod dom. Widząc irytację na twarzy Vance'a, Shane obeszła furgonetkę i pocałowała go w policzek.

- Nie gniewaj się. Naprawdę doceniam twoje dobre chęci. Jeśli koniecznie chcesz wydać pieniądze, kup mi coś innego.

- Na przykład?

- Nie wiem. Zawsze marzyłam o czymś szalonym i ekstrawaganckim...  
Może nauszniki z szynszylki?

Z trudem zachował powagę.

- Musiałabyś je nosić.

Wspięła się na palce i nadstawiła usta do pocałunku. Kiedy pochylił się, wsunęła mu za kołnierz garść śniegu. Słyszając siarczyste przekleństwo, zaczęła uciekać. Spodziewała się dostać śnieżką w plecy, ale nie spodziewała się, że podcięta przez Vance'a wyląduje jak długa w białym puchu.

- Och, ty! A ja myślałam, że jesteś dzentelmenem! - krzyknęła, wypluwając z ust śnieg.

Vance siedział nieopodal, zaśmiewając się.

- Zaśnieżona wyglądasz o wiele ponętniej niż zabłocona.

Podniósłszy się na kolana, rzuciła się na niego. Stracił równowagę i osunął się na plecy, a ona zwała mu się na brzuch. Zanim zdołała wstać, Vance przetoczył się i przygwoździł ją do ziemi. Wiedziała, że go nie pokona. Zrezygnowana, zamknęła oczy i czekała, aż natrze jej twarz śniegiem. Zamiast zimnego śniegu poczuła jednak na wargach ciepłe usta. Przyciągnęła go bliżej, gorliwie odwzajemniając pocałunek.

- Poddajesz się? - zapytał.

- Nie! - odparła, obejmując go jeszcze mocniej.

Zapomniał o tym, że leżą na śniegu w biały dzień. Nie czuł zimna ani wilgoci, przeszkadzały mu tylko grube kurtki, szaliki, rękawice...

- Pragnę cię - szepnął, na moment odrywając usta od jej warg. - Chciałbym się z tobą kochać, tu i teraz.

Nagle w panującą wokół ciszę wdarł się szum nadjeżdżającego samochodu.

- Powiniennem był cię zabrać do siebie - mruknął, pomagając Shane dźwignąć się na nogi.

- Za dwie godziny zamykam - szepnęła mu do ucha.

Podczas gdy Shane zajmowała się klientami, którzy krążyli po sklepie,

wszystkiego dotykając, a niczego nie kupując, Vance zajął się choinką. Umieścił ją w donicy, po czym kierując się wskazówkami Shane, udał się na strych po pudła ze świątecznymi ozdobami.

Zapadał zmierzch, kiedy znów zostali sami. Ponieważ Shane wciąż była blada, Vance zmusił ją, by coś przekąsiła, zanim przystąpią do ubierania choinki. Zjedli po kawałku pieczeni, której wczoraj żadne z nich nie tknęło.

Siedząc przy stole, Shane znów przypomniała sobie wizytę matki. Próbowwała odpędzić od siebie ponure myśli, ukryć przygnębienie. Szczebotała wesoło, na siłę udając, że wszystko jest w porządku.

- Przestań. - Vance ujął ją za rękę. - Przy mnie nie musisz udawać.  
Uścisnęła jego dłoń.  
- Wiem. Po prostu czasem nachodzi mnie chandra...  
- Jestem przy tobie. Zawsze możesz się na mnie wesprzeć. - Podniósł jej rękę do ust.

- Przytul mnie - poprosiła drżącym głosem.  
Wziął ją w objęcia i przytulił. Po chwili poczuł, jak Shane się odprężyła.  
- Zachowuję się jak idiotka. Nie cierpię tego.  
- Nie mów tak. - Nagle podjął decyzję: nie będzie miał przed nią żadnych tajemnic. - Słuchaj, dziś rano widziałem się z twoją matką.

- Co takiego?  
- Nie zamierzam patrzeć, jak przez nią cierpisz. Dałem jej wyraźnie do zrozumienia, że jeżeli znów zacznie ci się naprzykrzać, będzie miała ze mną do czynienia.

Odwróciła głowę.  
- Nie powinieneś być...  
- Kocham cię, Shane! - przerwał jej. - Nie licz na to, że pozwolę jej, aby cię niszczyła i unieszczęśliwiała.

- Sama sobie poradzę, Vance.  
- Nie. - Obrócił ją twarzą do siebie. - Z wieloma sprawami świetnie sobie radzisz, ale z nią nie zdołasz wygrać. Ona stosuje paskudne metody walki. - Poglądził ją palcem po brodzie. - A gdybym to ja cierpiał, co byś zrobiła?

- Mam nadzieję - odparła po chwili zadumy - że postąpiłabym tak samo jak

ty. Dziękuję. - Pocałowała go lekko w usta. - Ale nie opowiadaj mi o spotkaniu z Anne, dobrze? Resztę dnia chcę spędzić w przyjemnym nastroju.

- Dobrze, dziś już żadnych więcej ponurości - przyrzekł, odkładając zwierzenia na później.

- Ubierzemy choinkę - powiedziała. - A potem będziemy się pod nią kochać.

- Nie zgłaszam sprzeciwu - rzekł z uśmiechem. - Ale może by odwrócić kolejność? Najpierw pieszczoty, a potem choinka?

- Bez lampek nie będzie świątecznej atmosfery - oznajmiła z powagą, otwierając pudła z dekoracjami.

- Chcesz się założyć?

- Nie. - Roześmiała się wesoło. - Ale najpierw lampki. - Wyciągnęła starannie zwinięty sznur.

Z każdą ozdobą wiązała się jakaś anegdota. Przez godzinę Shane snuła opowieści. Wydobywszy z pudła czerwoną, aksamitną gwiazdę, przypomniała sobie, jak ją robiła dla babci. Łzy stanęły jej w oczach. Bała się świąt Bożego Narodzenia. Chyba nie zdołałaby ich spędzić w samotności. Nie byłaby w stanie kupić drzewka, powiesić bombek...

Patrzyła, jak Vance zawiesza srebrzyste łańcuchy. Babcia na pewno by go pokochała, przemknęło jej przez myśl. A on ją. Szkoda, że dwie osoby, które kochała najbardziej w świecie, nigdy się nie spotkały.

Zadumała się. Jeśli wkrótce Vance nie poprosi mnie o rękę, sama mu się oświadczę, postanowiła. Posłała mu figlarny uśmiech.

- O czym myślisz? - spytał.

- O niczym - skłamała. Odeszła parę kroków, żeby obejrzeć całość. - Idealnie.

Zadowolona skinęła głową, po czym wyjęła starą srebrną gwiazdę, która zawsze zdobiła czubek drzewka.

- Bez drabiny jej nie umocuję - oświadczył Vance.

- E, wystarczy, jak ci usiądę na ramionach.

- Na górze jest drabina...

- Och, nie marudź. - Wskoczyła mu zgrabnie na barana, nogami ścisnęła go



w pasie, po czym zaczęła wspinać się wyżej, na ramiona. - Teraz sięgniemy bez problemu. No dobra, daj gwiazdę.

Podał jej ozdobę i z całej siły przytrzymał ją za kolana.

- Psiakość, Shane. Nie przechylaj się tak mocno, bo zaraz runiesz.

- Nie bądź śmieszny. Mam znakomite poczucie równowagi. O, już! - zawołała, nasadziwszy gwiazdę. Z rękami wspartymi na biodrach, przez moment podziwiała swe dzieło. - Wygląda przepięknie. I całym pokojem unosi się leśny zapach.

- Trzeba zgasić górne światło.

Z Shane na ramionach podszedł do ściany i nacisnął kontakt. Drzewko przystrojone kolorowymi lampkami jakby odżyło w ciemnościach.

- Och, tak. Tak jest cudownie.

- Nie... - Vance ułożył Shane na dywanie przed choinką. - Dopiero teraz jest cudownie.

Dziś oboje byli niecierpliwi. Zdzierali z siebie ubranie, nie potrafiąc ukryć podniecenia. Nie zwracali uwagi na kolorowe światełka i żywiczny zapach, tak jak wcześniej, leżąc przed domem, nie zwracali uwagi na zimny śnieg.

Byli sami. Byli razem.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Nazajutrz nie mogła się skupić na pracy. Mimo że sprzedała kilka rzeczy, między innymi stolik z opuszczanym blatem, który przez wiele godzin mozolnie odnawiała, od rana myślami była gdzie indziej. Może dlatego nie zauważyła karteczki z napisem „Sprzedane”, którą Pat przyczepiła do kompletu hepplewhite'a w miejsce kartki z ceną.

Vance. Bez przerwy o nim myślała. Przyłapała się na tym, że co rusz zerka na choinkę. Nigdy w najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że może doświadczyć czegoś tak wspaniałego. Każdy jego dotyk, każdy pocałunek był nowym odkryciem. A jednocześnie miała wrażenie, jakby znali się od lat.

Wiedziała, że łączy ich prawdziwe uczucie, głębokie i trwałe. Nie był to żaden przelotny romans. Ponownie zerknąwszy na świątecznie przystrojoną choinkę, uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa.

- Proszę pani! - zawołała niecierpliwie klientka rozważająca zakup krzesła z wysokim zapieckiem.

- Przepraszam. - Uśmiech na twarzy Shane wciąż nosił ślady rozmarzenia. - Piękne krzesło, prawda? Siedzisko poddano konserwacji, zmieniono plecionkę... - Odwróciła mebel do góry nogami, demonstrując dobrze wykonaną robotę.

- No tak, bardzo mi się podoba. - Kobieta zawahała się. - Tylko cena...

Wzdychając w duchu, Shane przystąpiła do negocjacji.

Około południa ruch w sklepie zmalął. Poranny utarg może nie był oszałamiający, ale na tyle duży, że przestała się martwić o swój stan finansów, uszczuplony o kwotę wypłaconą matce. Poza tym zbliżają się święta, ludzie kupują prezenty. Wystarczy kilka większych transakcji, aby oddalić widmo bankructwa. Nie zależało jej na wzbogaceniu się, po prostu nie chciała mieć długów.

Jeśli zaś chodzi o życie osobiste, to zamierzała poślubić Vance'a. Może duma nie pozwalała mu prosić jej o rękę; bądź co bądź, nie mając stałej pracy, mógł się obawiać, że nie zarobi na utrzymanie. Ale to nic. Ona go przekona, że jednak powinni być razem. Postanowiła jeszcze dziś odbyć z nim rozmowę. Dziś nic nie może pójść źle. Czowała to. Tak, oświadczy się mężczyźnie, którego kocha, a potem...

- Pat, poradzisz sobie, jeśli zostawię cię samą na godzinę?

- Pewnie. Zresztą niewiele się dzieje. - Szwagierka Donny podniosła wzrok znad stołu, który polerowała. - Wybierasz się na kolejną aukcję?

- Nie. Na piknik.

W niecałe dziesięć minut przygotowała kosz z prowiantem. Butelka zimnego chablis nie bardzo pasowała do kanapek z masłem orzechowym, ale akurat tym się Shane nie przejmowała. Wybiegając z domu, wyobraziła sobie, jak przed kominkiem w salonie Vance'a rozkłada na podłodze kraciasty obrus.

Zeszła z ganku na mokry śnieg. Idealny dzień na piknik, pomyślała, wymachując koszem. Iskrzące się bielą szczyty gór, pozbawione liści drzewa, błękitne niebo, cisza przerywana melodyjnym odgłosem kapania z dachu oraz szumem strumyka pod cienką warstwą lodu. Na moment przystanąła, wsłuchując się w mieszaninę dźwięków. Uczucie euforii narastało.

I nagle panujący wokół spokój zakłócił warkot silnika. Shane obejrzała się przez ramię i kiedy rozpoznała samochód Anne, przystanąła w pół kroku. Radość, jaka towarzyszyła jej od rana, ulotniła się.

Anne Abbott, ubrana w futro z lisa, kapelusz oraz botki z cielejcej skóry, z wdziękiem brnęła przez śnieżną breję, uśmiechając się z zadowoleniem. W jej uszach połyskiwały kolczyki z rubinami - lub doskonałą imitacją. Swoim zwyczajem, musnęła córkę w policzek, mimo że ta tkwiła bez ruchu, nie kryjąc niechęci. Po chwili Shane postawiła kosz na dolnym stopniu ganku.

- Złotko, musiałam wpaść do ciebie przed wyjazdem - oznajmiła Anne z promiennym uśmiechem.

- Wracasz do Kalifornii?

- Tak. Dostałam wspaniały scenariusz. Najbliższych kilka tygodni spędzę na planie... - Wzruszyła ramionami. - Ale nie po to przyjechałam.

Shane wpatrywała się w matkę z niedowierzaniem. Ta kobieta jest kompletnie wyzuta z uczuć, pomyślała; zachowuje się tak, jakby ohydny incydent sprzed paru dni nigdy się nie wydarzył. Najwyraźniej nic dla niej nie znaczył.

- A po co?

- No jak to po co? Żeby ci pogratulować!

- Pogratulować? - Shane uniosła brwi.

Może odziedziczyła jakieś geny po Anne Abbott, ale to o niczym nie świadczy. Nie geny tworzą więź między matką a córką, lecz miłość, a przynajmniej szacunek.

- Nie sądziłam, że cię na to stać, moja mała. Jestem mile zaskoczona.

- O co ci chodzi, Anne? - Shane westchnęła. - Właśnie wychodziłam. Nie mam czasu na...

- Och, nie złość się - przerwała jej matka. - Naprawdę się cieszę, że przygruchałaś sobie takiego faceta.

- Słucham? - spytała lodowatym tonem. - Jakiego faceta?

- Vance'a Banninga, złotko. Świetna partia!

- Nigdy bym go tak nie określiła. - Shane schyliła się po koszyk.

- Lepiej nie można trafić! Prezes Riverton Construction to wielka zdobycz.

Palce Shane znieruchomiały na rączce od koszyka. Prostując się, popatrzyła matce w oczy.

- O czym ty mówisz?

- O twoim niebывалым farcie. Ten facet ma forsy jak lodu. Jeśli dalej będziesz chciała zajmować się antykami, możesz sobie nimi zappełnić cały pałac. - Anne roześmiała się perliście. - I kto by pomyślał? Moja niewinna córeczka zarzuca wędkę i od razu wylawia rekina! Gdybym miała więcej czasu, nalegałabym, żebyś zdradziła mi tajemnicę swojego sukcesu...

- Nie wiem, o czym mówisz - wymamrotała Shane. Najchętniej wzięłaby nogi za pas i uciekła, ale nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu.

- Diabli wiedzą, dlaczego postanowił zaszyć się na zadupiu - ciągnęła Anne. - Ale ciesz się, że tak się stało. Pewnie zatrzyma tę swoją wiejską rudere, prawda? I będziecie tu przyjeżdżać, kiedy zmęczy was wytworne życie w Waszyngtonie? - Wyobraziła sobie okazałą rezydencję, w której zamieszka jej córka, liczną służbę, wspaniałe przyjęcia. - Wprost nie mogłam uwierzyć, kiedy dowiedziałam się, że upolowałaś właściciela największej firmy budowlanej w kraju.

- Riverton Construction... - powtórzyła szeptem Shane.

- Tak, złotko. Co prawda trochę się lękam, jak ty sobie poradzisz w jego świecie... - Zawiesiła głos, szykując się do zadania ostatecznego ciosu. - Szkoda

tylko, że w życiu Banninga miał miejsce ten brzydki skandal... - Utkwiła wzrok w córce. - Mam na myśli jego pierwszą żonę. Straszna sprawa.

- Żonę? - szepnęła Shane. Miała wrażenie, że za moment zemdleje. - Żonę Vance'a?

- Tylko mi nie mów, że ci o niej nie wspomniał! - Anne potrząsnęła ze współczuciem głową. Właśnie na taką reakcję liczyła. - To okropne! I takie typowe, nie uważasz? Kłamstwo zwykle ma krótkie nogi... - Westchnęła z dezaprobatą, ciesząc się na myśl o tym, co czeka Vance'a. O uczuciach córki w ogóle nie myślała. - W porządku, nie chciał wyjawiać ci wszystkich koszmarnych szczegółów, ale przynajmniej mógł powiedzieć, że już raz był żonaty.

- Nie... - Shane z trudem przełknęła ślinę. - Nie rozumiem.

- Żona Vance'a odznaczała się wielką urodą - ciągnęła Anne. - Była piękna, może zbyt piękna. - Na moment urwała. - Kochanek strzelił jej prosto w serce. Taka jest wersja Banningów.

Widząc szok malujący się na twarzy córki, poczuła głęboką satysfakcję. O tak, pomyślała, nie będzie mnie Vance Banning szantażował!

- Szybko całą sprawę wycisz yli. - Machnęła lekceważąco dłonią. - No cóż, czas na mnie. Nie chcę się spóźnić na samolot. *Ciao*, złotko. Pilnuj dobrze swego milionera. Podejrzewam, że wiele kobiet chętnie by ci go ukradło... - Przyłożyła rękę do włosów córki. - Pewnie Banningowi twoja fryzura wydaje się urocza, ale na miłość boską, dziecko, idź do fryzjera. I zadbaj o to, żeby twój bogacz, zanim się tobą znudzi, dał ci pierścionek zaręczynowy...

Cmoknąwszy córkę w policzek, ruszyła pośpiesznie do samochodu, zadowolona, że udało jej się zemścić na Vansie za doznane upokorzenie.

Shane tkwiła w miejscu jak skamieniała. Patrzyła na matkę, ale jej nie widziała. Nic nie widziała. Zszokowana, nawet nie czuła bólu.

Promienie słońca iskrzyły się na śniegu. Chłodny wiatr targał połami kurtki. Czerwony kardynał sfrunął z wyższej gałęzi i osiadł wygodnie na niższej. Do Shane nic nie docierało.

Dopiero po paru minutach tryby w jej głowie zaczęły się wolno obracać. To nieprawda, powiedziała do siebie. Z jakiegoś powodu matka ją okłamała; wysłała sobie wszystko z palca. Vance prezesem Rivertonu? Nie. Twierdził, że jest

stolarzem. Na własne oczy widziała, jak piłuje, hebluje... Sama zaproponowała mu pracę, którą ochoczo przyjął. Nie pracowałby u niej, gdyby to, co Anne mówiła, było prawdą.

Już raz był żonaty? Nie, przecież by jej powiedział. Kochał ją. Nie okłamywałby jej. Po co udawałby stolarza, gdyby był szefem jednej z największych firm budowlanych w kraju? To nie ma sensu.

Nagle na końcu ścieżki zobaczyła Vance'a. I kiedy obserwowała go, zbliżającego się, raptem wszystko zaczęło jej się w głowie układać. Boże, jaka była głupia!

Spostrzegłszy ją, Vance uśmiechnął się i przyspieszył kroku. Dzieliło ich jeszcze z dziesięć metrów, kiedy zauważył zboląły wyraz jej twarzy - taki sam jak przed paroma dniami.

- Shane?

Ostatnich kilka metrów podbiegł. Cofnęła się.

- Kłamca - wyszeptwała. Jej oczy oskarżały go, a jednocześnie błagały, by temu zaprzeczył. - Wszystko, co mówiłeś... to same kłamstwa.

- Shane...

- Nie! Nie dotykaj mnie!

Ręka, którą do niej wyciągnął, zawisła w powietrzu. Domyślił się, że dziewczyna poznała prawdę.

- Pozwól mi wytłumaczyć.

- Wytłumaczyć? - Przeczesła palcami włosy. - Jak? Co? To, że udawałeś kogoś innego? To, że mi nie powiedziałeś o Rivertonie? Ani o tym, że miałeś żonę? Ufałam ci... Boże, jak mogłam być taką idiotką!

Ze złością jakoś by sobie poradził. Ale z rozpaczą i zwątpieniem nie umiał.

- Powiedziałbym ci, Shane. Zamierzałem...

- Zamierzałeś? - Roześmiała się nerwowo. - Kiedy? Gdyby znudziła ci się zabawa w stolarza?

- Ja... nie oszukałem cię.

- Nie? - Oczy lśniły jej od łez. - Pozwoliłeś, żebym cię u siebie zatrudniła. Żebym płaciła ci sześć dolarów za godzinę. Żebym...

- Nie chciałem twoich pieniędzy. Próbowałem ci to wyjaśnić, ale nie

słuchałaś. - Odwrócił się, usiłując ukryć zdenerwowanie. - Czeki leżą zdeponowane na koncie, które założyłem na twoje nazwisko.

- Jak śmiesz! - krzyknęła. Zdrada, jakiej się wobec niej dopuścił, przepełniała ją piekącym bólem. - Jak śmiesz się ze mnie naigrawać! Wierzyłam ci! Wierzyłam w każde twoje słowo. Myślałam, że... że ci pomagam, a ty się ze mnie śmiałeś!

- Nigdy się z ciebie nie śmiałem. - Chociaż prosiła, by jej nie dotykał, chwycił ją za ramiona. - Dobrze o tym wiesz.

- W twarz nie, ale za moimi plecami... Boże, jakiś ty cwany, Vance! Jaki przebiegły! - Załkała.

- Shane, gdybyś wiedziała, dlaczego tu przyjechałem, dlaczego chciałem odpocząć od firmy... Zrozum, to nie miało z tobą nic wspólnego. Przyjechałem... Nie sądziłem, że się zakocham!

- Zakochasz? Chciałeś zabić nudę! I postanowiłeś zabawić się głupią wiejską dziewczuchą!

- To nie tak! - Oburzony tym, co Shane wygaduje, ponownie nią potrząsnął. - Sama nie wierzysz w to, co mówisz.

Łzy trysnęły jej z oczu.

- Tak ochoczo poszłam z tobą do łóżka. Ty potworze! - Usiłowała go od siebie odepchnąć. - Nie miałam przed tobą żadnych tajemnic.

- A ja miałem - przyznał, z trudem dobywając głos. - Lecz kierowały mną...

- Wiedziałaś, jak bardzo cię kocham! - przerwała mu. - Jak bardzo pragnę! Wykorzystałeś mnie! Boże, jaka byłam głupia.

Zaczęła szlochać. Vance z całej siły przytulił ją do siebie. Sądził, że jeśli zdoła ją uspokoić, to uda mu się również wszystko jej wytłumaczyć.

- Puść mnie! - Próbowała się wyrwać. - Nigdy ci tego nie wybaczę. Nigdy w nic ci nie uwierzę. Cholera jasna, puść mnie!

- Dobrze, ale najpierw mnie wysłuchaj.

- Nie! Nie będę słuchała kolejnych kłamstw. Nie pozwolę znów zrobić z siebie idiotki. Zabawiałeś się mną, urozmaicałeś sobie pobyt na wsi!

Popatrzył jej prosto w twarz.

- Wiesz, że to nieprawda.

Nagle przestała się szamotać. Jej spojrzenie stało się chłodne. Dopiero teraz naprawdę się wystraszył.

- Nie wiem. Nie znam cię - oznajmiła cicho.

- Shane...

- Zabierz ręce. - Głos miała beznamiętny.

Poczuł, jak zaciśnięte na jej ramionach palce się prostują. Shane się cofnęła.

- Odejdź i zostaw mnie w spokoju. Nie życzę sobie twoich wizyt - dodała oschle. - Już nigdy więcej nie chcę cię widzieć.

Odwróciła się, weszła na ganek i zatrzasnęła za sobą drzwi. Nastąpiła cisza jak makiem zasiał.

Zakorkowane ulice, padający nieustannie gęsty śnieg, Święty Mikołaj, który wymachując dzwonkiem, dziękuje za datki wrzucane do wiaderka - to wszystko Vance obserwował z okna swego eleganckiego gabinetu.

Wziął udział w dorocznym przyjęciu gwiazdkowym organizowanym przez własną firmę. Przyjęcie wciąż trwało; pracownicy bawili się w dużej sali konferencyjnej na trzecim piętrze. Potem rozejdą się do domów, by spędzić Wigilię z rodziną lub przyjaciółmi, a on... Dostał wiele zaproszeń na wieczór, lecz z żadnego nie zamierzał skorzystać. Jako szef Rivertonu musiał spełnić swój obowiązek, pojawić się na przyjęciu, złożyć życzenia. Ale nie miał ochoty na dalsze ucztowanie i rozmowy o niczym. Bez Shane życie straciło blask.

Dwa tygodnie. Tyle minęło od jego powrotu do Waszyngtonu. W tym czasie zdołał wyjaśnić kilka spornych kwestii w kontraktach, przygotować ofertę na budowę skrzydła szpitala w Wirginii, zwołać zebranie zarządu i wykonać mnóstwo papierkowej roboty. Dni miał zajęte od rana do wieczora, praca jednak nie dawała mu wytchnienia. Nieustannie myślał o Shane.

Odwróciwszy się od okna, usiadł przy masywnym dębowym biurku. Na blacie nie leżało nic. Wszystko, co było do zrobienia, zostało zrobione. Zastanawiał się, czy korzystając z wolnego czasu, nie polecieć do Des Moines i sprawdzić, jak postępuje budowa nowego osiedla mieszkaniowego. Roześmiał się na myśl o popłochu, jaki wywołałaby jego niespodziewana wizyta. Wpatrując się



w ścianę, znów zaczął rozmyślać o tym, co Shane porabia.

Nie wyjechał w złości. Wyjechał bo Shane tego chciała. Wcale jej się nie dziwił. Dlaczego miałyby słuchać jego wyjaśnień? Wygarnęła mu, co o nim sądzi. Co miał na swoją obronę? Nic. Bo faktycznie ją okłamał, a przynajmniej nie powiedział prawdy. A dla niej przemilczenie prawdy i kłamstwo są jednym i tym samym.

Sprawił jej ból. Przez niego na jej twarzy znów zagościł smutek. Nie mógł sobie tego wybaczyć. Odepchnąwszy fotel od biurka, wstał i ponownie zaczął wydeptywać ścieżkę w miękkim, szarym dywanie. Psiakrew, gdyby tylko dała mu szansę! Z grymasem na twarzy ponownie stanął przy oknie. Sądziła, że się z niej naigrawał! Boże! On? Z niej? Przecież ją kocha. Nagle ogarnęła go złość. Nie, nie pozwoli, aby go odtrąciła. Musi go wysłuchać.

Energicznym krokiem skierował się ku drzwiom.

- Nie bądź taka uparta - powiedziała Donna, drepcząc za przyjaciółką z muzeum do sklepu.

- Ależ nie jestem! - oburzyła się Shane. - Naprawdę mam mnóstwo pracy. - I żeby to udowodnić, zaczęła przeglądać jakiś katalog. - Przez ten ożywiony ruch przed świętami opóźniłam się z robotą papierkową. Muszę wszystko pouzupełniać, bo inaczej będę miała kłopoty.

- Bzdura - oznajmiła stanowczo Donna, zamykając katalog. - Poza tym jesteś w mniejszości - dodała, wskazując głową na Pat. - Nie zgadzamy się, abyś samotnie spędziła Wigilię.

- Absolutnie - poparła ją Pat. - Musisz zobaczyć, jak Donna i Dave gnają za Benjim, kiedy ten rusza w stronę choinki. A ponieważ Donna ma coraz większy brzuch - uśmiechnęła się do swojej ciężarnej bratowej - to człapie jak kaczuca.

Shane roześmiała się, ale pokręciła głową.

- Nie, naprawdę. Ale obiecuję, że wpadnę jutro. Mam bardzo hałaśliwy prezent dla Benjiego. Pewnie wyrzucicie mnie za drzwi...

- Kochanie. - Donna ujęła przyjaciółkę za ramiona. - Pat mówiła mi, że całymi dniami pociągasz nosem. - Ignorując gniewne spojrzenie, jakie Shane posłała donosicielce, dodała pośpiesznie: - Jesteś zmęczona, nieszczęśliwa...

- Nie jestem zmęczona.  
- Tylko nieszczęśliwa?  
- Tego nie powiedziałam.  
- Słuchaj, nie wiem, co zaszło między tobą a Vance'em...  
- Donna...  
- I wcale o to nie pytam. Ale nie mogę stać bezczynnie i patrzeć, jak cierpisz. Myślisz, że dobrze będę się bawić, wiedząc, że tkwisz tu sama jak palec?  
- Doceniam twoją troskę. - Shane uścisnęła przyjaciółkę. - Ale kiepski ze mnie kompan.  
- Wiem.  
Shane zaśmiała się.  
- Błagam cię. Zabieraj Pat i wracaj do swojej rodziny.  
- Cierpiętница!  
- Nie jestem żadną... - Shane urwała, widząc figlarny błysk w oczach Donny. - O nie! To ci się nie uda! Nie zamierzam ci nic udowadniać!  
- No dobrze. - Donna usiadła w fotelu bujanym. - W takim razie zostanę z tobą. Biedny Dave spędzi Wigilię bez żony, a Benji będzie pytał o mamusię, ale trudno...  
- Och, Donna. - Shane odgarnęła z twarzy włosy; nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. - I kto tu jest cierpiętnicą?  
- Nie ja - odparła Donna, wzdychając ciężko. - Pat, powiedz Dave'owi, że wrócę jutro, dobrze? I osusz łzy mojego synka.  
Pat wybuchnęła śmiechem, a Shane wzniosła oczy do nieba.  
- W porządku, wygrałaś! Zmiataj stąd! Zaraz pozamykam i...  
- Nie spieszy mi się. Zamknij, weź kurtkę i pojedziemy razem.  
- Słuchaj...  
Nagle drzwi się otworzyły. Widząc, jak krew odpływa z twarzy przyjaciółki, Donna obejrzała się za siebie. W progu stał Vance Banning.  
- No dobrze, pora na nas - rzekła, podrywając się na nogi. - Chodź, Pat. Dave pewnie nie ma już siły ganiać za Benjim. Wesołych świąt, Shane. - Pocałowawszy przyjaciółkę, chwyciła palto.  
- Donna, poczekaj...

- Nie mogę, obowiązki wzywają. Cześć, Vance; miło cię znów widzieć.  
Chodź, Pat.

Zanim Shane zdołała zaprotestować, obie pośpiesznie opuściły sklep. Vance zdziwiony uniósł brwi, ale nic nie powiedział. W milczeniu obserwował Shane. Złość, która go tu przywiodła, znikła bez śladu.

- Shane...

- Właśnie zamykałam.

- To dobrze. - Przekreślił zasuwę w drzwiach. - Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

- Przepraszam, ale nie mam czasu. - Zaczęła rozglądać się nerwowo, szukając czegoś, czym mogłaby się zająć. Nie znalazłszy nic, popatrzyła błagalnie na mężczyznę. - Wyjdź stąd. Proszę cię.

Potrząsnął głową.

- Nie mogę.

Zdjął płaszcz i rzucił go na oparcie fotela, który Donna przed chwilą zwolniła. Shane wytrzeszczyła oczy; zaskoczył ją elegancki, szyty na miarę garnitur i jedwabny krawat. Ubiór Vance'a uzmysłowił jej, że nie zna tego człowieka. A mimo to go kocha. Odwróciwszy się, zaczęła przesuwając stojące na półce kryształowe kieliszki.

- Przykro mi, ale mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia, a potem jadę na kolację do Donny.

- Nie sprawiała wrażenia, jakby cię dziś oczekiwała - zauważył, podchodząc bliżej.

Położył ręce na jej ramionach. Zesztywniała.

- Puść!

- W porządku! - syknął, opuszczając ręce. - Nie będę cię dotykał.

- Mówiłam ci, że jestem zajęta.

- Mówiłaś, że mnie kochasz.

Błada z wściekłości, obróciła się do niego przodem.

- I co z tego?

- Kłamałaś?

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, po czym ugryzła się w język.

- Nie - odparła po chwili. - Ale pokochałam mężczyznę, którego udawałeś.

- Celny cios - oznajmił cicho. - Zdziwiasz mnie.

- Bo nie jestem taka głupia, jak myślałeś?

- Przestań.

- Przepraszam, Vance - rzekła, poruszona bólem w jego oczach. - Nie chcę mówić nieprzyjemnych rzeczy. Dlatego będzie lepiej, jeżeli sobie pójdiesz.

- Lepiej? Dla kogo? Powiedz, Shane. Jesteś szczęśliwa? Sypiasz po nocach? Boja nie. - Zaciśnęła dłonie w pięści. - Dobrze. - Westchnął głośno. - Pójdę. Pod warunkiem, że wcześniej mnie wysłuchasz.

- To niczego nie zmieni - mruknęła.

- W takim razie co ci szkodzi? - spytał, z trudem zachowując spokój.

- W porządku. - Popatrzyła mu w oczy. - Mów.

- Kiedy przyjechałem tu parę miesięcy temu, chciałem uciec od dawnego życia. - Mówiąc, przemierzał pokój, zupełnie jakby emocje, które go przepelniały, nie pozwalały mu ustać w miejscu. - Byłem bardzo młody, kiedy musiałem przejąć firmę. Zrobiłem to wbrew sobie. - Na moment urwał. - Jestem stolarzem, Shane. A także prezesem Riverton Construction. Tytuł, pozycja, pieniądze nie wpływają na to, jaki jestem. Ożeniłem się z piękną, czarującą kobietą, totalnie pozbawioną uczuć. Porażała urodą, ale była samolubna, złośliwa i okrutna.

Shane natychmiast stanął przed oczami obraz Anne.

- Niestety, jej prawdziwy charakter odkryłem, kiedy było już za późno. Właściwie nasze małżeństwo zakończyło się wkrótce po ceremonii ślubnej. Z paru powodów nie mogłem się od razu rozwieść. Przez kilka lat mieszkaliśmy razem, darząc się niechęcią. Ja rzuciłem się w wir pracy, ona co rusz znajdowała sobie nowego kochanka. Chciałem się jej pozbyć, marzyłem o tym. A potem, gdy zginęła, musiałem żyć ze świadomością, że tyle razy pragnąłem jej śmierci.

- Boże! Vance...

- Wszystko to się zdarzyło ponad dwa lata temu. Jeszcze bardziej pogрузyłem się w pracy. Stałem się zgorzkniały. Nie poznawałem siebie. Dlatego kupiłem dom Farleya i wziąłem paromiesięczny urlop. Musiałem odpocząć, uciec od problemów. Marzyłem o spokoju. Kiedy zaczęłaś mnie nachodzić, wystraszyłem się. Zacząłem szukać w tobie wad. Nie chciałem wierzyć, że ktoś

może być tak wspaniałomyślny, szlachetny. Bałem się, że mogę ci się nie oprzeć. - Utkwił w niej wzrok. - Nie chciałem być blisko ciebie, a jednocześnie pragnąłem cię do bólu. Wydaje mi się, że zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia.

Znów rozpoczął wędrówkę od ściany do ściany. Po chwili przystanął przed rozświetloną choinką.

- Powinienem był ci wszystko powiedzieć...

- Więc dlaczego nie powiedziałaś?

- Nie wiem. Pierwszej nocy... nie chciałem jej zepsuć opowieściami o mojej przeszłości. Obiecałem sobie, że wszystko ci wyjawię nazajutrz. Ale ty... byłaś taka smutna i zagubiona po wyjeździe Anne, że po prostu nie miałem serca.

Milczała. Przypominała sobie to, co jej mówił tej pierwszej nocy, napięcie, jakie w nim wyczuwała, a także pomoc, jaką jej okazał.

- Potrzebowałaś mojej siły, mojego wsparcia, a nie moich kłopotów - ciągnął. - Shane, dzięki tobie odzyskałem radość życia. Tak wiele mi dałaś i niczego nie chciałaś w zamian...

- Ja? - Popatrzyła na niego zaskoczona. - Co ja ci dałam?

- Siebie. Swoją młodość, swój zapał... Przy tobie znów nauczyłem się śmiać. W każdym razie tego ranka, po wizycie Anne, nie mogłem cię obarczać moimi problemami. Po raz kolejny próbowałem z tobą porozmawiać wtedy, kiedy pokłóciliśmy się o ten komplet mebli do jadalni. - Zmrużył oczy. - Który zresztą kupiłem.

- Co?

- Za późno na protesty - uciał.

- Czyżby?

- Tak. Już przestań się złościć. - Postąpił krok w jej stronę, ale pilnował się, by trzymać ręce przy sobie. - Nie chciałem cię oszukiwać, a jednak oszukałem. Chciałbym cię prosić o przebaczenie. I o zaakceptowanie mnie takim, jakim jestem.

Spuściła wzrok.

- W tym tkwi problem - powiedziała cicho. - Bo widzisz, nie znam prezesa Rivertonu. Nie wiem, jaki on jest. Znam tylko człowieka, który kupił posiadłość starego Farleya. - Przeniosła spojrzenie na Vance'a. - Człowieka, który swoje

dobre serce starał się ukryć pod maską oschłości. Który burczał nieprzyjaźnie, a którego mimo to pokochałam.

- Jeśli wolisz tego burczącego, oschłego drania, to proszę bardzo. Mogę dalej burczeć.

Roześmiała się niepewnie.

- Vance, potrzebuję czasu. Zresztą sama nie wiem. Kiedy byłeś prostym stolarzem... - wzruszyła bezradnie ramionami - wszystko wydawało mi się takie... normalne. Nieskomplikowane.

- Innymi słowy, zakochałaś się we mnie, bo byłem bezrobotny?

- Nie! Ale... - Nie umiała dobrze wyrazić swoich myśli. - Widzisz, ja nadal jestem taka jak dawniej. Po co prezesowi Rivertonu prowincjuszka, która nawet nie lubi martini?

- Błagam, nie wygaduj bzdur.

- To wcale nie są bzdury. Bądź szczery. Nie pasuję do twojego świata. Nie potrafiłabym być wyrafinowana i elegancka, nawet gdybym latami ćwiczyła.

- Czyś ty oszalała? - Zirytowany, obrócił ją do siebie. - Elegancka? Wyrafinowana? Za kogo ty mnie masz? Wbiłaś sobie do głowy, że jako prezes... W porządku. Jeśli chcesz, zrezygnuję. Odejdę z Rivertonu.

- Co?

- Odejdę z firmy.

Wytrzeszczyła oczy.

- Wcale nie żartujesz, prawda? Zrobiłbyś to?

- Tak, zrobiłbym to. - Potrząsnął nią lekko. - Naprawdę myślisz, że firma więcej dla mnie znaczy niż ty? Chryste! - Zdegustowany, znów zaczął przemierzać pokój. - Nie czynisz mi wyrzutów z powodu mojego zachowania. Nie pytasz o szczegóły mojego małżeństwa. Nie żądasz, abym padł przed tobą na kolana. Zamiast tego wygadujesz brednie o picciu martini i braku elegancji. - Przeklinając pod nosem, wyjrzał przez okno.

Shane zdławiła atak śmiechu.

- Vance, ja...

- Milcz. Doprowadzasz mnie do furii, wiesz?

Gwałtownym ruchem chwycił z fotela swój płaszcz. Shane, przerażona, że

Vance zamierzają opuścić, otworzyła usta, by zaprotestować, nagle jednak zobaczyła, że wyciąga z kieszeni kopertę.

- Vance...

Rzucił płaszcz z powrotem na fotel, a kopertę wetknął jej do dłoni.

- Otwórz - polecił.

Uznając, że nie ma sensu się buntować, posłusznie wykonała polecenie. I zaniemówiła na widok dwóch biletów samolotowych na Fidzi.

- Powiedziałaś kiedyś, że to idealne miejsce na miesiąc miodowy. Mam nadzieję, że nadal tak uważasz.

Zgarnął ją w ramiona i zmiażdżył jej usta w namiętym pocałunku. Nie opierała się.

- Nawet nie wiesz, jak za tobą tęskniłam - szepnęła. - Kochaj się ze mną, Vance. Chodźmy na górę do sypialni...

Wtulił twarz w jej włosy.

- Jeszcze nie powiedziałas, że zabierzesz mnie z sobą na Fidzi. - Pociągnął ją na podłogę.

- Ojej, twój garnitur! - zaprotestowała ze śmiechem. - Poczekaj, aż dojdziemy na górę.

- Cicho - rozkazał, przywierając ponownie ustami do jej ust. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że Shane drży nie z podniecenia, lecz ze śmiechu. - Psiakość, ja cię obsypuję pocałunkami, a ty...

- Przynajmniej zdejmij krawat - powiedziała, po czym głośno się zaśmiała.

- Przepraszam, Vance, ale to takie zabawne. Pytasz, czy zabiorę cię na Fidzi, a ja jeszcze nie poprosiłam cię o rękę.

- Ty mnie? - zdumiał się.

- Tak. Od jakiegoś czasu chciałam to zrobić, ale bałam się, że odmówisz. Że jako człowiek bezrobotny, ale z zasadami...

- Bezrobotny, ale z zasadami? - powtórzył.

- No właśnie. A teraz, kiedy wiem, że jesteś taką szyczą... Ojej, to czysty jedwab! - zawołała, usiłując rozwiązać mu krawat.

- Dalej. Teraz, kiedy wiesz, że jestem szyczą...

- Powinnam jak najszybciej cię zaobrączkować.

- Zaobrączkować? - Ugryzł ją w ucho.

- Mimo braku elegancji i niechęci do martini przyrzekam, że będę idealną żoną dla... - Uniosła brwi. - Dla kogo?

- Dla zakochanego wariata?

- Niech ci będzie - zgodziła się. - Właściwie to ci się nieźle trafiło, wiesz? Takiej żony to ze świeczką trzeba szukać. - Cmoknęła go w policzek. - To kiedy lecimy na Fidżi?

- Pojutrze - oznajmił, przerzucając ją sobie przez ramię.

- Vance, co robisz?

- Zanoszę cię do sypialni.

- Czy tak wypada traktować narzeczoną prezesa Rivertonu? - spytała ze śmiechem. - Czuję się jak worek kartofli!

- Uwielbiam kartofelki.

- Błagam, puść mnie!

- Bo co? Wyrzucisz mnie z roboty?

Poczuł, jak Shane trzęsie się ze śmiechu.

- Absolutnie!

- Doskonale. O to mi chodziło. - Zaciskając rękę wokół jej kolan, dziarskim krokiem ruszył na górę.